CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 5(135)/2024 MAJ 2024

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Gorzki smak polskiego zwycięstwa

MONTE CASSINO '44

DO RZECZY HISTORIA

ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Telewizji Republika na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny.



RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl c6ac7a6051

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk (fotoedycja)

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.–pt. w godz. 10–16
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel. +48 41 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel. +48 12 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel. +48 22 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA/ZALA

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Dramat zwycięzców

Artyleria gruchnęła na pozycje niemieckie. Z nocy zrobił się dzień. Miejscami było tak jasno, że spokojnie można było czytać... modlitewnik (śmiech) – wspominał w rozmowie ze mną ppłk Antoni Łapiński, uczestnik walk pod Monte Cassino. – Kanonada trwała do godz. 1. Niemcy pochowali się w schronach, bo byli już przyzwyczajeni do ostrzału. Każdy zastanawiał się, czy tym razem się uda. Przecież wcześniej swoich sił próbowali Anglicy, Amerykanie, Nowozelandczycy i inni. I nic! Wydawało się, że Niemcy są nie do ruszenia".

To wrażenie było dojmujące – zdawało się, że żadna siła nie jest w stanie wyrzucić Niemców poza doskonale przygotowaną przez nich Linię Gustawa. Alianccy żołnierze od początku 1944 r. próbowali przełamać niemiecką obronę skupioną w okolicy miasteczka Cassino, co otworzyłoby im drogę w kierunku Rzymu. Nikomu jednak nie udawała się ta sztuka. Niemcy wydawali się zbyt dobrze okopani, uzbrojeni i wstrzelani.

Aż przyszedł maj, a wraz z nim czwarta bitwa pod Monte Cassino. Alianci – w przeciwieństwie do poprzednich zmagań pod słynnym benedyktyńskim klasztorem – tym razem przeszli do natarcia nie punktowo, ale na niemal całej linii frontu, robiąc użytek ze swojej przewagi w ludziach i sprzęcie. Walki na najtrudniejszym odcinku przypadły w udziale 2. Korpusowi Polskiemu (zginęło w nich 923 polskich żołnierzy, 2931 zostało rannych, a 345 uznano za zaginionych). W 80. rocznicę tej bitwy przypominamy chwałę, a także dramat żołnierzy gen. Władysława Andersa. Kiedy bowiem Polacy szturmowali wzgórza zacięcie bronione przez Niemców, wiadomo już było, że wschodnia połowa Polski zostanie odrąbana przez „sojusznika naszych sojuszników". A przecież tak wielu z nich pochodziło właśnie z Kresów...
O tym tragicznym dylemacie żołnierzy 2. Korpusu Polskiego pisze Piotr Zychowicz w swojej stałej rubryce „Pod prąd". ©℗

eprasa.pl c6ac7a6051



/ TEMAT NUMERU

.6 MATTHEW PARKER
Gorzki smak polskiej wiktorii

.12 RELACJE SPOD MONTE CASSINO
Piekło i rzeź

.14 ANTONI ŁAPIŃSKI
Droga śmierci pod Monte Cassino

/ CZASY I LUDZIE

.18 LESZEK LUBICKI
Tajemnica ostatniej uczty

.22 SŁAWOMIR KOPER
Tragedia w Mayerlingu

.26 JAKUB OSTROMĘCKI
Łotewska misja Myszkowskiego

.30 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Czarnogórski kocioł

.34 MAREK GAŁĘZOWSKI
Operacja „Marszałek”

.38 MAREK WĘCOWSKI
Homerów dwóch

.42 ANNA SZCZEPAŃSKA
Wszystko za milczenie

.46 PIOTR SEMKA
Górale mają prawo być wściekli

.50 ŁUKASZ CZARNECKI
Wykastrowany niszczyciel imperium

.54 AGNIESZKA CUBAŁA
Miłość wczasach zagłady

.58 MIKOŁAJ IWANOW
Droga Własowa

/ CO CZYTAĆ

.62 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Pisarz z Polską w głowie

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Pojemność pamięci

.71 PIOTR SEMKA
Jak Czesi musieli polubić wódkę

eprasa.pl c6ac7a6051



/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Konungahela w słowiańskim ogniu

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Włoskie cięcie

/ POD PRĄD

.81 PIOTR ZYCHOWICZ
Niepotrzebny szturm

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Kodeks Zaruskiego

REKLAMA



eprasa.pl c6ac7a6051

Wywiad / Z Matthew Parkerem, brytyjskim historykiem, autorem książki „Monte Cassino. Bitwa narodów II wojny światowej”



rozmawia Piotr Włoczyk

Gorzki smak polskiej wiktorii

Brytyjski żołnierz podczas walk o Monte Cassino

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IMPERIAL WAR MUSEUMS

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego Churchill i Roosevelt nie posłuchali rady Napoleona?

MATTHEW PARKER: Francuski cesarz stwierdził kiedyś, że skoro Włochy są butem, to należy wchodzić w nie od góry. I to było sensowne podejście. Dużo wcześniej podobnie myślał Hannibal, który atakował Rzym naokoło od północy, zamiast zrobić to najkrótszą drogą, czyli właśnie od południa.

Obaj wspomniani przez pana przywódcy doprowadzili swoimi działaniami do strategicznego i taktycznego bałaganu, wręcz katastrofy, której efektem były bardzo krwawe zmagania pod Monte Cassino.

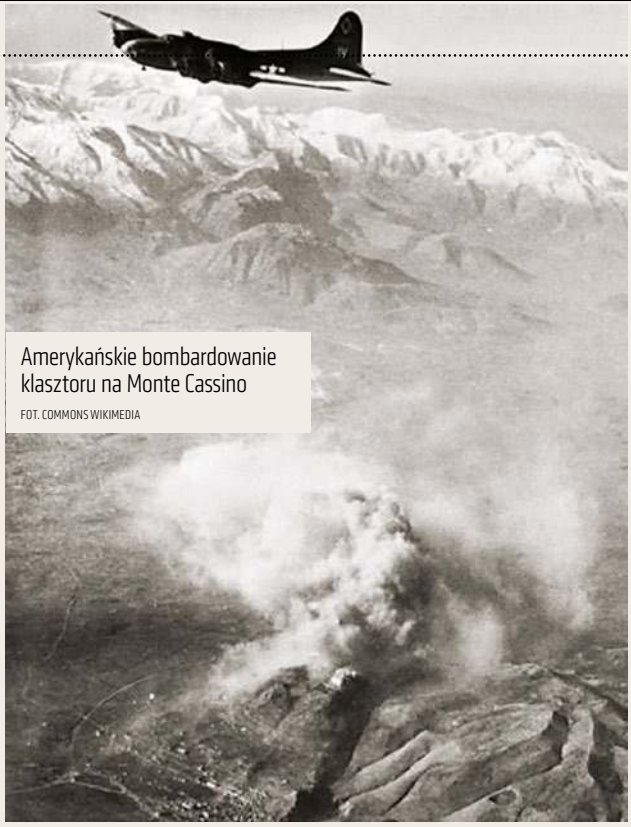
– Obrona tego wzgórza przechodziła powoli do legendy. Uwaga mediów na całym świecie była na nim skupiona. W Niemczech było ono symbolem nieprawdopodobnego męstwa i ducha oporu. Oczywiste było, że ktokolwiek je zajmie, będzie sławny na całym świecie – mówi Matthew Parker

Atakowanie tego miejsca nie było najlepszym wyborem?

Gdyby niemieccy generałowie mieli wybrać jedno miejsce w Europie, które jest najlepsze do obrony, to na pewno wybraliby właśnie Linię Gustawa na południu Włoch ze wspaniałymi pozycjami na masywie Cassino.

Żeby wyjaśnić, dlaczego alianci dotarli właśnie pod Monte Cassino, musimy się cofnąć kilka lat wstecz, do momentu, gdy USA weszły do wojny i pojawił się

eprasa.pl c6ac7a6051



Amerykańskie bombardowanie klasztoru na Monte Cassino
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

postulat „Niemcy Pierwsze” („Germany First”). Decyzja, by zaangażować najszybciej, jak się da, amerykańskich żołnierzy przeciw Niemcom, była kwestią polityczną i nie wynikała z potrzeb wojskowych.

Chodziło głównie o to, żeby Stalin widział, że jego zachodni sojusznicy realnie biorą udział w wojnie z III Rzeszą?

Tak, celem było utrzymanie Rosjan w wojnie. Między sojusznikami istniało bardzo dużo nieufności. W Londynie i Waszyngtonie obawiano się, że Stalin zawrze z Hitlerem separatystyczny pokój. Każdy wiedział, że był tu precedens – pakt Ribbentrop-Mołotow, który dla wszystkich był wielkim zaskoczeniem. Amerykanie i Brytyjczycy chcieli pokazać Stalinowi, że robią wszystko, by odciążyć go w wojnie z Niemcami.

Po zwycięskiej kampanii w północnej Afryce przeciw wojskom włoskim i niemieckim Amerykanie i Brytyjczycy żywiołowo dyskutowali podczas konferencji w Casablance, co zrobić w następnej kolejności. Efektem był kompromis, który jednak dużo lepiej odzwierciedlał podejście Brytyjczyków niż Amerykanów. Churchillowi udało się przeforsować swój pomysł uderzenia w „miękkie podbrzusze” Europy. Amerykanie, szczególnie zaś gen. George Marshall – szef sztabu generalnego – woleli dojść do Berlina najprostszą drogą.

Czyli gdyby wszystko miało zależeć od Amerykanów, Włochy nie byłyby tu pierwszym wyborem?

W trakcie dyskusji między aliantami pojawiały się przeróżne plany. Churchill chciał „podpalić” Bałkany, wypłynął też pomysł desantu na Sardynię, ale ostatecznie alianci postanowili uderzyć na Sycylię. Amerykanie byli sceptyczni. Musimy rozumieć, że również między Waszyngtonem i Londynem była pewna doza nieufności. Amerykanie podejrzewali, że Churchill przede wszystkim myślał o zachowaniu imperium. Kontrola nad Morzem Śródziemnym i szlak przez Suez do Indii były kluczowe dla Wielkiej Brytanii, a tymczasem Amerykanie chcieli zakończyć brytyjski imperializm.

Waszyngton zgodził się jednak uderzyć na Sycylię. I był to niemały sukces, ponieważ udało się zrealizować sporo stawianych przed tą operacją celów, w tym przede wszystkim wypchnięcie Włochów z wojny – to wtedy doszło do upadku Mussoliniego. Morze Śródziemne zostało zabezpieczone dla brytyjskich statków, okrętów i samolotów, ale nie było planu dalszych działań. Ten chaos widać było w tym, jak wielu niemieckim oddziałom udało się uciec z wyspy przez Cieśninę Mesyńską.

Alianci zachodni wylądowali jednak następnie pod Salerno i w Tarencie.

Desanty morskie to jedne z najtrudniejszych operacji militarnych. Desant pod Salerno niemal zakończył się klęską. Niemcy byli o włos od zepchnięcia aliantów do morza. Ta sytuacja przekonała feldmarszałka Alberta Kesselringa, że niemiecki żołnierz wart jest trzech żołnierzy alianckich. Dochodzimy tu do kluczowej kwestii. W przeciwieństwie do Niemców Amerykanie i Brytyjczycy byli cywilami w mundurach. Do pewnego stopnia „otrzaskali” się z wojną w północnej Afryce, ale wciąż nie mieli tyle doświadczenia co wojska niemieckie. Brytyjczycy uważali ponadto, że Amerykanie zbyt łatwo poświęcają swoich żołnierzy w ryzykownych operacjach. To oczywiście wynikało z tego, że w tamtym okresie Brytyjczycy nie mieli dużych rezerw i w ich armii liczył się każdy żołnierz. Amerykanie z kolei mieli ogromne rezerwy.

Aliantom udało się – ze sporymi problemami – wylądować na „bucie”, ale potem czekał ich bardzo trudny i krwawy marsz na północ przez góry poprzecinane rzekami. Był to koszmar dla każdego atakującego. Natarcie było bardzo wolne i kosztowne pod względem strat ludzkich. Tak więc nawet przed Monte Cassino alianci walczyli we Włoszech w piekielnie trudnych warunkach. Dość powiedzieć, że jeszcze zanim Amerykanie i Brytyjczycy dotarli do miasteczka Cassino, widać było kryzys morale. Sami Brytyjczycy zanotowali wówczas ok. 20 tys. dezerterów. To absolutnie katastrofalny odsetek. Sytuacja stała się na tyle paląca, że gen. Harold Alexander (głównodowodzący wojsk we Włoszech) poprosił Churchilla o przywrócenie kary śmierci za dezercję, którą zniesiono w armii brytyjskiej po pierwszej wojnie światowej. Spotkał się z odmową, ale to pokazuje, jak trudne było przedzieranie się na północ Włoch. Amerykanie również mieli olbrzymi problem z dyscypliną i morale. Od Salerno do Cassino stracili w walkach ok. 40 tys. ludzi (rannych i zabitych), ale aż 50 tys. ich żołnierzy było wyłączonych z działań z powodu chorób…

To chyba właśnie ten wątek sprawił, że zainteresował się pan Monte Cassino?

Tak. Pracowałem kiedyś jako konsultant i redaktor przy książce „Wojna nerwów” (ang. „A war of nerves”). To fantastyczna historia psychiatrii wojskowej od czasów amerykańskiej wojny domowej, w której opisane zostały problemy psychiczne żołnierzy. Jedna rzecz bardzo mnie wtedy zaskoczyła. Zmagania w okolicy Cassino były raczej statyczne i w przeciwieństwie do dynamicznych walk w Afryce Północnej amerykańscy psychiatrzy wojskowi mogli po raz

eprasa.pl c6ac7a6051



RYS. MARZENA WŁOCZYK

pierwszy towarzyszyć żołnierzom na pierwszej linii frontu.

W oddziałach piechoty na pierwszej linii każdy żołnierz wykazywał symptomy takie jak drżenie ciała i nadmierne pocenie się. Cała ta linia frontu była więc miejscem jednego wielkiego załamania nerwowego. Musimy pamiętać, że bitwa o Monte Cassino była najcięższą z walk toczonych przez zachodnich aliantów z Niemcami na wszystkich frontach tamtej wojny. Jeden z czołowych wojskowych psychiatrów US Army powiedział, że o ile żołnierz z frontu pod Cassino nie został szybko zraniony, co kończyło jego udział w bitwie, o tyle prędzej czy później potrzebowałby opieki psychiatrycznej z powodu traumy. Ten wątek sprawił, że postanowiłem dowiedzieć się więcej o tej bitwie. Co tam się działo, że biorący w niej udział żołnierze byli tak bardzo straumatyzowani?

Słynną ilustracją tego problemu był moment, gdy gen. George Patton podczas wizyty w szpitalu usłyszał od jednego z żołnierzy US Army, że powodem jego hospitalizacji były „nerwy". Patton spoliczkował wówczas tego żołnierza, przez co spadła potem na niego lawina krytyki.

Wówczas jeszcze wiedza na temat traumy psychicznej nie była aż tak powszechna. I właśnie ta kwestia sprawiła, że kolejne kilka lata swojego życia poświęciłem badaniu zmagań o Cassino.

Jeżeli Amerykanie nie za bardzo chcieli zaczynać od inwazji na Włochy, to jak wyobrażali sobie dalsze działania po zabezpieczeniu Afryki Północnej?

Amerykanie właściwie od początku dążyli do przeprowadzenia inwazji przez kanał. W 1942 r. nie było na to szans, ponieważ nie było tylu wyszkolonych żołnierzy US Army. W 1943 r. problemem była natomiast zbyt mała liczba jednostek desantowych. To była ciągła bolączka aliantów. Jak wiadomo, by wysadzić na brzegu w krótkim czasie odpowiednio duże siły, które poradziłyby sobie z obroną plaż, potrzeba było setek takich jednostek.

Inna rzecz, że desanty morskie są nieprawdopodobnie ryzykowne.



Niemieccy spadochroniarze na Monte Cassino FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

Brytyjczycy, którzy – jak już wspomniałem – borykali się z problemem rezerw, nie byli skłonni do podejmowania tak wielkiego ryzyka już w 1943 r. Zresztą nawet w 1944 r. wykazywali sporo oporu w tym kontekście. Dla Amerykanów inwazja na Włochy była swego rodzaju „churchillowską eskapadą", w której niezbyt chętnie brali udział.

Czyli desant w okolicy Rzymu, dzięki któremu udałoby się obejść niemieckie fortyfikacje na południe od stolicy Włoch, był bardzo karkołomnym przedsięwzięciem...

Tak. I pokazała to operacja pod Anzio. Była ona zaplanowana jako uderzenie, które miało odciąć niemiecką 10. Armię broniącą Linii Gustawa. W ten sposób Niemcy mieli zostać zmuszeni do wywieszenia białej flagi. Częścią problemu był tu czas. Jednostki desantowe musiały zostać niedługo odesłane do Wielkiej Brytanii, by zdążyć na D-Day. Alianci musieli więc dokonać inwazji pod Anzio w styczniu. Oczekiwanie na lepsze warunki nie wchodziło w grę.

Mimo że alianci praktycznie całkowicie kontrolowali sytuację na morzu i na niebie, to z powodu złej pogody ich lotnictwo było właściwie uziemione na lotniskach i nie mogło wówczas odgrywać prawie żadnej roli. Olbrzymia przewaga w broni pancernej też nie mogła zostać wykorzystana z powodu pogody. Styczeń był więc fatalnym miesiącem na dokona-

eprasa.pl c6ac7a6051



Narada polskich dowódców. Drugi z prawej: gen. Władysław Anders FOT. NAC

nie inwazji pod Rzymem, ale jednostki desantowe musiały lada dzień wyruszyć do Wielkiej Brytanii…

I dlatego równolegle musiało dojść do ataku w okolicy Cassino?

To było uderzenie osłaniające lądowanie pod Anzio. I również na lądzie pod Cassino styczeń był najgorszym momentem do przeprowadzenia ataku na Linię Gustawa. Całość tych operacji ofensywnych była więc spowodowana wręcz szaleńczym harmonogramem, który pod kątem czysto militarnym nie miał większego sensu.

Początkowo lądowanie pod Anzio wyglądało na całkiem udaną operację. Ale aliancki impet szybko został wyhamowany…

Lądowanie było dziełem Amerykanów. Generał Mark Clark, który jest w całej historii walk o Cassino głównym czarnym charakterem, powiedział dowodzącemu desantem gen. Johnowi Lucasowi, by zachował dużą ostrożność.

Wynikało to zapewne z tego, że wcześniej gen. Clark sam miał wielkie problemy z rozwinięciem przyczółka pod Salerno?

Tak. Clark powiedział wówczas, że Anzio jest dziełem tego samego „architekta" – Churchilla – który doprowadził do klęski w pierwszej wojnie światowej podczas desantu pod Gallipoli. Lucas zabezpieczył więc przyczółek pod Anzio, ale – słuchając rady Clarka – skupił się na bronieniu go i nie próbował wyjść do przodu. Churchill wypowiedział wówczas słynne słowa: „Myślałem, że dostarczyliśmy na włoski brzeg lwa, a okazało się, że to wieloryb, który utknął na plaży".

Anzio, które miało być dla aliantów odskocznią do zajęcia reszty Włoch, stało się ogromnym problemem. Aby ratować przyczółek przed kontratakiem Niemców, którzy mogli zepchnąć te potężne siły do morza, alianci musieli atakować Cassino, by angażować siły wroga. Musieli to robić w najgorszą pogodę, ponosząc gigantyczne straty. Tymczasem doskonale wiemy, że gdy tylko w maju warunki uległy poprawie, alianci byli w stanie przełamać tam niemiecką obronę.

Co alianci mieli naprzeciw siebie na Linii Gustawa?

W dolinach przy Cassino płyną dwie rzeki: Liri i Garigliano. Niemcy zbudowali na nich tamy, by rozlać je w coś na kształt fos. To eliminowało użycie czołgów, czyli jedną z największych przewag aliantów.

Ponieważ alianci posuwali się na północ bardzo wolno, Niemcy mieli dużo czasu, by przygotować wzgórza do obrony. Istniejące jaskinie zostały powiększone w taki sposób, by zapewnić ochronę przed atakami artyleryjskimi oraz umożliwić przeprowadzanie kontrataków na tyłach nacierających wojsk. Między innymi ze wspomnień polskich żołnierzy wiemy, że Niemcy nagle potrafili się pojawić za ich plecami. Było to możliwe właśnie dzięki budowie sieci tuneli. Na szczytach wzgórz Niemcy mieli doskonałe stanowiska dla swojej artylerii. Dzięki tym wysokim pozycjom mogli bardzo precyzyjnie kierować ogniem. Zbocza były zaminowane i pełne pułapek. Ich artyleria była wstrzelana w miejsca, przez które musieli się przedzierać nacierający żołnierze.

Jeżeli do tych doskonałych linii obronnych dodamy świetnie wyszkolonych i zaciętych obrońców, to mamy gotowy przepis na katastrofę dla wojsk atakujących…

Dokładnie tak to wyglądało w trakcie pierwszych trzech bitew o Monte Cassino. Niemcy obsadzili te pozycje wojskami bardzo bitnymi i doświadczonymi, na czele z elitarnymi spadochroniarzami.



MATTHEW PARKER „MONTE CASSINO. BITWA NARODÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ"
REBIS

To byli fanatycy?

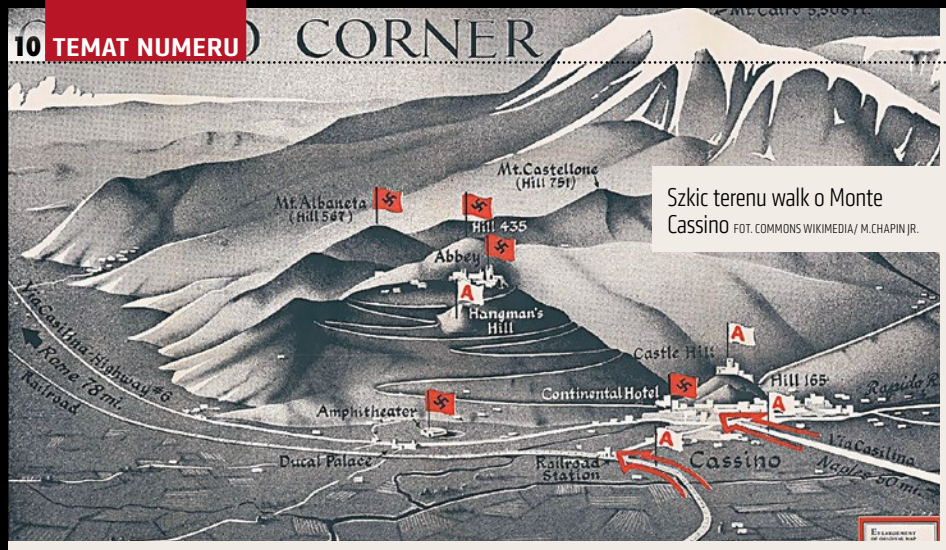
Spadochroniarze byli częścią Luftwaffe, która była najbardziej przesiąknięta ideologią nazistowską spośród wszystkich gałęzi niemieckich sił zbrojnych. Ale i pozostali niemieccy żołnierze byli przedstawicielami pokolenia szalenie zindoktrynowanego i zmilitaryzowanego jeszcze przed wybuchem wojny. Amerykańscy i brytyjscy żołnierze bardzo odstawali tu od nich, jeżeli chodzi o zacięcie w walce. Amerykanie pod koniec wojny musieli nawet otworzyć coś na kształt szkół nienawiści, gdzie starali się wpoić swoim żołnierzom nienawiść do wrogów, by wykrzesać w nich autentyczną chęć zabijania przeciwników. Widać więc, że po stronie aliantów, których armie były „obywatelskie", był z tym pewien problem. Oczywiście u Polaków ten problem nie istniał, tak samo zresztą jak u Francuzów, którzy starali się zmyć z siebie hańbę błyskawicznej klęski w 1940 r.

W tej historii uderza różnorodność walczących tam wojsk. Nie tylko po stronie atakujących – wszyscy świetnie wiemy, ile narodowości próbowało przedrzeć się przez Linię Gustawa – lecz także po stronie obrońców. W sumie mówimy tu o 17 narodowościach! Po stronie aliantów walczyli Amerykanie, Brytyjczycy, Polacy, Francuzi, Marokańczycy, Tunezyjczycy, Nowozelandczycy, Maorysi, Japończycy (amerykańsko-japoński batalion), Gurkhowie… Z kolei po stronie Niemców walczyli też – mniej lub bardziej pod przymusem – Czesi, Polacy, Austriacy, a tuż za liniami pracowali rosyjscy jeńcy.

Francuzi właściwie przedarli się w styczniu, podczas pierwszej bitwy o Monte Cassino, przez Linię Gustawa. Dlaczego nie zostało to przekute w większy sukces?

Jednym z głównych problemów aliantów była walka w koalicji. Każda z walczących nacji miała swojego dowódcę. Francuzi przedarli się przez Linię Gustawa na północ od Cassino wysoko w ośnieżonych górach. Musimy pamiętać, że inni sojusznicy ufali im

eprasa.pl c6ac7a6051



Szkic terenu walk o Monte Cassino FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ M.CHAPIN JR.

dużo mniej niż całej reszcie z powodu tego, co wydarzyło się w 1940 r. Jednak jeszcze ważniejszym problemem były tu obiektywne trudności w zaopatrzeniu wojsk działających w tak trudnych warunkach. Poszerzenie tego włamania było po prostu szalenie trudne z przyczyn logistycznych.

To była pierwsza z bitew o Monte Cassino.

Zbierając materiał do książki, rozmawiałem z setkami uczestników tych walk. Jednym z najbardziej wstrząsających świadectw były wspomnienia żołnierza walczącego na lewej flance (patrząc na wprost Cassino), którego łódź przewróciła się w nawale ogniowej. Jego tonący koledzy łapali go za nogi i niemal go utopili. Aliantom udało się wtedy ustanowić na drugim brzegu rzeki mały przyczółek. W centrum ataku, niemal naprzeciw klasztoru, doszło wówczas do prawdopodobnie największej tragedii spośród wszystkich czterech bitew o Monte Cassino. Amerykańska 36. Dywizja Piechoty, składająca się z bardzo niedoświadczonych żołnierzy, poniosła wtedy kolosalne straty. Amerykanie również przedzierali się łodziami na drugi brzeg rzeki Liri. Jednostka ta została niemal zupełnie zmieciona, nie odnosząc przy tym właściwie żadnych zysków. Pewne sukcesy, które alianci zanotowali podczas pierwszej bitwy, były wynikiem tego, że inne jednostki miały mnóstwo szczęścia. Amerykańska 34. Dywizja Piechoty atakowała na prawej flance klasztoru. Jej żołnierze od razu zostali przygwożdżeni ogniem artyleryjskim, ale w sukurs przyszła im gęsta mgła. Dzięki temu udało im się zająć pozycje na wzgórzu i ustanowić tam przyczółek, który został utrzymany kosztem ogromnych strat.

Jak wyglądała druga bitwa?

Coraz większym problemem był dla alianckich żołnierzy klasztor. Ta budowla w pewien sposób ich prześladowała. Choć było to miejsce święte dla chrześcijan, to ponieważ klasztor był pod kontrolą Niemców, alianccy żołnierze widzieli w nim zło. Było to też doskonałe miejsce dla niemieckich obserwatorów kierujących ogniem artylerii. Podjęto wówczas bardzo kontrowersyjną decyzję, by zbombardować klasztor i obrócić tę budowlę w stertę gruzów. Piechota czekała, by zająć następnie tę kluczową pozycję, ale znów logistyka nie stanęła na wysokości zadania. To były elitarne jednostki hinduskie, wśród których walczyli Gurkhowie, a także brytyjskie regimenty, które odnosiły duże sukcesy w północnej Afryce. Siły te atakowały pozycje wzdłuż Głowy Węża w kierunku słynnego Wzgórza 593. Niemcy przeprowadzali wówczas niesamowite kontrataki. Klasztor był kupą gruzów, ale dzięki temu stał się dla Niemców jeszcze lepszą pozycją obronną.

To wielki paradoks...

Tak, ponieważ przed bombardowaniem Niemcy nie zajmowali klasztoru. W jego murach przebywali uchodźcy i mnisi – większość z nich zginęła. Po bombardowaniu Niemcy okopali się w gruzach klasztoru.

W trakcie drugiej bitwy doszło do natarcia nowozelandzkich Maorysów na stację kolejową w Cassino. Miasteczko to leży u podnóża góry klasztornej, na trasie drogi nr 6 prowadzącej doliną do Rzymu. Maorysi tylko przez kilka godzin mieli w swoich rękach stację.

Churchill powiedział wówczas, że mimo strat alianci muszą walczyć i ściągać z frontu wschodniego niemieckie posiłki dla sił broniących się we Włoszech. Brytyjski premier podkreślał, że trzeba wysyłać żołnierzy do ataku, by na Kremlu było to widoczne i żeby Stalin nie myślał o wycofaniu się z wojny.

Jakie siły Niemcy musieli przerzucić ze wschodu do Włoch?

Niewielkie. To nie była realna pomoc dla ZSRS. Chęć sprawienia, by Stalin był zadowolony, była tu dość ważna, ale to Anzio było głównym czynnikiem sprawiającym, że alianci wysyłali zimą swoich żołnierzy na Linię Gustawa.

Trzecia bitwa oznaczała dramat mieszkańców samego Cassino...

Bombowce alianckie zamieniły miasteczko w kupę w gruzów. Następnie wysłano tam elitarne jednostki nowozelandzkie. W tym samym czasie trwały walki o wzgórze zamkowe, które było swego rodzaju „odskocznią" na wzgórze klasztorne. Nowozelandczycy walczyli w gruzach domów z Niemcami, którym jakimś cudem udało się przetrwać bombardowanie. Okazało się wówczas, że bombardowanie przede wszystkim utrudniło pracę... atakującym. Mark Clark pchał do miasteczka coraz więcej żołnierzy, chcąc jak najszybciej osiągnąć sukces. Ale dowodzący Nowozelandczykami gen. Bernard Freyberg, człowiek bardzo niezależny, który miał bezpośredni kontakt z Churchillem, stwierdził, że to rzeźnia, i wycofał swoich żołnierz. Trzecia bitwa o Monte Cassino również skończyła się więc niepowodzeniem.

Jak podkreśla to pan w swojej książce, wszystkie trzy próby miały wspólny mianownik: alianci nacierali tylko w wybranych punktach, a nie na całej linii frontu.

Do maja zdarzyło się kilka rzeczy. Front adriatycki, czyli druga strona Linii Gustawa, praktycznie zupełnie zamarł z powodu powodzi. Alianccy dowódcy zrozumieli też, że trzeba wykorzystać przewagę i zaatakować na dłuższym odcinku frontu. Niemcy byli mistrzami w przerzucaniu posiłków tam, gdzie atakujący starali się przełamać front, więc alianci postanowili sprawić im problemy na całej linii. Dodatkowo pogoda się zmieniła i z jednej strony niebo znów należało do aliantów, a z drugiej ozna-

eprasa.pl c6ac7a6051



Żołnierze 2. Korpusu w ataku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/M. WAŃKOWICZ „MONTE CASSINO"

czało to, że można wysłać na Niemców czołgi.

Generał Alexander, głównodowodzący wojsk we Włoszech, zebrał na potrzeby czwartej bitwy potężne siły. W piechocie alianci mieli nad Niemcami przewagę 4:1, ale już w czołgach i artylerii wzrastała ona do 10:1. Planowany był jednoczesny atak na całym froncie z wykorzystaniem po raz pierwszy dwóch polskich dywizji. Przygotowaniom do tej decydującej bitwy towarzyszyła też operacja mająca przekonać Niemców, że alianci szykują kolejny wielki desant, co miało odciągnąć część ich sił. Czwarta bitwa zaczęła się od nieprawdopodobnie silnego ostrzału artyleryjskiego. Przewaga aliantów dała o sobie znać. W mojej książce podaję relację młodego amerykańskiego żołnierza, który pilnował niemieckiego jeńca. Amerykanin docinał mu: „Mieliście być rasą panów. Jak to się więc stało, że przegraliście?". Jeniec, który obsługiwał działo przeciwpancerne, odpowiedział: „Shermany wyjeżdżały jeden za drugim. Niszczyliśmy je po kolei, ale nam zabrakło pocisków szybciej niż wam czołgów". Według mnie ta scena świetnie podsumowuje, dlaczego czwarta bitwa zakończyła się sukcesem.

Polakom przydzielono piekielnie trudne zadanie, ale chyba trudno się tu doszukiwać jakiejś perfidii ze strony sojuszników, skoro wcześniej klasztor próbowali zdobyć m.in. Amerykanie, Brytyjczycy, Hindusi i Gurkhowie?

Tak, to było piekielnie trudne zadanie. Ale gen. Anders nie tylko miał zdobyć klasztor, lecz także później miał uderzyć na miasteczko Piedimonte, leżące na kolejnym pasie umocnień: Linii Hitlera.

Czy gen. Anders mógł odmówić? To przecież nie był rozkaz.

Dowódca 2. Korpusu, w przeciwieństwie do Amerykanów czy Brytyjczyków, nie miał rezerw. Jego żołnierze byli więc wyjątkowo cenni. Ale gen. Anders wiedział też, że to wyjątkowo istotne zadanie, a sam klasztor stał się niezwykle ważnym symbolem. Obrona tego wzgórza przechodziła powoli do legendy. Uwaga mediów na całym świecie była na nim skupiona. W Niemczech było ono symbolem nieprawdopodobnego męstwa i ducha oporu. Pozytywne informacje płynące z Linii Gustawa dawały Niemcom nieco nadziei, że może jednak III Rzesza jest w stanie wygrać tę wojnę. Monte Cassino miało więc olbrzymie znaczenie polityczne i symboliczne. Oczywiste było, że ktokolwiek je zajmie, będzie sławny na całym świecie. I dlatego Anders podjął się tego zadania. Jak sam przyznawał, skala trudności była oczywista, a koszt ogromny, ale zdawał sobie sprawę z istotności tego zadania dla aliantów, ale przede wszystkim dla Polski. Chodziło o przecięcie sowieckich kłamstw na temat rzekomej bierności Polski w walce z Niemcami.

Generał Anders wyciągnął lekcję z poprzednich prób zdobycia Monte Cassino: zajęcie jednej pozycji niewiele da, ponieważ zdobywcy momentalnie zostaną przykryci ogniem z pobliskich bastionów. Anders postanowił więc zaatakować jednocześnie wszystkie punkty niemieckiego oporu. Niemców było tam ok. 800, a Anders miał dwie dywizje. Ta przewaga była jednak niwelowana przez teren. I niestety atak 12 maja skończył się rzeźnią. Po zajęciu przez Polaków wrogich pozycji Niemcy wyskakiwali na ich tyłach. Okazało się, że łatwiej jest zająć dany punkt niż go utrzymać.

Polacy zdobyli czy raczej zajęli Monte Cassino?

Nieudany atak z 12 maja miał jeden, bardzo ważny skutek: skupił ogień niemieckiej artylerii na Polakach zamiast na aliantach przełamujących obronę w dolinie. Aby zebrać odpowiednią masę żołnierską do przeprowadzenia ataku, 16 maja gen. Anders ściągnął nawet kucharzy i kierowców. Niektórzy historycy zastanawiali się, czy ten drugi atak – bardzo krwawy – był konieczny, ponieważ przełom w bitwie nastąpił na innym odcinku i klasztor był właśnie odcinany od kontaktu z pozostałymi niemieckimi oddziałami. Wobec rychłego odcięcia klasztoru feldmarszałek Kesselring nakazał jego obrońcom opuszczenie pozycji. Gdy Polacy weszli więc na teren klasztoru, Niemcy już się z niego wycofali, pozostawiając jedynie rannych. Nawiasem mówiąc, miałem okazję rozmawiać z jednym z tych ranionych obrońców.

Zajęcie klasztoru wciąż się jednak liczyło...

Oczywiście, ten symbol wciąż się liczył i zajęcie klasztoru wzmocniło morale alianckich oddziałów. „Polacy w klasztorze!" – ta informacja lotem błyskawicy obiegła alianckie szeregi. I oczywiście trzeba też powiedzieć, że nieprawdopodobna waleczność Polaków, którzy atakowali z jakąś niewytłumaczalną energią, była jednym z czynników, które zmusiły Niemców do opuszczenia zajmowanych pozycji. Wyrzucenie Niemców z klasztoru zostało przecież okupione ogromnym kosztem.

Trzeba przyznać, że był to ogromny, tragiczny paradoks. Polscy żołnierze szturmowali wzgórze, tracąc tysiące ludzi – rannych i zabitych – by pokazać światu, że walczą z Niemcami, ale pośrednio brali też udział w alianckim spektaklu, który miał zadowolić Stalina. Tymczasem sowiecki tyran właśnie odbierał im ich małe ojczyzny...

Anders z przekonaniem mówił, że jeżeli nie pokona się Niemców, to nie ma szans na jakąkolwiek Polskę. Oczywiście rozumiał, że Polacy wykrwawiają się we Włoszech, a równocześnie Polska traci na rzecz Sowietów wschodnie tereny. Osiemdziesiąt procent jego żołnierzy pochodziło z Kresów i ci ludzie przeżywali w związku z tym osobiste dramaty. To prawda, że Churchill starał się sprawić, by Stalin był zadowolony z udział aliantów w wojnie, ale też nie mógł znieść tego, co się działo z Polską. Sam widział w tym zdradę sojusznika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Matthew Parker jest brytyjskim historykiem, autorem książki „Monte Cassino. Bitwa narodów II wojny światowej" (wyd. Rebis).

eprasa.pl c6ac7a6051

Wspomnienia żołnierzy / Krew, pot, łzy

Piekło i rzeź

Relacje uczestników i świadków bitwy o Monte Cassino uświadamiają, jak bardzo krwawe i wyniszczające psychicznie były walki z Niemcami

O godz. 1 ogień jak nożem ustał. Wśród oczekujących tego momentu żołnierzy przeszedł szmer: „Teraz nasi poszli – daj im, Boże, szczęście!". Jak się później okazało, przerwanie ognia było błędem, gdyż umożliwiło to Niemcom obsadzenie naziemnych bunkrów i stawienie skutecznego oporu [...]. Następnego dnia, 12 maja, przed południem nie mogliśmy uzyskać żadnych wiadomości o wyniku nocnego boju. To było niepokojące! Tylko od rannych wywożonych na tyły sanitarkami dowiedzieliśmy się, że to nie była bitwa, a piekło i rzeź! Opowiadali, że dostali się w ogień artylerii, że Niemcy kryją się w niedostępnych bunkrach i mają tak zaminowane, że pod każdym prawie kamieniem leżą miny. Patrole saperów rozminowujących przejścia dla piechoty zostały wybite.

Piotr Medyna, „Do Polski przez cały świat. Wspomnienia z 2 Korpusu", Warszawa 1970

Nagle obok mnie usłyszałem jakiś śpiew. Darł się na cały głos któryś z żołnierzy. Wystarczyło tego, aby sprowokować ogień Niemców. Biedny, zszokowany chłopiec, pomyślałem w duchu. Ale już dopadł go ktoś i uderzył w gębę. Z miłości, jak ojciec!

– Zabił mnie! Zabił! – wrzeszczał, padając na ziemię.

– Zwariował – powiedział ktoś obok.

– Zwyczajny szok – zaprzeczył zdyszany Jarski, który podbiegł do niego i gładził go po włosach, powtarzając trzykrotnie: Rysiu, Rysiu, nie bądź gówniarzem.

Tadeusz Radwański, „Karpatczykami nas zwali", Warszawa 1978

Wszystko więc kończy się, ludzie... amunicja... Teraz brak łączności zdecyduje o niepowodzeniu. Pozostało nas może kilkunastu na wzgórzu 593. Przycisnąłem głowę do kamienia, nie wiedząc, co robić. Wycofać się? Chyba nie zostawią nas samych? Przecież wiedzą, że tu jesteśmy. Na pewno przyjdzie nasze natarcie – rozważałem w duchu.

Radwański, dz. cyt.

Wzgórze 593 – „góra ofiarna" – dymi i błyska jak wulkan. Co chwila zbiegają z niej sanitariusze z rannymi. Wszelka łączność jest zerwana. Wzgórze ocieka krwią. Pociski otwarły groby poległych w poprzednich natarciach. Ciała świeżo poległych rwą pociski w strzępy. Na trupach tlą się ubrania. Kamienie i skały skrzesane są do białości. Ogień nie ustaje ani na sekundę.

J. Bielatowicz, „3 Batalion Strzelców Karpackich", Londyn 1949

Byłem przekonany, że żadnej pomocy nie dostaniemy. Mogę jeszcze ja i kilku moich żołnierzy zginąć, ale jaką dałoby to korzyść i komu? Szerząca się dookoła śmierć, a także świadomość, że mój upór przyniesie niechybną śmierć tych kilku jeszcze żywych żołnierzy, podyktowała mi ostateczną decyzję. Utrzymanie zdobytych stanowisk okazało się niezwykle trudne. Był to wprost nadludzki wysiłek. Zdecydowałem: wycofujemy się na odcinek pierwszej kompanii. *Radwański, dz. cyt.*

W innym miejscu leży ze swoim zastępcą, ppor. Śniechowskim, dowódca plutonu, por. Jan Szczighino. Odłamek granatu przerywa mu tętnicę. Podskoczył wachm. Fęski z opatrunkiem, zatamował krew, obandażował, pobiegł w tym piekielnym ogniu po nosze i zrobiwszy kilka kroków zaledwie – padł zabity. Czas się dłuży – nosze nie przychodzą. Szczighino poczyna gorączkować.

– Wiesz – mówi do Śniechowskiego – ja rozumiem... że one daleko... A przecież wydaje mi się, że moja matka i żona tuż [...]. Przeszedł jeszcze długi, długi czas i nagle huk ogłusza dwóch oficerów. Zrąbany pociskiem konar padł na nich.

– Czy to gałąź mnie uderzyła? – pytał słabnącym głosem Szczighino, a widząc, że ppor. Śniechowski został ranny, zrobił ruch, próbując mu pomóc.

– Nic nie mogę ci pomóc – szepnął i dostał drgawek. Bo to nie gałęzią został uderzony, tylko pociskiem w płuca.

Objął kolegę za szyję.

– Janek – niech mnie... pluton...

Ranny Śniechowski podniósł się nad umierającym:

– ... pochowa – wionął na niego ostatni szept.

Melchior Wańkowicz, „Monte Cassino", Warszawa 1984

Strz. Bułak, prosty, prawosławny chłopak z Wileńszczyzny, idzie pierwszy – mina naciskowa odrywa mu stopę. Podnosi się na jednej nodze, staje... Patrzą na niego ze zdumieniem, bo obraca się w kierunku nieprzyjaciela, podnosi ręce, jakby chciał uciszyć ten huk. Chwieje się – wygląda jakiś ogromny i krwawy.

– Koledzy, robię wam drogę...

Nim się spostrzegli – runął całą długością na ścieżkę w przód. Mina eksplodowała. Przeszli przez niego.

Wańkowicz, dz. cyt.

Nawet ciężko ranni, którzy leżeli na noszach i czekali na ewakuację, jeżeli się odzywali, to raczej pytali o rezultaty natarcia, a nie o swoje rany. Czuło się narastanie oporu i zaciekłości u tych wy-

www.DORZECZY.pl

eprasa.pl c6ac7a6051

męczonych i pokaleczonych ludzi. Teraz lepiej niż na najwspanialszej defiladzie widziało się, że byli to żołnierze z krwi i kości. Nie tylko z munduru, barw, obowiązku, ale żołnierze, którzy całą treść swojego życia, ciało i ducha, włożyli w tę walkę, których jedyną myślą i jedyną ideą w tym krwawym dniu było skupienie całej woli na przełamaniu oporu wroga. Była to stawka w grze o wolność narodu, na którą postawili wszystko, co mieli.

Adam Majewski, „Wojna, ludzie i medycyna", t. 2, Warszawa 1987

Późnym wieczorem wojsko dostało rum, oryginalny jamajka, zdaje się – po 1 flaszce na trzech. Rum był doskonały i przy dość chłodnej nocy przydał się znakomicie, podnosząc od razu nastroje. Niestety, byliśmy głodni, gdyż nie pozwolono nam zabrać ze sobą żadnych zapasów żywności, a to z uwagi na niebezpieczeństwo postrzału w brzuch, co przy napełnionym żołądku bywało znacznie gorsze.

Medyna, dz. cyt.

Krzycząc „Naprzód!" i „Biegiem!", rwaliśmy do przodu, by przeskoczyć zaporę artyleryjską […]. Myśli rozsadzały głowę – byle dalej, byle do szczytu… O dowodzeniu nie było mowy. Każdy działał na własną rękę. Bałem się, żeby chłopcy nie zalegli pod kamieniami, nie wytrzymując ognia, ale na szczęście sami zdawali sobie sprawę, że jedynym ich ocaleniem jest ruch do przodu, żeby przeskoczyć zaporę artyleryjską.

Medyna, dz. cyt.

Żołnierze przywarli do skał i nie ruszali się. Podpułkownik Fanslau mimo wszystko organizuje następne natarcie. Pójdą do przodu ci, co jeszcze zostali i nie ulegli szokowi. Spojrzawszy na leżących, podpułkownik powiedział:

– Tu mogą pozostać martwi i ci, co chcą umrzeć. Cała reszta dupę w garść i za mną! […]

Ruszyli. Idą do przodu i zaraz cofają się. Wszędzie słychać kanonadę i nawoływania, często po imieniu: „Do przodu, Władku!". Ale wojsko zaległo […] Podpułkownik Fanslau i major Stojewski-Rybczyński ponawiają swoje wysiłki, by poderwać wszystkich zalegających żołnierzy. Ci, widząc przed sobą dowódcę, tu i ówdzie podnoszą się i biegną za nim. Był to wspaniały, godny naśladownictwa przykład bohaterskiego dowódcy.

Radwański, dz. cyt.

Nasza piechota doszła do bunkrów i zaczęła je niszczyć granatami, miotaczami płomieni i bronią maszynową, wybijając broniących się i wyciągając dosłownie za łby nieprzytomnych z przerażenia Niemców. Co chwila dochodziło do walki wręcz. Obustronna zawziętość i determinacja doszły do szczytu. Bito się bagnetami, kolbami, nożami i kamieniami […]. Obie strony prawie nie brały jeńców. Z zapamiętaniem niszczono się wzajemnie. W pierwszym i drugim natarciu wzięto do niewoli zaledwie kilkudziesięciu jeńców.

Medyna, dz. cyt.

We wgłębieniu między 706 i Widmem ludzie się rozbiegli i zaraz następują eksplozje min. Pada dowódca plutonu, pchor. Lindner, kpr. Chojna, strz. Santocki ma urwaną rękę i nogę, jakiś strzelec leży w drgawkach agonii.

– Bardziej w prawo – krzyczy, łapiąc dech w piersi, potykając się po głazach, ppor. Chyliński.

– Ty co tu robisz? – zatrzymuje się nagle, widząc sapera, który powinien być w przodzie.

Młodziutki chłopak patrzy tak zahipnotyzowany na tego konającego w drgawkach: trzęsie się jak liść osiki.

– Mnie tu zabiją, panie poruczniku – mówi bezradnie, raczej jak dziecko do matki niż jak żołnierz do dowódcy.

– Trudno… wojna… – mówi jakoś miękko ppor. Chyliński. – Chodź, pójdziemy razem.

Trzy wybuchy, jeden po drugim… Za drugim ciało chłopca leci w strzępki. Za trzecim ppor. Chyliński traci przytomność.

Wańkowicz, dz. cyt.

My tu leżelim, a pan major [Andrzej Stańczyk – przyp. red.] – opowiadał mi jeden z żołnierzy, zaraz potem – to pewno coś zobaczył. Każdemu ciekawość: czołgi nasze idą? Niemcy poddają się? A pan major podniósł wysoko but i krzyczy: „Dobry znak, chłopcy! W gówno wdepłem!". To my się roześmiali tylko i poszli. Kużden jeden pomyślał – jak stary takie szpasy odwalą, to pewno już nie taki ostatni koniec.

Wańkowicz, dz. cyt.

Pada jeden, drugi pocisk, major Stańczyk przyklęka, bo nigdy nie padał, ja klękam, choć wolałbym upaść, ale fason nie pozwala, a major Żychoń opiera mi się na ramieniu, żeby uklęknąć, i jęknął. Poderwałem się i przez moje ręce zwalił się na ziemię. Ułożyłem go na wznak, podniosłem mu głowę, a on mówi: „Za Polskę i dla Polski", i to był, zdaje się, koniec.

Stanisław Żurakowski, „Ot, bajki… nie bajki", Londyn 1995

Sformułowałem sobie teorię, którą wyłożyłem mjr. Somchjancowi.

– Co należało, aby pobić Niemców?

– Inwazję.

– Co należało zrobić, aby umożliwić inwazję?

– Otworzyć drogę do Włoch Północnych, z których można bombardować skutecznie przemysł wojenny w Austrii. A więc zdobyć klasztor.

– Co należało zrobić, aby zdobyć klasztor?

– Unieszkodliwić 593.

– Kto zdobył 593?

– 4. batalion.

– Kto dowodził batalionem po śmierci ppłk. Fanslaua?

– Major Melik Somchjanc.

– Kto więc wygrał wojnę światową?

Zdaje się, jasne.

I jasne jest, że proporczyk 12. Pułku Ułanów Podolskich zawisł pierwszy na klasztorze, na który od miesięcy były zwrócone oczy świata.

Wańkowicz, dz. cyt.

Wybrał T.S.



Melchior Wańkowicz, świadek bitwy, autor książki „Monte Cassino" FOT. NAC

eprasa.pl c6ac7a6051



Antoni Łapiński z nowozelandzkim żołnierzem przy pomniku bitwy o Monte Cassino w Warszawie

FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Wywiad / Z Antonim Łapińskim, weteranem walk pod Monte Cassino



rozmawia Piotr Włoczyk

Droga śmierci pod Monte Cassino

eprasa.pl c6ac7a6051

– Pierwsze, co zobaczyłem, to właśnie klasztor. Ten widok zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jak można zdobyć tę twierdzę? Wydawało się to niemożliwe – wspominał Antoni Łapiński



Znoszenie rannych polskich żołnierzy
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/M. WAŃKOWICZ „MONTE CASSINO"



Domek Doktora FOT. NAC

PIOTR WŁOCZYK: Na mapach przedstawiających bitwę pod Monte Cassino widać punkt oznaczony jako „Domek Doktora". Czym było to miejsce o tak niewinnie brzmiącej nazwie?

ANTONI ŁAPIŃSKI: Niech nikogo nie myli ta nazwa, ponieważ ten domek mieścił się w strasznym miejscu. Był to wysunięty punkt opatrunkowy na linii frontu pod Monte Cassino. Jednym z lekarzy był dr Adam Majewski, który ciekawie opisał to wszystko w swojej książce. Przed bitwą mieszkała w tym domku chłopska rodzina. Na dole trzymane były zwierzęta, a na górze mieszkali ludzie.

Oczywiście w tamtym momencie cała ta okolica była od dawna opróżniona z cywili. Gdy pierwszy raz zobaczyłem za dnia „Domek Doktora", zauważyłem, że jedna z jego ścian była przykryta plandeką. Polacy zabezpieczyli w ten sposób wielką dziurę w ścianie od strony zajętego przez Niemców wzgórza 593. Była to pamiątka po wybuchu pocisku artyleryjskiego. „Domek Doktora" znajdował się na samej linii frontu.

Jakie zadanie postawiono przed panem w tej bitwie?

Służyłem wtedy w 1. Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej. Niedługo przed tą bitwą nasze dowództwo doszło do przekonania, że to będzie bardzo krwawa walka. Postanowiło więc przeszkolić więcej ludzi na sanitariuszy noszowych. Zostałem skierowany na takie szkolenie.

Mieliśmy przenosić ciężko rannych żołnierzy od „Domku Doktora" do podnóża tzw. Wielkiej Miski. Dalej ranni przenoszeni byli przez sztafety noszowych aż do miejsca, gdzie ładowano ich na jeepy willysy, które wiozły ich do szpitali polowych. Nosiliśmy więc rannych z frontu na tyły. Chociaż tak naprawę nie wiadomo, czy „Wielka Miska" to były tyły. Front wokół Monte Cassino był tak poszarpany, że trudno tu mówić o przodzie i tyle. Trzeba było uważać na każdym kroku. Nigdy nie zapomnę mądrego hasła, które nasi sojusznicy rozwieszali na drodze do Cassino i które towarzyszyło mi już do końca wojny: „Don't be stupid, don't get killed" („Nie bądź głupi, nie daj się zabić"). Czyli bez zbędnej brawury.

Jak wyglądała droga, którą nosiliście rannych?

Przebiegała równolegle do frontu. Ta ścieżka miała kilometr, była kamienista i wyboista. Raz biegła pod górkę, a raz z górki. Bardzo łatwo było o wywrotkę, a po obu stronach biegła taśma, której przekroczenie groziło śmiercią.

Taśma ostrzegała przed minami. Na ścieżce czyhało jednak na nas większe niebezpieczeństwo. Niemiecka artyleria nie widziała różnicy między żołnierzami z bronią w ręku a sanitariuszami z noszami. Ich pociski bardzo często uderzały w naszą ścieżkę. W takich chwilach trzeba było rzucać się na ziemię i przykrywać rannego. Wielu sanitariuszy noszowych straciło życie na tej trasie. Ujmę to w ten sposób: mijanie zabitych pociskami artyleryjskimi nie dodawało nam otuchy.

To była bardzo wyczerpująca praca. Nosiliśmy rannych dniami i nocami. Nosze i ranny to ciężar minimum 80 kg. Nigdy też nie wracaliśmy na „pusto". W drodze powrotnej zabieraliśmy 20-litrowe kanistry z wodą, a także prowiant.

eprasa.pl c6ac7a6051



Ranny żołnierz 3. Dywizji Strzelców Karpackich
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/M. WAŃKOWICZ „MONTE CASSINO"

Amunicję też?

Nie. Nie wolno nam było dotykać broni ani amunicji. Służby sanitarne miały się trzymać od tego z daleka.

Jak długo to wszystko trwało?

2. Korpus na dobre rozpoczął walki o Monte Cassino późnym wieczorem 11 maja, ale byliśmy na pozycjach już od 1 maja, luzując naszych wykrwawionych sojuszników. Rannych nosiliśmy od samego początku, ponieważ niemiecka artyleria co rusz do nas strzelała. To był typowy ogień nękający. Niemcy byli już dobrze wstrzelani i kilka razy w ciągu godziny wysyłali do nas parę pocisków artyleryjskich. Niedaleko nas rozstawione były, ukryte w jarach, polskie stanowiska moździerzowe, które rewanżowały się Niemcom. Odpowiadały też nasze ciężkie karabiny maszynowe. Nasze pozycje były naszpikowane piechotą, więc nietrudno było Niemcom trafić.

Pamięta pan pierwszy raz, gdy zobaczył pan klasztor?

Tak, to było pierwszego poranka, kiedy obudziłem się przy „Domku Doktora". Pierwsze, co zobaczyłem, to właśnie klasztor. Ten widok zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jak można zdobyć tę twierdzę? Wydawało się to niemożliwe.

Klasztor był po drugiej stronie Doliny Śmierci, czyli jakieś 800 m ode mnie.

Był dosłownie na wyciągnięcie ręki i robił piorunujące wrażenie. Wielka kupa dymiących gruzów. Pomiędzy mną a klasztorem ciągnęła się głęboka Dolina Śmierci. Nigdy nie widziałem tam nikogo, bo przejście nią oznaczało pewną śmierć. Przez te 10 dni mieliśmy mnóstwo pracy dniami i nocami, więc byliśmy bardzo mocno wymęczeni, zanim jeszcze zaczęła się właściwa bitwa.

Pierwszy atak 2. Korpusu musiał być niezapomnianą chwilą, tym bardziej że poprzedziła go kanonada ponad 1,5 tys. alianckich armat...

Zgadza się, to była niezapomniana chwila. 11 maja późnym wieczorem zebrał nas wszystkich dowódca i odczytał nam rozkaz gen. Władysława Andersa. O godz. 23 miał się zacząć atak. Czekaliśmy z niepokojem aż 2. Korpus uderzy... Wybija godz. 23... Artyleria gruchnęła na pozycje niemieckie. Z nocy zrobił się dzień. Miejscami było tak jasno, że spokojnie można było czytać... modlitewnik (śmiech). Kanonada trwała do godz. 1. Niemcy pochowali się w schronach, bo byli już przyzwyczajeni do ostrzału. Każdy zastanawiał się, czy tym razem się uda. Przecież wcześniej swoich sił próbowali Anglicy, Amerykanie, Nowozelandczycy i inni. I nic! Wydawało się, że Niemcy są nie do ruszenia.

Atak piechoty rozpoczął się o godz. 2. Nasi poszli do ataku! Momentalnie zaczęli znosić do nas pojedynczych rannych. A potem coraz więcej i więcej. O świcie to już był cały strumień rannych. Ustawiła się kolejka i ci wszyscy jęczący ludzie musieli czekać na pomoc lekarza, a następnie na zniesienie od „Domku Doktora" do „Wielkiej Miski". Tam czekała na nich kolejna sztafeta noszowych. Droga się kompletnie zapchała. Po prostu się nie wyrabialiśmy. Ludzie bardzo cierpieli w tej kolejce. To, co się działo 12 maja, to nie była walka. To była rzeź. Z obu stron.

Co pan słyszał od rannych?

Z ciężko rannymi nie było oczywiście kontaktu, ale lżej ranni opowiadali nam, jak idzie zdobywanie niemieckich bunkrów. Dlatego na bieżąco wiedziałem, co się dzieje 200 m dalej. Cieszyły kolejne sukcesy. Najpierw zdobycie wzgórza 593, a potem 569. Ale to były chwilowe triumfy, bo zaraz słyszałem, że Niemcy pozbierali się i wypchnęli Polaków z zajętych pozycji. Te wzgórza po kilka razy przechodziły z rąk do rąk.

Niemcy szanowali podstawowe reguły walki odnośnie do sanitariuszy?

Jeżeli chodzi o niemieckich strzelców wyborowych, to raczej tak – mieli respekt dla opasek sanitariuszy. Wiedzieli o tym, że jeśli oni będą strzelać do nas, to i nasi snajperzy będą strzelać do ich sanitariuszy. Z tego, co wiem, żaden z naszych sanitariuszy noszowych nie zginął od kuli karabinowej. Nasi chłopcy ginęli od pocisków artyleryjskich, bo – jak już wspomniałem – artyleria nie widziała między nami różnicy.

Co pana wtedy napędzało? Hektolitry kawy?

Kawy to – proszę pana – my nie widzieliśmy pod Monte Cassino. „Jechaliśmy" tylko na konserwach Corned Beef i na adrenalinie. Miałem wtedy 20 lat i 15 minut drzemki dawało siłę na kolejne godziny. Ale nikt oczywiście nie narzekał. Każdy miał świadomość, że to była przełomowa bitwa, Polacy muszą pokazać swoje męstwo i trzeba po prostu zrobić swoje.

Kolejne dni to bardzo ciężkie walki, ponosiliśmy wielkie straty. Jak wiadomo, łatwiej bronić się w bunkrach niż atakować. Mimo pewnych sukcesów wydawało się, że nie widać końca tych walk.

Nasza strategia polegała na zdobyciu wzgórz okalających klasztor. Założenie było takie, że okrążenie wykurzy Niemców z ich fortecy. W pierwszym ataku na wzgórz 593 i 569 oraz na Massa Albanetę brały udział bataliony 1. Brygady Strzelców Karpackich z 3. Dywizji Strzelców Karpackich (na „Widmo" nacierały oddziały 5. Kresowej Dywizji Piechoty). 17 maja uderzyła 2. Brygada Strzelców Karpackich. Z opowieści tych, których nosiliśmy, wiedzieliśmy, że idzie coraz lepiej, że Niemcy są już bardzo wyczer-

eprasa.pl c6ac7a6051

pani. Pojawiła się nadzieja, że tym razem się uda. I w końcu słyszymy, że Massa Albaneta została zajęta przez naszych! To okrążenie sprawiło, że Niemcy postanowili się wycofać z klasztoru.

Rankiem 18 maja nad ruinami wciągnięta została polska flaga. To dopiero musiał być widok.

Moją krótką drzemkę przerwał krzyk chłopaków: „Flaga nad klasztorem!". Za każdym razem, gdy wspominam ten moment, łzy cisną się do oczu. Ależ to niesamowicie wyglądało! Pękło coś we mnie, cały trud ustąpił, zostałem ożywiony na nowo. Mogłem już się poruszać całkiem swobodnie. Już nie było strachu, że mnie Niemcy ostrzelają.

To jeszcze nie był dla mnie koniec emocji. Tego poranka stałem przy studni i obserwowałem żołnierzy, którzy wracali akurat ze zwycięskiej bitwy. Nadciągali z kierunku Massa Albanety i „Gardzieli". Byli utrudzeni, wymęczeni, szli wolno gęsiego. Na ich twarzach nie było już widać radości, tylko śmiertelne zmęczenie. Zresztą chyba wszyscy tak wyglądaliśmy.

W pewnym momencie widzę, że kolejna grupka prowadzona jest przez oficera trzymającego thompsona. Kiedy zbliżył się do mnie na jakieś 20 m, serce niemal rozerwał mi wybuch radości. Tym podporucznikiem był mój rodzony brat Józef z 6. Batalionu Strzelców Karpackich! Wraz ze swoimi ludźmi zdobył Massa Albanetę. Od bardzo długiego czasu nie miałem od niego żadnej wiadomości. Podszedł do mnie i powiedział: „Popatrz, przyprowadziłem ze sobą aż siedmiu żołnierzy z plutonu. Jesteśmy żywi". A pluton to przecież 30 ludzi! W tym potwornym rozgardiaszu część ludzi gdzieś mu się zapodziała. Ostatecznie okazało się, że 18 jego żołnierzy przeżyło, a 12 na zawsze zostało u podnóża świętego dla Polaków wzgórza 593 pokrytego czerwonymi makami...

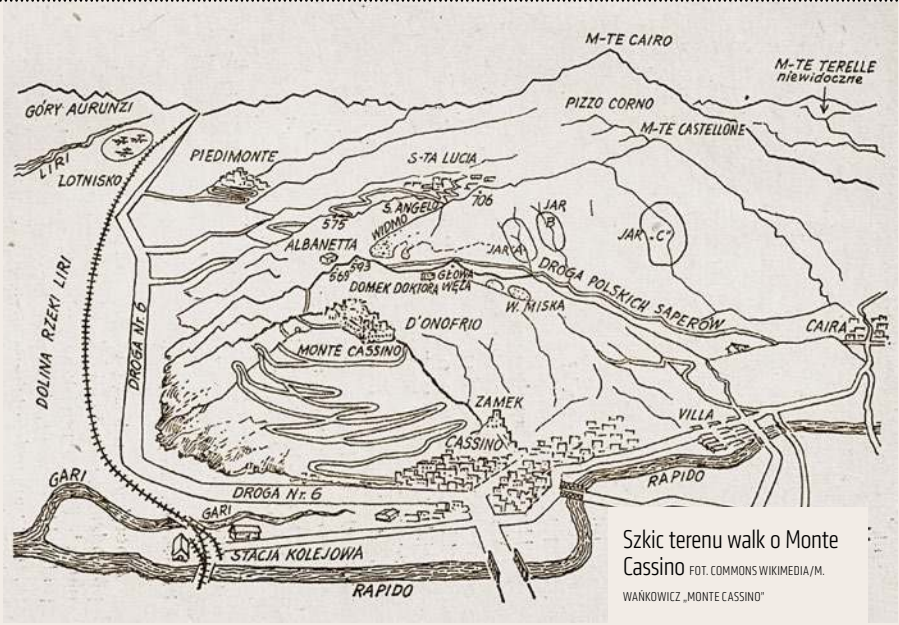
Trochę świata musieliście z bratem przejść, żeby dostać się pod Monte Cassino...

Tak, to była długa tułaczka. Wszyscy zostaliśmy wywiezieni za Ural. Brat został aresztowany już w październiku 1939 r. za udział w manifestacji licealistów w naszych rodzinnych Łapach. Uczniowie zebrali się na rynku miasta, by zaprotestować przeciw przyłączeniu naszych terenów do Białoruskiej SRS. Brat dostał za to 10 lat łagrów. Zamieniono mu to na 10 lat pracy w kopalni w Karagandzie w Kazachskiej SRS. Resztę rodziny Sowieci deportowali właśnie dlatego, że wcześniej brat dostał od nich wyrok. Uznano nas wszystkich za wywrotowców. Po pakcie Sikorski-Majski brat został zwolniony z tej katorżniczej pracy i zaczął się kierować tam, gdzie – jak usłyszał po drodze – wysłano mieszkańców naszych rodzinnych stron.

Kiedy latem 1941 r. Sowieci uznali Polaków za sojuszników, pracowaliśmy akurat na budowie kolei. Codziennie po pracy szukaliśmy go na zmianę wśród przejeżdżających transportów. Któregoś dnia moja siostra jak zwykle biegała od pociągu do pociągu i krzyczała: „Czy Łapiński jest?". Po trzech tygodniach w końcu odezwał się upragniony głos: „Łapiński jest!". I z wagonu bydlęcego wychodzi wynędzniały facet w obdartym stroju. Byliśmy wszyscy razem.

Ilu członków pańskiej najbliższej rodziny zostało na zawsze w Sowietach?

Nikt! To się bardzo rzadko zdarzało, żeby wszyscy deportowani przeżyli. My jednak mieliśmy masę szczęścia. Razem z bratem postanowiliśmy oczywiście jak najszybciej dołączyć do powstającej armii gen. Andersa. Kiedy w końcu dotarliśmy do punktu werbunkowego polskiej armii, wzruszeń nie było końca. Czy pan jest sobie w stanie wyobrazić, co po tym wszystkim oznaczał dla nas widok polskiej flagi?



Szkic terenu walk o Monte Cassino FOT. COMMONS WIKIMEDIA/M. WAŃKOWICZ „MONTE CASSINO"

Przez Bliski Wschód i Włochy mieliście pójść prosto do Polski, ale po drodze potwierdzone zostało w Jałcie, że Polska traci Kresy i trafia do obozu sowieckiego...

Koniec wojny to oczywiście radość, że to wszystko przeżyliśmy – po Monte Cassino skończyłem podchorążówkę i przeszedłem do łączności oraz do zwiadu – ale Jałta faktycznie zatruła atmosferę w naszych szeregach. W niektórych oddziałach 2. Korpusu pojawiły się nawet buntownicze nastroje, choć ja w swoim otoczeniu nie zaobserwowałem aż tak ostrej reakcji. Jałta była jak cios obuchem w głowę...

Po tym wszystkim, co przeszliśmy, po tym, ile krwi Polacy przelali, nie mieliśmy szans na powrót do wolnej ojczyzny... W moim przypadku jedynym pocieszeniem było to, że moje rodzinne Łapy nie zostały odcięte od Polski. Ja przynajmniej miałem dokąd wracać w przeciwieństwie do wielu moich kolegów, których małe ojczyzny zostały na zawsze oderwane przez Stalina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Antoni Łapiński (1923–2020) był zesłańcem, weteranem 2. Korpusu Polskiego, uczestnikiem walk pod Monte Cassino. Wywiad został przeprowadzony i opublikowany po raz pierwszy w 2019 r.

eprasa.pl c6ac7a6051



Ksawery Pillati „Śmierć Kazimierza Sprawiedliwego”

FOT. DOMENA PUBLICZNA

830. rocznica śmierci / Nagły zgon Kazimierza Sprawiedliwego

Tajemnica ostatniej uczty



Leszek Lubicki

Nic nie mogło wskazywać na to, że uroczysta biesiada wydana po powrocie ze zwycięskiej wyprawy zakończy się dla Kazimierza Sprawiedliwego tragicznie

Kiedy wszyscy wszędy się weselili – [książę], ta jedyna – ta osobliwa gwiazda ojczyzny, gdy zadawał właśnie pewne pytania biskupom o zbawienie duszy, wychyliwszy maleńki kubek – na ziemię się osunął i ducha wyzionął. Nie wiadomo, czy zgasł [tknięty] chorobą czy trucizną”. Słowa te zapisał Mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, prawdopodobnie naoczny świadek śmierci Kazimierza II Sprawiedliwego. Działo się to dokładnie 830 lat temu, 5 maja 1194 r., na wawelskim zamku. Spójrzmy na rysunek ilustrujący tę opowieść zamieszczony w „Wizerunkach królów i książąt polskich” pióra Józefa Ignacego Kraszewskiego. Napisano pod nim: „Kazimierz po wychyleniu kubka, w którym domyślano się później zadanej mu przez zazdrosną kobietę trucizny, nagle żyć przestał”. Jego autor wskazał tu osobę – „zazdrosną kobietę” – winną śmierci najmłodszego z synów Bolesława Krzywoustego, o czym Kadłubek nie wspomniał w swojej kronice. Widzimy tutaj nawet leżący opodal nóg Kazimierza pusty kubek. Dlaczego zatem autor tego podpisu sugeruje, że książę został otruty przez „zazdrosną kobietę”, skoro Kadłubek nic o niej wspomina?

Po powrocie z wyprawy na Jaćwingów-Połekszan, którzy wcześniej zawarli rozejm z Kazimierzem, a później go złamali i za ten czyn zostali surowo i bezwzględnie ukarani, Kazimierz już w Krakowie oddał się modłom dziękczynnym. Było to ostatnie już zwycięstwo militarne naszego księcia. Msze św. odprawiano w kolegiacie św. Floriana, patrona

eprasa.pl c6ac7a6051

stołecznego miasta. Nazajutrz książę wyprawił wielką ucztę, gdzie spotkali się najważniejsi możni świeccy i duchowni. I była to jego ostatnia uczta. Zarówno Rocznik Krakowski spisany w XIV w., jak i Rocznik Traski pod rokiem 1195 podają, że „Kazimierz, ojciec Leszka i Konrada, zmarł w Krakowie nagłą śmiercią wskutek czarów pewnej kobiety".

Jan Długosz uszczegółowił dokładny rok śmierci księcia na 1194, a nade wszystko powyższą informację rozwinął i dokonał dłuższego opisu ostatnich chwil życia księcia Kazimierza nazwanego później Sprawiedliwym. Na uczcie tej – pisze Długosz – „wspominano ominięte i przeżyte niebezpieczeństwa i późniejsze czasy zasłużonego spokoju, które nadto chwalono jako bezpieczne i szczęśliwe. Zasługę jednak tych wszystkich pomyślnych wydarzeń przypisywali księciu i monarsze Kazimierzowi […]. Kiedy więc wszyscy przyjęci wspaniale na sutej uczcie zbierali się do odejścia, książę Kazimierz postawił biskupom pewne pytania o istotę duszy i jej nieśmiertelność oraz o wiecznym szczęściu świętych. Wypytywał też możliwie najdokładniej o związane z tym niejasne i zawikłane okoliczności, a wychyliwszy mały puchar, osunął się do tyłu (wskutek nagłego – jak powiadają – działania trucizny) i straciwszy przytomność, upadł, a po paru godzinach, wskutek wzmagającej się choroby, zmarł. Jedni wyrażali przekonanie, że powaliła go choroba, inni, że napój miłosny, który podobno podała mu pewna kobieta z Krakowa, żeby rozpalić jego uczucie i zmysły ku sobie. Ponieważ mimo upomnień ze strony biskupa krakowskiego Fulka [Pełki – przyp. red.] nie wzdrygał się przed występnym cudzołóstwem, naraził się na nagłą, niespodziewaną śmierć przez otrucie". Mamy tu ukazany dodatkowy obraz księcia. Człowieka niestroniącego od kontaktów pozamałżeńskich.

Zasiadając na tronie stolicy senioralnej, czuł się wielkim księciem. Był także fundatorem wielu nowych miejsc sakralnych

„Najjaśniejsza gwiazda"

W chwili nagłej i niespodziewanej śmierci Kazimierz miał lat 56, z czego na tronie krakowskim zasiadał lat 17.



Biskup Wincenty Kadłubek

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Chociaż w owych czasach wiek ten był uważany za poważny, to jednak książę cieszył się całkiem dobrym zdrowiem – zarówno na ciele, jak i umyśle. Nic nie mogło wskazywać na to, że uczta, w której właśnie uczestniczył, zakończy się tragicznie.

Postać księcia Kazimierza nie budzi współcześnie zbyt dużego zainteresowania. Jak pisał prof. Jerzy Wyrozumski: „Kazimierz II Sprawiedliwy, nie dość eksponowany w naszej historiografii, należał do władców wybitnych, jak na warunki, w których żył i działał. Wykazywał się nie tylko dużą zręcznością w polityce wewnętrznej, ale radził sobie nieźle w relacjach z innymi książętami piastowskimi; uzurpowany pryncypat udało mu się uprawomocnić dostępnymi wówczas środkami i utrzymać do końca życia. W polityce zagranicznej, wykraczającej poza Polskę, wykazał się dużą aktywnością i pewnym szerszym horyzontem politycznym" (Wyrozumski, 1999).

No cóż, możemy tylko założyć, że dlatego „nie budzi zbyt dużego zainteresowania", iż był po prostu nudny, a o nudnych ludziach zwyczajnie mało się mówi i pisze. Jedną z ważniejszych zasług Sprawiedliwego jest wydanie polecenia spisania dziejów Polski. Dokonał tego Wincenty Kadłubek. A mógł to książę zlecić, gdyż był w owych czasach panem potężnym. Jego władzy podlegały ziemie krakowska, sandomierska, środkowa część Polski z ziemiami łęczycką i sieradzką.

Zwierzchnictwo Kazimierza uznawały Mazowsze i Kujawy oraz Pomorze Gdańskie. Zasiadając na tronie stolicy senioralnej, czuł się wielkim księciem. Był także fundatorem wielu nowych miejsc sakralnych, w tym wspaniałego klasztoru cysterskiego w Sulejowie. Liczono się z nim nie tylko w Polsce, lecz także na Rusi. I paradoksalnie dzieło Kadłubka mogło spowodować, że książę nie budzi większych emocji w przeciwieństwie do innych piastowskich krewnych, którzy walczyli o władzę i wzmacniali ją ogniem i mieczem, wypędzali braci, wydłubywali oczy czy też dopuszczali się innych czynów, które obecnie uznajemy za okropności.

Cóż więc uczynił Mistrz Wincenty? Jak uważa Tadeusz Wasilewski:

eprasa.pl c6ac7a6051



Jan Matejko „Kazimierz Sprawiedliwy"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Kadłubek zarysował postać księcia jako ideał władcy rozważnego, liczącego się z radami biskupów i dostojników świeckich, i oświeconego". Takie ukazanie „powoduje naszą niepewność, czy przedstawiona sylwetka Kazimierza odpowiada rzeczywistości" („Poczet...", 1991). Jednak musimy wspomnieć o jeszcze jednej zasłudze księcia, gdyż to od niego „zaczyna się droga, która prowadzić będzie do polityki wschodniej jego praprawnuka Kazimierza III, a dalej do unii z Litwą i jej ruskimi księstwami – nie do podboju tylko, ale raczej do unii właśnie" (Nowak, 2014). Nie jest jednak przedmiotem tej opowieści chwalenie czy też szukanie dziury w całym w działalności zwierzchniego księcia Polski, którym został on po buncie możnowładców krakowskich, którzy wystąpili przeciwko prawowitemu władcy, Mieszkowi III Staremu. Peany na jego cześć pozostawił nam w swojej kronice Wincenty Kadłubek, dla którego książę był „najjaśniejszą gwiazdą". Przyjrzyjmy się raczej do dzisiaj jednoznacznie niewyjaśnionej przyczynie jego nagłej śmierci. Jest jeszcze jedna, jakże ważna dla dalszych rozważań, charakterystyka postaci naszego bohatera. Jak zauważył Józef I. Kraszewski: „Wojak, myśliwy, miłośnik niewiast, nieprzebierający w towarzystwie, jest zarazem wielkim mądrości miłośnikiem [...]. Duchowieństwo nie ma mu nic do zarzucenia, krom owej do niewiast słabości, której, jak utrzymują, paść miał nawet ofiarą".

Poszukiwania truciciela

Kadłubek daje do zrozumienia, że książę został otruty, ponieważ gdyby zmarł naturalnie (z powodu choroby), to na pewno nic by nie wspomniał o truciźnie. Potrafiono wówczas raczej rozpoznać, czy tak nagła śmierć była wynikiem udaru czy zawału serca. Dziwi natomiast, że kronikarze nic nie napisali o śledztwie, które wyjaśniłoby, kto mógłby przyczynić się do otrucia, a co jeszcze istotne – w jaki sposób ktoś mógł mu wrzucić do kubka truciznę czy też ów „napój miłosny". Tym kimś mogła być tylko osoba, która była blisko księcia. Władca przecież nie nalewał sobie wina sam. Wcześniej każdy posiłek był sprawdzany przez dworskiego urzędnika. Wiemy, że Kazimierz był przeczulony na punkcie trucia, gdyż w jego czasach takie rzeczy często się zdarzały, szczególnie na bliskiej mu Rusi, i dlatego bardzo na to uważał.

Od wieków wiadomo, że zabija ten, komu przyniesie to jakąś korzyść. Wobec tego, że wspomina się o kobiecie, to w bliskim otoczeniu księcia znana była tylko jedna. Jego żona Helena. Czyżby była to zemsta za zdrady męża? Poza tym miała w tym interes. Weszłaby wreszcie na scenę polityczną jako regentka małoletniego, najstarszego syna Leszka, zwanego Białym. Wówczas możni świeccy i duchowni wybraliby go na tron krakowski, bez oglądania się na testament Krzywoustego, uznając za ważniejsze ustalenia zjazdu w Łęczycy z roku 1180. Jak zauważa część badaczy, była to pierwsza znana elekcja polskiego władcy. Stworzono by znaczną siłę polityczną: księżna wdowa z najstarszym, 10-letnim synem, dziedzicem tronu na Wawelu, biskup Pełka i wojewoda krakowski Mikołaj. I tak uczyniono.

Trwało to jednak zaledwie kilka lat. Potem Helena zawarła układ z Mieszkiem Starym, oddając mu Kraków. Sobie i swoim dzieciom zapewniła tym jego opiekę i udział w podziale dziedzictwa Kazimierza. Nie można przecież wykluczyć, że miała taki dalekosiężny plan, przygotowując truciznę niewiernemu mężowi. Naciągana hipoteza? Być może, ale jednak prawdopodobna. Stawia ją Jerzy Besala, analizując zapisy Kadłubka: „Wygląda zatem na to, że Mistrz Wincenty chciał w sposób zakamuflowany przekazać, że za otruciem stała kobieta. Ale która? Czy nie maczała w tym palców jego żona? Była nią księżniczka z Moraw, Helena, córka księcia Konrada II Znojemskiego, z dynastii Przemyślidów. Miała łatwy dostęp do księcia. O truciznę też nie było trudno. Słowianie już od zarania swych dziejów, jak przystało na ludzi obcujących przez wieki z przyrodą, doskonale orientowali się w jadach i trutkach".

Natomiast hipotezę o kobiecie z Krakowa, która miała „rozpalić jego zmysły", należy raczej odrzucić. Na pewno nie miałaby możliwości podania władcy zbyt mocnego „napoju miłosnego", który niezgodnie z jej intencją by go zabił. Musiałaby tego dokonać przy pomocy kogoś z dworskiej służby. Ten na pewno byłby wytropiony i zgładzony. Ona zresztą także, bo po torturach zapewne by ją wydał. O tym „by się pisało".

Kolejnym podejrzanym mógłby być brat, senior rodu, Mieszko III Stary. Jemu śmierć Kazimierza torowała drogę do ponownego zajęcia krakowskiego tronu. A więc miał motyw. Jednak także tę hipotezę należy raczej odrzucić. Marek K. Barański przedstawia w tym kontekście solidną koncepcję. „Zabójca, planując zbrodnię, ma jakieś dalej idące plany, ma jakieś cele, którym zbrodnia by służyła. W tym przypadku celem Mieszka mogło być zajęcie Krakowa. Aby cel ten osiągnąć, musiałby przygotować nie tylko truciznę, ale również wojska gotowe do działania. Tymczasem niczego takiego nie widzimy. Po śmierci Kazimierza nastąpiła w Polsce konsternacja, żaden z Piastów nie ruszył do Małopolski, w kraju nadal panował spokój. Mieszko zareagował

eprasa.pl c6ac7a6051

dopiero po roku (bitwa nad Mozgawą). Wyraźnie nie był przygotowany na taki rozwój sytuacji".

Biograf Sprawiedliwego, Józef Dobosz, tak widzi rzecz: „Być może zatem okoliczności nagłego zgonu księcia krakowskiego okryte były jakąś tajemnicą (co jest zawsze dobrą pożywką dla literatów), a może zmarł on z powodów prozaicznych – osiągnął, jak na tamte czasy, podeszły wiek. Cytowany wyżej Marek K. Barański także optuje za naturalną przyczyną śmierci Kazimierza (atak serca), jednak nie z powodu jego wieku, ale dlatego, że prowadził intensywne życie polityczne – bezustanne podróże, udział w bitwach, stres związany z możliwym buntem itp.

Książę, co wiemy od Kadłubka, urządzał częste biesiady, ale oczywiście tylko w „chwalebnym" celu. Kazimierz „pod osłoną jakowejś dobroduszności nie tylko hucznych uczt nie unika, lecz coraz częściej urządza bardzo okazałe i wystawne biesiady, a to z wielu powodów". Tym najważniejszym powodem było podsłuchiwanie, co podchmieleni już biesiadnicy mówią o jego rządach i czy nie planują buntu. Choć kronikarz zapewniał, że książę nigdy się nie upijał, to jednak pojawiają się domysły, że był nałogowcem. Czyli atak serca mógł być związany z uzależnieniem czy też uzależnieniami – dodatkowo od kobiet. Stąd Dobosz pisze o zgonie okrytym „jakąś tajemnicą".

Biograf zamieszcza w swojej książce takie oto stwierdzenie zaczerpnięte od innego badacza, Błażeja Śliwińskiego: „Cichutko, żeby nikogo nie urazić, jakoś tak nieoficjalnie, tu i ówdzie napomyka się, iż książę Kazimierz po prostu zginął od przedawkowania alkoholu, od nadmiaru trunków, a mówiąc wprost: jako zaawansowany alkoholik zapił się na śmierć". Nie będąc jednak zwolennikiem historii alternatywnej ani spiskowej teorii dziejów, podaję tę koncepcję całkiem świadomie, gdyż może być coś na rzeczy. Jesteśmy niestety skazani na domysły, ponieważ – jak zauważa Agnieszka Teterycz-Puzio – „[...] okoliczności śmierci księcia były podejrzane [...], ale informacje źródłowe pozwalają jedynie z całą pewnością uznać, że śmierć księcia była nagła, co rzeczywiście mogło sugerować użycie trucizny".



Modlący się Kazimierz Sprawiedliwy. Wizerunek z „Kroniki polskiej" Marcina Bielskiego
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Dziwi natomiast to, że kronikarze, a nade wszystko najlepiej poinformowany Wincenty Kadłubek, prawdopodobnie uczestnik tragicznej biesiady, ani słowem nie wspomnieli, czy odpowiednie „służby" dochodziły, kto mógł stać za otruciem Kazimierza. Przecież nie mogli odpuścić wyjaśnienia zabójstwa władcy Polski. Sprawca na pewno byłby ujęty, a po torturach dałby gardła. Nic takiego natomiast się nie stało, a przynajmniej nic o tym nie wiemy. Długosz pisze, że wszyscy tylko „wzdychali i jęczeli" i czwartego dnia pochowano Kazimierza w katedrze wawelskiej. Może nie było potrzeby szukania sprawcy, bo książę się zapił (udar, zawał) lub... otruł się sam. Był uzależniony od „miłostek", a ze względu na wiek i być może liczbę kobiet musiał się „wspomagać". Znane już były afrodyzjaki. I być może przedawkował. Panegirysta księcia Mistrz Wincenty nie mógł o takiej możliwości wspomnieć ani też o jego uzależnieniach, ponieważ zepsułoby to lansowany przez niego obraz „księcia sprawiedliwości", człowieka bez skazy, „wspaniałego słońca". I dlatego też wciąż nie jesteśmy w stanie jednoznacznie stwierdzić przyczyny śmierci księcia Kazimierza II Sprawiedliwego. Tajemnica pozostaje nierozwiązana. I jest to dla osób interesujących się historią zawsze najciekawsze.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce"****, Warszawa 2005; Besala J.,* ***„Zagadki kryminalne Rzeczypospolitej szlacheckiej"****, Warszawa 2021; Dobosz J.,* ***„Kazimierz II Sprawiedliwy"****, Poznań 2014; Garlicki A. (red.),* ***„Poczet królów i książąt polskich"****, Warszawa 1991; Kraszewski J.I.,* ***„Wizerunki królów i książąt polskich"****, Warszawa 1888; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski"****, t. 1, Kraków 2014; Teterycz-Puzio A.,* ***„Zamachy na Piastów"****, Poznań 2019; Wyrozumski J.,* ***„Dzieje Polski piastowskiej (VIII wiek–1370)"****, Kraków 1999.*



Kościół Cystersów w Sulejowie, fundacji Kazimierza Sprawiedliwego FOT. LESZEK LUBICKI

eprasa.pl c6ac7a6051



Sławomir Koper

1889 r. / Szok w Austro-Węgrzech

Tragedia w Mayerlingu

To był największy romantyczny dramat czasów belle époque. Śmierć austriackiego następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa, i jego kochanki, Marii Vetsery, do dzisiaj inspiruje historyków, dziennikarzy, pisarzy i kompozytorów

Dynastia Habsburgów od wieków słynęła z wyjątkowo rozważnej polityki rodzinnej. Nie bez powodu mawiano, że niech inni prowadzą wojny, a „ty, szczęśliwa Austrio, żeń się". Dzięki korzystnym małżeństwom Habsburgowie opanowali trony: hiszpański, czeski i węgierski, a chociaż później stracili pirenejskie królestwo na rzecz francuskich Bourbonów, to pozostały im korona cesarstwa rzymskiego, którą w 1806 r. zamienili na tytuł cesarstwa Austrii.

Inna sprawa, że polityka dynastyczna Habsburgów spowodowała, iż w rodzinie dochodziło wręcz do „chowu wsobnego". Starając się nie roztrwonić zdobyczy terytorialnych, często zawierano małżeństwa w obrębie rodziny, a szczególnie pomiędzy przedstawicielami hiszpańskiej i austriackiej linii dynastii. Prowadziło to do licznych degeneracji, czego przykładem było wygaśnięcie gałęzi hiszpańskiej. Jej ostatni przedstawiciel, Karol II, miał nie tylko monstrualnie rozrośniętą szczękę, tak że nie tylko nie potrafił nigdy zamknąć ust, lecz także cierpiał na poważne problemy psychiczne i przez wiele lat sypiał w trumnie.

Wprawdzie austriacka linia rodu przetrwała (jako dynastia lotaryńsko-habsburska), jednak problemy eugeniczne nie zmieniły obyczajów dworu w Wiedniu. Inna sprawa, że tak naprawdę wybór kandydatek na żony był niewielki. Panujący cesarz (lub następca tronu) musiał



Tragedia w Mayerlingu. Grafika Charles'a Garabeda Atamiana

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl c6ac7a6051



Pałacyk Mayerling FOT. COMMONS WIKIMEDIA

bowiem ożenić się z katolicką księżniczką pochodzącą z królewskiej rodziny o odpowiednim znaczeniu. W praktyce ograniczało to wybór do niewielkiego kręgu, a tak naprawdę niemal wyłącznie do hiszpańskich i sycylijskich Bourbonów czy bawarskich Wittelsbachów. W efekcie cesarz Franciszek II Habsburg poślubił Marię Teresę Burbon z linii Burbonów sycylijskich, z którą miał dwoje wspólnych dziadków. Nie powinno zatem specjalnie dziwić, że jego syn, cesarz Ferdynand Dobrotliwy, był osobnikiem ograniczonym psychicznie i gdy upolował kiedyś orła, to był zdumiony, że ptak miał tylko jedną głowę, a nie dwie, jak w herbie Habsburgów. Częste małżeństwa łączyły też władców Austrii z bawarskimi Wittelsbachami i doszło do tego, że Zofia, królewna bawarska, wyszła za arcyksięcia Franciszka Karola, a ich syn, cesarz Franciszek Józef, poślubił bratanicę matki, Elżbietę (Sisi). Problem był tym większy, że Wittelsbachowie również byli rodziną, w której pojawiały się problemy psychiczne, jak chociażby u kuzyna Sisi, Ludwika II Bawarskiego. Ten ekscentryczny protektor Ryszarda Wagnera i budowniczy bajkowego zamku Neuschwanstein z powodu zaburzeń umysłowych został ostatecznie zmuszony do abdykacji, a tron po nim objął brat, Otto, który „biegał na czworaka i szczekał jak pies". Nowy władca chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że został królem, a rządzili za niego regenci.

Dziwne małżeństwo

Elżbieta Wittelsbach była osobą ekscentryczną, o zdecydowanym charakterze. W wieku 17 lat poślubiła starszego od siebie o siedem lat cesarza Austrii, Franciszka Józefa. Dość szybko dały się zauważyć poważne różnice w charakterze małżonków, gdyż cesarz w pełni aprobował dworską etykietę, która uchodziła obok hiszpańskiej za najbardziej surową w Europie. Był też typem technokraty, który wstawał o godz. 4, by przez cały dzień oddawać się obowiązkom państwowym. Podporządkował temu życie kosztem rodziny, co musiało się odbić na jego stosunkach domowych. Tym bardziej że Elżbieta nie znosiła biurokracji, była osobą bardzo otwartą, uwielbiała literaturę, podróże, długie spacery i jeździectwo, czego małżonek nie potrafił zrozumieć. Żywiła też szczerą sympatię do Węgrów, nauczyła się nawet ich języka, a na damy dworu wybierała tylko arystokratki znad Balatonu. Powszechnie postrzegano ją jako zwolenniczkę liberalizmu i zreformowania skostniałego austriackiego aparatu państwowego.

Małżeństwo jednak przez wiele lat jakoś funkcjonowało, czego dowodem były narodziny trzech córek i syna. Szczególnie przyjście na świat arcyksięcia Rudolfa w sierpniu 1858 r. miało ogromne znaczenie polityczne, gdyż Rudolf stał się następcą cesarskiego tronu, a po przekształceniu państwa w monarchię dualistyczną – przyszłym cesarzem Austrii i królem Węgier.

Chociaż Elżbieta, zgodnie z etykietą dworską Habsburgów, została pozbawiona wpływu na wychowanie syna, to następca tronu bardzo ją przypominał. Podobnie jak matka nie znosił biurokratycznych metod sprawowania rządów przez ojca i buntował się przeciwko sztywnym rygorom dworu wiedeńskiego. Chociaż zgodnie z obyczajami dynastii rozpoczął służbę wojskową, to stanowisko dowódcy pułku piechoty, które objął, miało charakter wyłącznie reprezentacyjny. Sam arcyksiążę bardziej interesował się literaturą, nauką i techniką, co odróżniało go od kostycznego ojca (Franciszek Józef nie pozwolił na zamontowanie w swojej siedzibie nawet telefonu). Patronował pracom nad monumentalnym dziełem „Monarchia austro-węgierska w słowie i obrazach", będącym rodzajem kompendium wiedzy o państwie Habsburgów. Było to wydawnictwo wyjątkowe, co potwierdza to, że tom poświęcony Galicji zawierał prace autorstwa m.in. Stanisława Smolki, Michała Bobrzyńskiego czy Stanisława Tarnowskiego. Rudolf osobiście też chętnie chwytał za pióro i wykazywał duży talent publicystyczny. Był autorem wielu artykułów, a czytelnicy chwalili go za klarowny język.

Był też szczerym krytykiem polityki ojca. Nie ukrywał swoich poglądów, twierdząc, że cesarz otacza się biurokratami, jest człowiekiem oderwanym od życia i tak naprawdę nic nie wie o swoich poddanych. Rudolf wyrażał też sympatię dla francuskiego republikanizmu i szczerze nie znosił Prus, z dynastią Hohenzollernów na czele. Niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że Austria powinna skoncentrować się na stworzeniu silnej, konstytucyjnej monarchii naddunajskiej, a nie pozostawać w orbicie Niemiec. Był także zwolennikiem przebudowy monarchii w duchu federacyjnym z zagwarantowaniem praw wszystkich narodowości zamieszkujących imperium Habsburgów. Z tego też powodu cieszył się dużą sympatią Czechów i Polaków.

„Zapłacić i oddalić"

Nauka, sztuka i polityka nie wyczerpywały jednak zainteresowań arcyksięcia. Rudolf był bowiem człowiekiem wyjątkowo rozrywkowym i uwielbiał alkohol, muzykę i piękne kobiety. Opowiadano o jego licznych romansach, a pod tym względem był prawdziwym demokratą i nie zwracał uwagi na pozycję społeczną czy status majątkowy swoich kochanek. Niespecjalnie interesowała go również sytuacja rodzinna partnerek, toteż wśród jego zdobyczy zdarzały się także mężatki.

W gronie kobiet następcy tronu nie brakowało urodziwych Polek, jak chociażby pięknej Klementyny Potockiej, w której był zakochany. Nic zatem

eprasa.pl c6ac7a6051

dziwnego, że wydano ją pospiesznie za hrabiego Jana Tyszkiewicza. W zamian w życiu następcy tronu pojawiła się piękna pani Oraczewska, żona ziemianina z Wołynia. Romans stał się publiczną tajemnicą, co bardzo irytowało wiedeński dwór, gdyż właśnie planowano ożenić arcyksięcia. W tej sytuacji wysłano do pani Oraczewskiej jakiegoś urzędnika z zapytaniem, ile sobie życzy za usunięcie się z życia Rudolfa. Polka ceniła się wysoko i zażądała miliona guldenów (ponad 14 mln dzisiejszych dolarów). Kwota ta zaskoczyła urzędnika, ale Franciszek Józef zarządził, by „zapłacić i oddalić". I tak też się stało.

Rudolf musiał się ożenić, gdyż uznano, że potrzebna jest kontynuacja dynastii, a poza tym cesarz miał nadzieję, że następca tronu wreszcie się ustatkuje. Wybór kandydatek był jednak tradycyjnie mocno ograniczony i ostatecznie padło na młodszą córkę króla Belgii, Leopolda II. Stefania miała 16 lat, pochodziła z niemieckiej dynastii Sachsen-Coburg-Gotha, którą uważano za rodzinę bardzo perspektywiczną. Koburgowie panowali bowiem nie tylko w Belgii, lecz także w Portugalii, a niebawem mieli objąć tron Bułgarii. Ponadto z tej rodziny pochodził nieżyjący już książę małżonek Albert, którego potomkowie mieli panować w Wielkiej Brytanii.

Stefania była dość urodziwa, ale intelektem nie dorównywała swojemu starszemu o sześć lat narzeczonemu. Po ślubie Rudolf szybko się nią znudził, chociaż na świat przyszła ich córka Elżbieta Maria. Po jej urodzinach lekarze orzekli, że arcyksiężna już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, gdyż uniemożliwiały to powikłania poporodowe. Być może wpływ na to miała też choroba weneryczna, którą Rudolf zaraził żonę.

Nieudane małżeństwo pogłębiło neurastenię następcy tronu. Mimo rozrywkowego trybu życia, który prowadził, arcyksiążę śmiertelnie się nudził na wiedeńskim dworze. Miał pretensje do ojca, że nie wyznaczył mu żadnego oficjalnego stanowiska, i uważał, że w ten sposób tylko marnował czas. Cesarz cieszył się znakomitym zdrowiem i Rudolf nie wiedział, jak długo przyjdzie mu jeszcze oczekiwać na objęcie tronu.

„Beztroskie, głupie życie – żalił się w liście do matki. – Gdyby ojciec przekazał mi choć część swych spraw, miałbym nie tylko interesującą robotę, ale mógłbym się także przygotowywać do przyszłego zawodu".

Maria Vetsera

Następca tronu nie przejął się zanadto problemami małżonki i powrócił do dawnego trybu życia. Ponownie otaczał się kochankami, a wśród jego partnerek nie brakowało też cór Koryntu. Wreszcie na „Polskim Balu" podczas karnawału 1887 r. poznał 17-letnią Marię Vetserę.

„Po mazurze miałem tańczyć walca z Marią Vetserą – wspominał Marian Rosco-Bogdanowicz. – Po pierwszej turze poprosiła mnie, byśmy stanęli obok estrady [...]. Arcyksiążę Rudolf [...] uprzejmie rozmawiał z przedstawionymi mu osobami. Mary Vetsera z pewną natarczywością goniła go wzrokiem, co w końcu musiało zwrócić jego uwagę. Nietrudno było zauważyć, że spojrzenia jego coraz częściej kierowały się w stronę pięknej Mary, która wydawała się tym zachwycona".

Niewiele wiadomo o szczegółach romansu, na pewno jednak w spotkaniach pomagała im bratanica cesarzowej Elżbiety, hrabina Maria Larisch. Od lat była zaufaną przyjaciółką Rudolfa i pośredniczką w jego podbojach miłosnych. Zapewne od samego początku była wtajemniczona w szczegóły związku z Marią Vetserą.

Dziewczyna była córką generała armii austriackiej, który dopiero niedawno został nobilitowany. Matka pochodziła z rodziny greckich bankierów, zatem Vetserowie nie należeli do najważniejszych kręgów towarzyskich Wiednia. Ale Rudolf nie bez powodu był uważany za liberała i demokratę.

„Mary była niewysoka – opisywała Vetserę hrabina Larisch. – Dzięki swej sylwetce i dużemu biustowi wyglądała na więcej niż 18 lat. Miała nadzwyczaj delikatną cerę. W rozkosznych karminowych usteczkach błyszczały drobne, białe zęby. Nigdy nie widziałam tak ożywionych oczu. Nie spotkałam nigdy tak długich rzęs i pięknie zarysowanych brwi. Miała ciemnobrązowe włosy. Małe, subtelne dłonie i stopy. Jej chód był uwodzicielski, poruszała się z oszałamiającą gracją".

W austriackiej stolicy nic nie mogło się ukryć, zatem niebawem całe miasto plotkowało o nowej fascynacji następcy tronu. Uważano jednak dosyć powszechnie, że niebawem Rudolf znudzi się Marią i jej miejsce zajmie kolejna piękność. Tym razem jednak miało być inaczej.

Romans trwał blisko dwa lata, a jego końcowe stadium jest pełne niejasności. Plotkowano, że arcyksiążę zwrócił się za plecami ojca bezpośrednio do papieża z prośbą o unieważnienie małżeństwa, co sugerowałoby, że zamierzał poślubić kochankę. Jeżeli faktycznie tak się stało, to było to działanie z góry skazane na niepowodzenie, gdyż Franciszek Józef nigdy nie wyraziłby zgody na tego rodzaju



Maria Vetsera, arcyksiążę Rudolf i jego żona Stefania FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c6ac7a6051



Arcyksiążę Rudolf na łożu śmierci FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESMOBILIENVERWALTUNG, SCHUHMANN

rozwiązanie. Jednocześnie plotkowano, że Vetsera jest w ciąży z Rudolfem, a następca tronu miał się poważnie zastanawiać nad legalizacją potomka.

Pod koniec stycznia 1889 r. doszło do publicznego skandalu podczas balu karnawałowego w ambasadzie niemieckiej, gdyż Maria Vetsera publicznie jako jedyna nie złożyła żonie swojego kochanka przepisowego ukłonu. Wywołało to wiele komentarzy i Rudolf został wezwany do cesarza na poważną rozmowę. Podczas niej zobowiązał się do zerwania romansu i dołożenia starań w celu naprawy małżeństwa. Przyjął też w imieniu swoim i żony zaproszenie na rodzinny obiad za kilka dni.

29 stycznia, trzy dni po balu w ambasadzie niemieckiej, Rudolf w towarzystwie kilku przyjaciół wyjechał do pałacyku myśliwskiego Mayerling. Oficjalnie pojechał tam na polowanie i nikt nie wiedział, że w tajemnicy przybyła tam Maria Vetsera. Następnego dnia rano znaleziono oboje martwych w sypialni arcyksięcia.

Obłęd czy zabójstwo?

Oficjalna wersja wypadków głosiła, że doszło do rozszerzonego samobójstwa. Kochankowie mieli się umówić, że zakończą razem życie, i Rudolf zastrzelił Marię, a potem sam skończył ze sobą. Wprawdzie dwór wiedeński wydał początkowo oświadczenie, że „następca tronu żyć przestał", a dopiero gdy nadeszła zgoda papieża na katolicki pochówek, poinformowano społeczeństwo o samobójstwie „w przystępie obłędu umysłowego". Nic jednak nie wspomniano o Marii Vetserze i arcyksięcia pochowano uroczyście w rodowej krypcie Habsburgów w podziemiach kościoła Kapucynów w Wiedniu, natomiast Marię dyskretnie pogrzebano na pobliskim cmentarzu Heiligenkreuz.

W chwili pogrzebu ciało Rudolfa miało obandażowaną głowę, co potwierdzałoby to, że następca tronu strzelił sobie w głowę. Oczywiście natychmiast pojawiły się plotki, że tak naprawdę arcyksiążę zginął od uderzenia w głowę butelką szampana czy nawet piwa, a do zabójstwa doszło podczas pijackiej libacji z przyjaciółmi, która zamieniła się w kłótnię. Podobno zabójcą miał być kuzyn i przyjaciel Rudolfa, arcyksiążę Jan Salwator. Jednocześnie opowiadano, że Rudolfa zabił leśniczy z Mayerlingu, z którego żoną następca tronu miał mieć romans, natomiast przybyła nieco później Vetsera miała z rozpaczy popełnić samobójstwo.

Nie zabrakło też wątków politycznych. Podejrzewano, że arcyksiążę był związany z separatystami węgierskimi i miał stanąć na czele buntu mającego oderwać Węgry od cesarstwa i zasiąść na ich tronie. Miał stać za tym wywiad francuski, a spiskowcy nie wykluczali detronizacji Franciszka Józefa. Po dekonspiracji spisku arcyksiążę miał popełnić samobójstwo, ewentualnie zostać zamordowany przez zwolenników utrzymania dualistycznej monarchii.

Pojawiły się również informacje, że przyczyną śmierci Rudolfa miał być „amerykański pojedynek", który przegrał z jednym z arystokratów. Zgodnie z jego zasadami przeciwnicy brali udział w losowaniu, a przegrywający był zobowiązany do popełnienia samobójstwa w określonym czasie.

Plotkowano również, że Rudolf miał w kłótni zabić zazdrosną kochankę, a potem w obawie przed konsekwencjami strzelić sobie w głowę. W tym natłoku opowieści utonęły głosy rozsądku, że arcyksiążę był człowiekiem z problemami psychicznymi i do tego walczącym z depresją, co mogło go popchnąć w kierunku samobójstwa. Pamiętano też o chorobach umysłowych Habsburgów i Wittelsbachów, które były publiczną tajemnicą.

Pojawiła się również mało prawdopodobna teoria, że śmierć następcy tronu była mistyfikacją, a on sam dożył późnych lat w polskiej wiosce Adampol na terenie Turcji, gdzie kilka lat później pojawił się tajemniczy Austriak, Heinrich Albertall. Mieszkał on w tej wiosce przez wiele lat i został pochowany na miejscowym cmentarzu. Nie udowodniono jednak jego związków z Rudolfem ani z dynastią Habsburgów i całość wygląda na kolejną sensację dziennikarską.

Wykradzione zwłoki

Nigdy też nie doszło do zbadania szczątków Rudolfa, chociaż po drugiej wojnie światowej zgodę na autopsję wyraziła ówczesna głowa rodziny – Otto von Habsburg. Badanie mogłoby wiele powiedzieć o przyczynach śmierci następcy tronu i potwierdzić teorię o samobójstwie lub zaprzeczyć jej. Natomiast badań medycznych doczekały się zwłoki Marii Vetsery po tym, jak w grudniu 1992 r. zostały wykradzione z cmentarza w Heiligenkreuz. Po odnalezieniu zostały przebadane pod kątem autentyczności, a wówczas miało się okazać, że czaszka nie nosiła śladów po postrzale. Ale czy Rudolf musiał strzelać w głowę, a nie w serce? Sugerowano przy tym, że baronówna zginęła na skutek silnych ciosów w głowę, jednak nie udało się tego całkowicie potwierdzić. Wiadomo natomiast, że Maria napisała list pożegnalny do matki, przepraszając ją za swoje samobójstwo.

Cesarzowa Elżbieta wpadła po śmierci syna w depresję, z której już nigdy nie wyszła. Dziewięć lat później padła ofiarą zamachu dokonanego przez włoskiego anarchistę. Nowym następcą tronu został brat cesarza, Karol Ludwik, a po jego śmierci syn arcyksięcia, Franciszek Ferdynand. Po zabójstwie tego ostatniego w Sarajewie, co stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu pierwszej wojny światowej, kolejnym następcą tronu został bratanek Franciszka Ferdynanda, Karol, który po śmierci Franciszka Józefa w 1916 r. został ostatnim cesarzem Austrii i ostatnim królem Węgier. Stefania, wdowa po Rudolfie, w 1900 r. poślubiła węgierskiego hrabiego Eleméra Lónyaia i zmarła dopiero w 1945 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



Łotewscy i polscy żołnierze w Dyneburgu (Dźwińsku)

FOT. LV WIKIPEDIA

Polacy nad Dźwiną / Cichy front wojny z Sowietami

Łotewska misja Myszkowskiego



Jakub Ostromęcki

Dzięki brawurowym działaniom kpt. Aleksandra Myszkowskiego Polacy na Łotwie uniknęli losu rodaków wymordowanych przez Stalina pod koniec lat 30.

Powiadają, że w chwilach próby dojrzały naród o prawdziwie republikańskich cnotach potrafi ustawić właściwych ludzi na właściwym miejscu. Jego sukces zależy wówczas od skoordynowanego wysiłku oficerów, nauczycieli, kapłanów, przedsiębiorców, działaczy społecznych i dyplomatów.

Kapitan Aleksander Myszkowski był właśnie w takim znakomicie działającym trybem w gigantycznym organizmie II Rzeczypospolitej. Jest to postać nietuzinkowa, rzadko bowiem zdarza się, aby odnoszący dyplomatyczne sukcesy attaché wojskowy był jednocześnie narwańcem i ryzykantem z ciałem pokrytym bojowymi bliznami. Rzecz to również niebywała, aby w epoce rozbuchanego nacjonalizmu, którą była połowa XX w., bohaterowi jednego narodu składał również hołd naród sąsiedni. Nieczęsto też persony tak znaczne dokonują żywota w sposób tak smutny i tajemniczy zarazem jak Myszkowski.

Maciej Dancewicz nakręcił niedawno film dokumentalny „Kapitan Myszkowski" (Producentem jest Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego). Peregrynacje oficera są w tym obrazie furtką, przez którą zajrzymy do świata z rzadka odwiedzanego przez rodzime media. Mowa o Polonii litewskiej i łotewskiej. Film powstał bowiem przy walnym udziale obu tych środowisk, występują w nim wileńscy aktorzy teatralni rekonstruujący chwile negocjacji Myszkowskiego z łotewską generalicją w 1919 r. czy liderzy polonijni pielęgnujący w okolicach Dyneburga groby żołnierzy polskich z wojny 1919 r. Postać Myszkowskiego z odmętów archiwów na światło dzienne pomogła wydostać ambasador Polski na Łotwie Monika Michaliszyn.

Upór, odwaga, brawura, znajomość spraw wojskowych, umiejętności negocjacji bohatera filmu w wielkim stopniu przyczyniły się do wyrzucenia bolszewików w Łotwy, co w konsekwencji uratowało jej niepodległość. Dzięki temu przez 20 lat tamtejsi Polacy mogli w relatywnie nieskrępowany sposób pielęgnować swoją tożsamość, unikając losu rodaków mieszkających w Sowietach, w okresie wielkiej czystki eksterminowanych przez NKWD-owskie trojki. Skąd jednak w filmie Polonia litewska? Choć nasze

eprasa.pl c6ac7a6051

stosunki z Kownem były wówczas wrogie, a i w czasach współczesnych Polonia litewska, choć liczniejsza od łotewskiej, musiała nieraz w walce o swoją tożsamość iść z litewskimi władzami na udry, to jej los był i tak lepszy niż pod rządami sowieckimi. I zawdzięcza to Myszkowskiemu.

W Dyneburgu znajduje się pomnik poświęcony czterem wodzom, którzy wywalczyli Łotwie niepodległość. Spoglądają z niego łotewscy generałowie Pēteris Radziņš i Jānis Balodis oraz Józef Piłsudski i Edward Śmigły-Rydz. Autorzy filmu uważają, że powinno się na nim znaleźć również miejsce dla Aleksandra Myszkowskiego. Polski oficer zasłużył na ten zaszczyt. Czy Polska zrobiła właściwy użytek z jego wojskowo-dyplomatycznej misji, to inna kwestia. Ale o tym dalej.

Z Zagłębia nad Dźwinę

Polskie elity na początku XX w. wciąż zasilane były głównie krwią szlachecką i takież pochodzenie miał urodzony w 1894 r. Aleksander Gonzaga-Myszkowski. Jego gniazdo rodowe – Myszkowice – leży w Zagłębiu Dąbrowskim, na samym południowym krańcu Kongresówki, jakby na potwierdzenie tezy Piłsudskiego o tym, że Polska to obwarzanek najbardziej wartościowy na obrzeżach, a w środku pusty i nijaki.

Młody Aleksander studiował w Belgii i Szwajcarii, kończąc naukę jako dyplomowany elektrotechnik. Był to fach nader rzadki wśród polskich elit. Choć ziemianin, to konserwatysta z niego był żaden. W Liège wstąpił bowiem do niepodległościowo-lewicującej Unii Stowarzyszeń Polskiej Młodzieży Niepodległościowej „Filarecja", w której działali też Tadeusz Hołówko i Kazimierz Sosnkowski. W 1914 r., po przyjeździe do Galicji, 22-letni Myszkowski trafił w szeregi organizacji Strzelec, a następnie, wraz wybuchem wielkiej wojny, do 5. Pułku Piechoty w składzie I Brygady Legionów.

Odznaczył się w 1916 r. w słynnej bitwie pod Kostiuchnówką. Taktycznie był to bój zwycięski dla Rosjan. Strategicznie – dla Austro-Węgier, spowodował bowiem gigantycznie opóźnienie rosyjskiej ofensywy i w konsekwencji jej załamanie. W najkrwawszych zmaganiach podczas tej bitwy batalion Myszkowskiego rzucono przeciwko nacierającym Rosjanom. Dowodził, będąc ciężko ranny w rękę, nie wiedząc początkowo, gdzie dokładnie znajduje się wróg. Piłsudski pisał potem o tym kontrataku: „Prowadzony wieczorem 4 lipca przez porucznika Myszkowskiego z nadzwyczajną brawurą i efektem uratował pułk Berbeckiego, a przez odebranie »Polskiej Góry«, zdobytej przez wroga na naszych sąsiadach z prawej strony, cofnął o cały dzień odejście z pozycji Kostiuchnówka–Wołczeck, co znowu uratowało oddziały na południe od nas". Za ten czyn otrzymał Virtuti Militari. „Oficer pierwszorzędnej wartości moralnej, wysoko pojętego patriotyzmu, a także pod względem wykształcenia wojskowego, jako też brawury, w zupełności zasługuje na udekorowanie mu piersi Krzyżem »Virtuti Militari«" – pisano w 1920 r. w uzasadnieniu wniosku o odznaczenie.

Myszkowski leczył się przez pół roku. Pod koniec wojny został wykładowcą w szkole oficerskiej, a wraz z odzyskaniem niepodległości o wykształconym awanturniku przypomniał sobie Piłsudski, kierując go do pracy w wywiadzie wojskowym. Wnikliwe raporty, które słał do Belwederu, spowodowały, że 19 sierpnia 1919 r. wysłano go na newralgiczny odcinek frontu, na Łotwę, w charakterze delegata Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego przy Naczelnym Dowództwie armii Łotwy i Estonii. Od 2 października 1919 r. Myszkowski pełnił funkcję attaché wojskowego na Łotwie – z braku stałego, oficjalnego przedstawicielstwa w Rydze był wówczas najwyższym rangą polskim dyplomatą przebywającym na Łotwie.



Aleksander Myszkowski
FOT. NAC



Generał Jānis Balodis
FOT. EMUZEJS.LNVM.LV

Na Łotwie

W połowie 1919 r. na Łotwie toczyła się wojna wszystkich ze wszystkimi. Leżącą w zachodniej części kraju Kurlandię dzierżył samozwańczy generał major Pawieł Bermondt-Awałow. Monarchista i fanatyczny Wielkorus, przeciwnik zarówno bolszewizmu, jak i niepodległości Łotwy, wspierany przez bałtyckich Niemców, w październiku obwołany został za to zdrajcą przez innego słynnego białego generała – Judenicza – który z kolei był nastawiony przychylnie do ententy.

Wschód kraju wciąż dzierżyli bolszewicy. Zanim wyparto ich z Rygi, zdążyli w czasie krótkich, kilkumiesięcznych rządów wymordować w egzekucjach 5 tys. łotewskich „wrogów ludu", a kolejne 8 tys. zagłodzić.

Tylko środek kraju był we władaniu łotewskich niepodległościowców pod wodzą premiera Kārlisa Ulmanisa. Młode państwo znajdowało się więc między rusoniemieckim młotem a bolszewickim kowadłem. Dodać należy, że marionetkowe rządy złożone z Łotyszy powołali w tym czasie zarówno Niemcy, jak i bolszewicy. Do terenów na południe od Dyneburga pretensje rościli sobie Litwini, z którymi my mieliśmy oczywiście na pieńku.

Łatgalię, czyli wschodnią część Łotwy, zamieszkiwali licznie Polacy. Byli elitą ziemiańsko-inteligencką, sięgając nierzadko po fotel burmistrza Dyneburga – po naszemu Dźwinowa. Mało łotewskie było wówczas to miasto – 15 proc. stanowili

eprasa.pl c6ac7a6051

Polacy, 45 proc. Żydzi i 30 proc. Rosjanie. Dancewicz, pokazując krajobraz polityczny Łatgalii, pozwolił sobie na filmową konfrontację między historykami – i chwała mu za to. Widzimy wypowiedź prof. Janusza Odziemkowskiego, według którego ewentualny plebiscyt rozstrzygający przynależność tej ziemi skończyłby się zdecydowanym zwycięstwem Polaków, i zaraz potem kontrę łotewskiego profesora Eriksa Jakobsonsa, który wyklucza masowe głosowanie łatgalskich chłopów za Polską, ograniczając propolskie stanowisko do mieszkańców miast i ziemian.

Polacy, bojąc się zapowiadanej przez Ulmanisa reformy rolnej, liczyli na to, że ich dziedziny zostaną przyłączone do II RP. Piłsudski, tworząc swój ambitny federacyjny projekt łączący niepodległe państwa Europy Środkowej, sięgający od Estonii do Ukrainy i broniący nas przed Niemcami i Rosją, nie chciał o tym słyszeć. Bez przychylnej nam Łotwy sojusz taki nie mógłby powstać. Oderwanie Łatgalii, choć wywołałoby z pewnością euforię endeckiej prasy, pogrzebałoby ten projekt, czyniąc z Łotyszy kolejnych wrogów, tak jakby dotychczasowych było mało.

Jak widać, Łotwa w połowie 1919 r. była prawdziwą polityczno-militarną wieżą Babel. Myszkowski został w środek tej matni rzucony – i to dosłownie. 19 sierpnia 1919 r. samolot pilotowany przez Władysława Turowskiego został zestrzelony przez zamontowany na taczance bolszewicki ckm. Myszkowski i Turowski musieli awaryjnie lądować na wrogim ternie. Dopadli ich skomunizowani, ale na szczęście ciemni chłopi, którym udało się wmówić, że zestrzeleni oficerowie są bolszewikami. Myszkowski z pilotem uciekli natychmiast w bagna. Po drodze napotykali kolejnych chłopów, tym razem nastawionych antybolszewicko, którzy pomogli im dostać się w stronę terytoriów zajmowanych przez wojsko łotewskie. Ubłoceni i wyczerpani dotarli do Rygi 22 sierpnia.

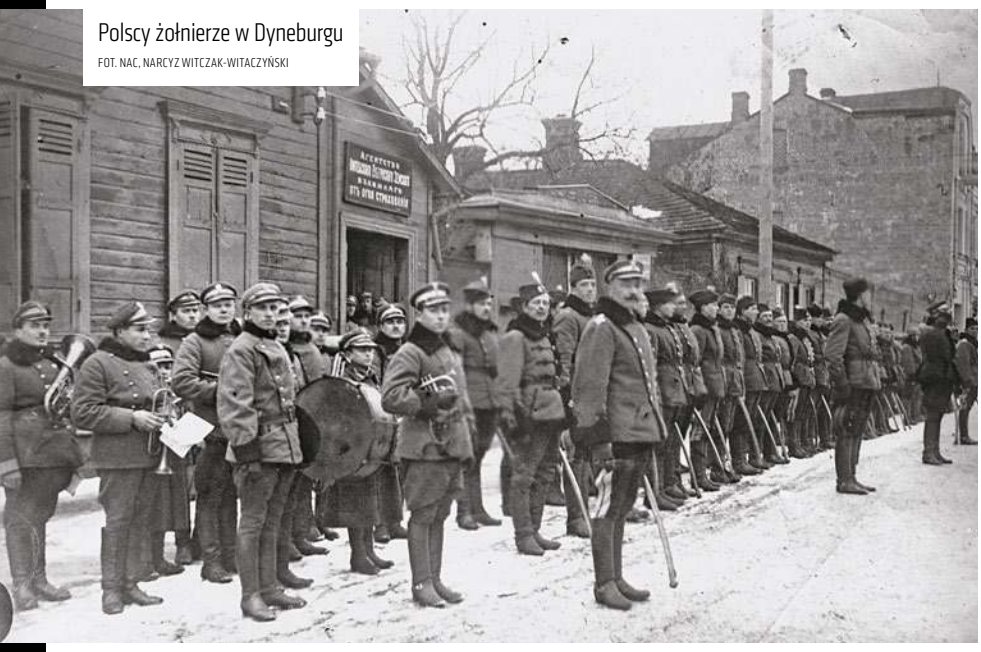


Generał Edward Śmigły-Rydz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Negocjacyjne przygody

W filmie zacytowano wspominania Myszkowskiego z pierwszego spotkania z łotewską generalicją: „Stanąłem przed Radą Wojenną. Polska oferuje Łotwie natychmiastową pomoc na froncie. Jesteśmy gotowi wysłać do 200 000 żołnierzy". Na tak hojną ofertę Łotysze zareagowali z nadzieją, otuchą, a także z obawą. Czego Polacy chcą w zamian? Myszkowski przekazał stanowisko Piłsudskiego: „Chcemy, aby Łotwa była zabezpieczona od Niemiec i Rosji. Nie zamierzamy odrywać Łatgalii od Łotwy, choć mieszkają tam Polacy. Chcemy uprzywilejowania w łotewskich portach i otwartego rynku dla naszych surowców, a w przyszłości przystąpienia Łotwy do konwencji wojskowej. Z Bermondtem, poza nienawiścią do bolszewizmu, nic nas nie łączy. Damy wam pieniądze, amunicję, karabiny".



Polscy żołnierze w Dyneburgu

FOT. NAC, NARCYZ WITCZAK-WITACZYŃSKI

W grudniu 1919 r. na Łotwę zgodnie z zapowiedzią trafiło 6 tys. karabinów i 5 mln sztuk amunicji, w sam raz przed uderzeniem, które miało wyzwolić Dyneburg. Gwoli ścisłości Myszkowski nie był jedynym Polakiem, który negocjował w Łotyszami. We wrześniu w Wilnie spotkali się z nimi Piłsudski oraz Sławek, a w listopadzie nasze stanowisko referował w Rydze poseł Bronisław Bouffałł.

W grudniu 1919 r. zadaniem Myszkowskiego było doprecyzowanie od strony wojskowej tego, co ustalili dyplomaci. I ta runda negocjacji nie obyła się bez przygód. Myszkowski poleciał na spotkanie z Piłsudskim do Wilna. Gdy miał wracać do Rygi, pogoda była tak fatalna, że piloci ani myśleli siadać za stery. Na ochotnika zgłosił się wtedy Francuz Marc Dehnin. Nad Kiesią (nazywaną też z niemiecka Wenden) samolot się zepsuł. Pilot w ostatniej chwili znalazł łączkę, na której posadził maszynę, ale lądowanie było tak twarde, że Myszkowski doznał urazu głowy i stracił na pewien czas pamięć. Dopiero w szpitalu przypomniał sobie, jakie ma zadania.

30 grudnia zakończył negocjacje z sojusznikami. To on przekonał wtedy Łotyszy, aby dowódcą planowanej przeciwbolszewickiej operacji „Zima" był Śmigły-Rydz, że trzeba w czasie tej operacji blokować również niepewnie zachowujących się Litwinów, których

eprasa.pl c6ac7a6051

wojska klinem wchodziły między pozycje polskie i łotewskie, wskazał też datę uderzenia na Dyneburg. Przeciwdziałał skutecznie cały czas dezinformacji sianej przez białych Rosjan, Niemców i bolszewików. Tak długo, jak się dało, zatajał przed wrogami plany uderzenia na Dyneburg. 3 stycznia 1920 r. wojska polskie i łotewskie ruszyły na miasto przez zamarzniętą Dźwinę. Warunki były potworne. Temperatura sięgała –30 st. C, do lazaretów zaczęli trafiać żołnierze z odmrożeniami stóp, co nieraz musiało skończyć się amputacją. Bolszewicy dali się jednak zaskoczyć i udało się ich wyrzucić z Dyneburga i Łatgalii.



Pomnik Śmigłego-Rydza, Piłsudskiego, Balodisa i Radziņša w Dyneburgu

FOT. VISITDAUGVAPILS.LV

Smak goryczy

Film Dancewicza szczędzi goryczy, która ogarnęła część z nas w lutym i marcu 1920 r. Z Międzymorza nic nie wyszło. Łotysze, zadowoleni z odzyskania kraju, niejako za naszymi placami podpisali z bolszewikami rozejm, choć oczywiście umowa Myszkowskiego z grudnia im tego nie zabraniała. Nie wyszło też nic z konwencji wojskowej – i to też nie jest winą Myszkowskiego, ale całej naszej dyplomacji. Nasze żądania wobec Łotwy w marcu 1920 r. okazały się zbyt daleko idące, wręcz protekcjonalne. Chcieliśmy negocjować przyszły pokój z bolszewikami w imieniu Łotwy, wciągnąć ich do akcji przeciw Litwie, aby w ten sposób uzyskać Wilno, a z każdym ewentualnym członkiem Międzymorza negocjowaliśmy osobno, co budziło nieufność Łotyszy. Choć na poziomie generalicji cały czas panowały stosunki kordialne, to między zwykłym żołnierzem polskim i łotewskim zaczęło zgrzytać. Pochodzący z Łatgalii Michał Marian Świerzbiński, późniejszy konsul w Rydze, pisał z goryczą: „[…] w Łatgalii wojsko polskie wiedziało, że walczy i leje krew nie o Polskę, lecz dla Łotyszów […]. Żołnierz nie mógł zrozumieć, dlaczego na łotewskiej ziemi mają być Polacy, i rozmawiał z nimi po rosyjsku, uważając ich za Łotyszów […]. Braterstwa broni nie było, żołnierz polski pogardzał łotewskim za to, że musiał zawsze iść w pierwszym szeregu […]. Łotysze nie ufali wojsku polskiemu, posądzając zupełnie bezpodstawnie o zamiary zaborcze".

W sierpniu 1920 r., gdy bolszewicy stali pod Warszawą, Łotysze podpisali w nimi pokój. „Nasi dyplomaci to frajerzy, jak zwykle dali się wystrychnąć na dudka", „Oddaliśmy im tyle broni, a oni tak nam odpłacają", „Romantycy". To częste komentarze publicystów krytykujące nasze dzisiejsze zaangażowanie po stronie Ukrainy. Podobnie komentowano wówczas fiasko piłsudczykowskiej federacji.

Dancewicz również dotyka tej kwestii, choć w zawoalowany sposób. Czy rzeczywiście Myszkowski był naiwnym romantykiem wierzącym w prometejskie mrzonki? Nie. Plan minimum wobec Łotwy został zrealizowany – jej niepodległość była nam bardzo na rękę, zdejmowała bowiem groźbę inwazji bolszewickiej od północnego wschodu. Myszkowski w połowie 1920 r. dokonał czegoś bardzo istotnego – zorganizował na Łotwie bazy dla antybolszewickiej partyzantki. Łotysze patrzyli na to przez palce, mimo że było to jawne złamanie rozejmu, który podpisali z bolszewikami pod koniec stycznia 1920 r.

Ostatni akord łotewskiej przygody Myszkowskiego wybrzmiał na jesieni 1920 r., w czasie „buntu" Żeligowskiego, który – jak wiemy – doprowadził do przyłączenia Wileńszczyzny do Polski. Łotysze bali się, że generał przy okazji oderwie od Łotwy Łatgalię. Strachy te podsycały oczywiście wywiady zarówno bolszewicki, jak i litewski. Myszkowski skutecznie dementował te plotki.

Pośrednio jego zasługą były również odszkodowania, które rząd Ulmanisa wypłacił wywłaszczonym polskim ziemianom i bogatym chłopom z Łatgalii. Łotewska reforma rolna była bowiem dużo bardziej radykalna od naszej i pierwotnie odszkodowań nie przewidywała. W lipcu 1921 r. Myszkowski wrócił na stałe do kraju.

Awansował na pułkownika i dowodził kilkoma dużymi związkami taktycznymi. W 1939 r. był zastępcą dowódcy oddziałów tyłowych Armii Pomorze. Po bitwie nad Bzurą dostał się do niewoli i resztę wojny spędził w Oflagu VII A Murnau, gdzie trafił potem również Witold Pilecki. Na początku 1945 r. starszym obozu był gen. Juliusz Rómmel, osoba o dość wątpliwych dokonaniach w czasie kampanii wrześniowej. W marcu lub kwietniu 1945 r. sporządził on swoistą listę generałów, pułkowników i podpułkowników, oceniając ich postawę i przydatność do dalszej służby. Dlaczego to zrobił? Zbigniew Czerwiński na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego" twierdził, że lista ta była swoistym prezentem Rómmla dla zdobywających w Polsce władzę komunistów. O Myszkowskim napisał tak: „Element szkodliwy w armii! Wykluczony przez tutejsze Oficerskie Sądy Honorowe!". W sumie Rómmel sporządził ok. 200 opinii, ale tylko kilka z nich jest tak radykalnie negatywnych. Czym Myszkowski naraził się generałowi? Nie wiadomo. Film Dancewicza pomija ten dość istotny i tajemniczy epizod. Po wojnie Myszkowski wyjechał do Brazylii, gdzie został zarządcą majątku rodziny Sanguszków. 10 kwietnia 1956 r. w mieście Ponta Pora, wychodząc z kościoła, został zasztyletowany i obrabowany. Zemsta bolszewików po latach? Film nie wyklucza i takiej wersji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



1941–1945 / Zielenaši, czetnicy i komuniści

Czarnogórski kocioł

Komunistyczni partyzanci w Czarnogórze FOT. EN.M.WIKIPEDIA.ORG



Arkadiusz Karbowiak

Włosi krwawo stłumili komunistyczną rebelię, paląc wsie i zabijając ich mieszkańców. Partyzanci rewanżowali się zabijaniem włoskich żołnierzy

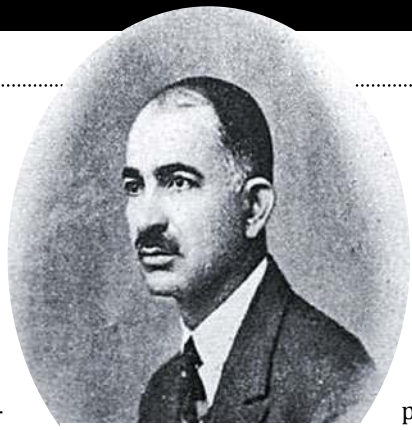
Zajęcie Jugosławii przez siły niemiecko-włoskie miało daleko idące implikacje dla zamieszkujących ją narodów. Niektóre, jak np. Chorwaci, podjęły próbę zbudowania własnych struktur państwowych. Podobnie, tylko z gorszym efektem, postąpili Czarnogórcy. Terytorium Czarnogóry zostało zajęte przez Włochów i to im przypadło w udziale sprawowanie nad nim kontroli. Część separatystycznie nastawionych działaczy Partii Czarnogórskiej – nazywanej czasami nieformalnie Czarnogórską Partią Federalistyczną – funkcjonującej w okresie międzywojennym w Królestwie Jugosławii przystąpiła do tworzenia niepodległego państwa.

Pierwszym krokiem było powołanie do życia 17 kwietnia 1941 r., a więc w dniu wkroczenia włoskiej armii do Cetyni, jednego z głównych miast czarnogórskich, Komitetu Wyzwolenia Czarnogóry, z którego dwa później wyłonił się 13-osobowy Tymczasowy Komitet Administracyjny Czarnogóry. Na jego czele stanęli Jovo Popović i Dušan Vučinić. Komitet wyraził publicznie wdzięczność Włochom za wyzwolenie Czarnogóry z rąk jugosłowiańskich okupantów. Jednak oczekiwania jego działaczy związane z przekształceniem komitetu w rodzaj rządu tymczasowego się nie ziściły, ponieważ Komisarz Cywilny (potem Wysoki Komisarz) Serafino Mazzolinii 5 maja 1941 r. rozwiązał komitet. Członkowie tego ciała zostali następnie powołani do utworzonej przez Włochów Rady Doradczej Czarnogóry.

Książęca odmowa

Polityka Włoch wobec Czarnogóry od początku wiązała się z dylematem: czy anektować okupowane terytoria czy też utworzyć na nich niezależny, aczkolwiek przychylny Rzymowi, ośrodek państwowy. Początkowo zdecydowano się na pierwszą opcję, opartą na korzystnym dla Królestwa Italii wariancie dynastycznym. Władcą niepodległej Czarnogóry miał zostać Michał Petrović-Njegoš, wnuk Mikołaja I (od 1860 r. księcia, a potem od 1910 r. króla Czarnogóry), którego córka Helena była żoną panującego we Włoszech Wiktora Emanuela III. Książę Michał, który zrzekł się pretensji do tronu, akceptując jednocześnie włączenie Czarnogóry do Królestwa SHS, odrzucił złożoną mu ofertę wstąpienia na tron (a był wówczas internowany przez władze III Rzeszy). Tymczasem pod patronatem Włochów 12 lipca 1941 r.

eprasa.pl c6ac7a6051



Sekula Drljević, premier marionetkowego rządu Czarnogóry FOT. COMMONS WIKIMEDIA

odbyły się obrady 65-osobowego Zgromadzenia Narodowego Czarnogóry. Gremium przegłosowało unieważnienie integracji Czarnogóry z Jugosławią oraz ogłosiło restytucję Królestwa Czarnogóry. Jednym z głównych twórców tych dokumentów był Sekula Drljević, polityk reprezentujący najbardziej radykalne skrzydło w Partii Czarnogórskiej, pragnący wykorzystać włoską protekcję do odbudowania państwa. Problem polegał na tym, że skupiało ono głównie intelektualistów, którzy nie mieli zbyt dużego poparcia w samej partii, nie mówiąc już o społeczeństwie.

Tę podjętą pod egidą włoską próbę ustanowienia państwa czarnogórskiego przekreślił wybuch powstania komunistycznego, wywołanego 13 lipca 1941 r. z inicjatywy Komunistycznej Partii Jugosławii. Włosi zorientowali się, że politycy, z którymi podjęli współpracę, nie posiadają wpływów wśród Czarnogórców. W związku z tym nakazali liderom obozu czarnogórskich kolaborantów, motywując to względami bezpieczeństwa, opuszczenie dawnej Zeckiej Banowiny (jednostka administracyjna w Królestwie Jugosławii obejmująca m.in. tereny całej dzisiejszej Czarnogóry). Sekulę Drljevicia internowano w San Remo, skąd po dwóch miesiącach uciekł do miejscowości Zemun, znajdującej się na terytorium Niezależnego Państwa Chorwackiego. Pozostał tam aż do 1944 r., kiedy to przeniósł się do Zagrzebia. 28 lipca 1941 r. na dowódcę sił włoskich mających stłumić rebelię wyznaczony został gen. Alessandro Pirzio Biroli. Z kolei 3 października 1941 r. został on mianowany gubernatorem Czarnogóry. Do walki z powstańcami skierowano sześć dywizji, które działały bardzo brutalnie. Włosi internowali ok. 30 tys. Czarnogórców, spalili też wiele wsi, rozstrzeliwując część ich mieszkańców w odwecie za pomoc udzielaną partyzantom. Ci z kolei rewanżowali się mordowaniem wziętych do niewoli włoskich jeńców. Przewaga Włochów, użycie artylerii i lotnictwa, a także zastosowanie przez rebeliantów regularnej taktyki walki spowodowały, że powstanie zostało stłumione, choć oddziały komunistyczne w formie partyzanckiej nadal prowadziły swe operacje przeciw okupantom. Ostatnią dużą bitwą powstańców był atak na miejscowość Pljevlja, gdzie stacjonowały sztab i liczące 2 tys. żołnierzy pododdziały 5. Dywizji Alpejskiej „Pusteria". Dwukrotnie liczniejsi partyzanci po dwóch dniach krwawych zmagań, nie będąc w stanie zdobyć miasteczka, ostatecznie się wycofali.

Generał Popović i Zelenaši

Tym krwawym zmaganiom przyglądali się z niepokojem i obawą optujący raczej za federacją lub konfederacją z Jugosławią niż za niepodległością umiarkowani politycy Partii Czarnogórskiej. Liderem tych środowisk był gen. Krsto Zrnov Popović, były oficer armii czarnogórskiej i jej dowódca w okresie walk toczonych w okresie powstania bożonarodzeniowego w 1919 r. Po klęsce sił powstańczych w 1920 r. generał udał się na emigrację do Włoch, Francji, a następnie do Argentyny. Dopiero amnestia z lat 30. pozwoliła mu wrócić do ojczyzny. Członkowie Partii Czarnogórskiej nazywani byli potocznie Zelenašami („zielonymi" – od koloru plakatów wyborczych drukowanych w 1918 r. przy okazji wyborów do parlamentu) i – nieco przesadnie – separatystami lub bardziej trafnie: federalistami. Popović był zdystansowany wobec Włochów, ze względu na dokonaną przez nich aneksję terytorium Boki Kotorskiej i przyłączenie niewielkich skrawków terytorium Czarnogóry do Albanii. Jeszcze bardziej krytycznie postrzegał działalność rebeliantów komunistycznych i czetnickich (także brali udział w powstaniu), uważając, że prowadzi ona do niepotrzebnych ofiar i strat. W tym przekonaniu utwierdziły go dodatkowo akcje „oczyszczania" przez komunistów zajętych terenów z tzw. agentów V kolumny i „podpalaczy", czyli Serbów i Czarnogórców uważanych za przeciwników „czerwonej" partyzantki. W gronie pierwszych ofiar znaleźli się również federaliści. Do końca 1941 r. zamordowano co najmniej 30 spośród nich.

Masowe mordy, jak choćby masakra dokonana na tzw. psim cmentarzu



Rozstrzelanie partyzantów czarnogórskich przez żołnierzy włoskich FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl c6ac7a6051

w Kolasinie, gdzie odnaleziono zwłoki 240 „wrogów ludu", klęska powstania, a także poniesione w trakcie walk straty skłoniły wielu dowódców do odejścia z szeregów NOP (Narodowo-Wyzwoleńczych Oddziałów Partyzanckich) i przejścia do rosnących w siłę formacji czetnickich. Kierujący nimi oficerowie, jak np. płk/gen. Bajo Stanisić czy kpt./ppłk Pavle Djurisić, przystąpiwszy do walki z komunistami, zaczęli nawiązywać kontakty z polowymi dowódcami włoskich jednostek okupacyjnych, którzy – chcąc ograniczyć ponoszone w starciach z titowcami straty – zainteresowani byli przejęciem przez czetników głównego ciężaru walk. Tworząc szeroką koalicję antykomunistyczną, gen. Biroli nie zamierzał jednak rezygnować ze współdziałania ze środowiskami Zelenašów. Popović i jego zwolennicy cieszyli się największą popularnością w regionie Katuńskiej Nahii, leżącym w zachodniej części Czarnogóry. Jego mieszkańcy brali tylko w niewielkim stopniu udział w powstaniu, co irytowało członków Komunistycznej Partii Jugosławii (KPJ) i NOP, którzy w swoich raportach wskazywali, że na 4 tys. potencjalnych ochotników z tego obszaru na skutek propagandy „separatystów" na służbę w partyzanckich szeregach zdecydowało się zaledwie 100. Rzeczywiście prawdą było, że gen. Krsto Popović miał w tym swoją zasługę, ponieważ on i jego podkomendni objeżdżali wsie czarnogórskie, prowadząc aktywną propagandę antypowstańczą.

Pod koniec 1941 r. komuniści dostrzegli uznanie, którym cieszył się on wśród mieszkańców, i w związku z tym podjęli próby zmuszenia go do przejścia do swego obozu. Żadna z nich nie zakończyła się sukcesem, ponieważ generał nie zdecydował się nawet na podjęcie kontaktu. W reakcji na to Komitet Okręgowy KPJ w Czarnogórze wezwał 1 grudnia 1941 r. podległe mu struktury do likwidacji generała. Pięć dni później prawnik z Sawnika, członek partii federalistów Tomo Kršikapa, wraz z Osmanem Mandiciem wpadli w ręce partyzanckiego oddziału NOP i w trakcie poprzedzającego egzekucję przesłuchania przekazali informację, że Krsto Popović rozpoczął współpracę z Włochami. Popović zmierzał do wygaszenia walk partyzanckich w Czarnogórze, stąd zaakceptował on konieczność współdziałania z Włochami oraz czetnikami przeciwko oddziałom NOP w celu wyparcia ich z regionu. I właśnie dlatego przystąpił do formowania oddziałów Czarnogórskiej Armii Narodowej. Wchodzące w jej skład jednostki włączyły się do walk z partyzantami, otrzymując pomoc armii włoskiej w postaci broni, amunicji, środków transportu, a nawet wsparcia artyleryjskiego. Taki przypadek miał miejsce 14 kwietnia 1941 r., podczas opanowywania miejscowości Cevo, kiedy to Zelenaši nacierali na komunistyczne oddziały pod osłoną artylerii 46. Dywizji Piechoty Tauro. Oddziały Popovicia do 2 kwietnia wzmacniał odział czetnicki mjr. Michaiła Kerkovicia, który jednak po nieporozumieniach z czarnogórskim przywódcą wycofał się z Katuńskiej Nahijii. Sukcesy militarne odnoszone przez czetników i federalistów doprowadziły do demoralizacji (dezercje, spadek morale) w szeregach NOP i wycofania się tej formacji z Czarnogóry latem 1942 r.



Generał Krsto Todorov-Zrnov Popović

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Podział Czarnogóry

W tym czasie toczyły się rozmowy pomiędzy reprezentującym ruch czetnicki płk. Blažo Đukanoviciem a włoskim gubernatorem Czarnogóry gen. Birolim, mające na celu zawarcie kompleksowego porozumienia włosko-czetnickiego. Stosowną umowę podpisano 24 lipca 1942 r. Określała ona szczegółowy zakres współpracy obu stron na poziomie polityczno-administracyjnym. Za zgodą gubernatora powstał też Narodowy Komitet Czarnogóry, w którego skład wchodziło 17 osób. Dokonano podziału Czarnogóry na trzy strefy, z których dwie przyznano czetnikom, a jedna – obejmującą rejon miast Cetynia, Bar oraz część powiatu nikisieckiego – przypadła gen. Krsto Popoviciovi. Na zarządzanych terenach utworzono oddziały lotne. Zelenaši powołali wówczas do życia Brygadę Lovćen (pozostałe dwa oddziały były czetnickie). Nie było to rozwiązanie satysfakcjonujące gen. Popovicia, ponieważ liczył on na możliwość stworzenia jednostki liczącej od 6 do 8 tys. ludzi. I choć gen. Biroli wyraził zgodę na tę propozycję, to nie została ona zaaprobowana w Rzymie.

Uspokojenie sytuacji w Czarnogórze wpłynęło na wzrost napięcia pomiędzy federalistami a czetnikami. Gdy zniknął komunistyczny przeciwnik, dały o sobie znać chwilowo wyciszone rozbieżności interesów. Wielkoserbscy nacjonaliści byli zainteresowani odbudowaniem centralistycznie rządzonej przedwojennej Jugosławii. Dlatego wszelkie ruchy federalistyczne, a tym bardziej separatystyczne, traktowali jako wrogie. Jeszcze przed podpisaniem porozumienia z Włochami Đukanović w czerwcu 1942 r. pisał do mjr. Lasicia, jednego z czetnickich dowódców, że „separatystów" i komunistów należy zniszczyć (podobne rozkazy wydał mjr. Djurisiciovi gen. Mihajlović). Do konfrontacji pomiędzy stronami jednak nie doszło, gdyż Włosi nie dopuścili do rozwoju takiego scenariusza i cały czas kontrolowali sytuację. Przechwycone przez nich informacje o planowanym wkroczeniu czetników do Katuńskiej Nahijii przekazali natychmiast Popoviciovi, co pozwoliło mu zgromadzić odpowiednie siły, aby się temu przeciwstawić. W efekcie oddziały czetnickie zostały powstrzymane groźbą użycia broni. Popović podejmował wysiłki na rzecz złagodzenia narastającej wrogości, jednak przedstawione przez niego sugestie rozwiązania kryzysu poprzez stworzenie odpowiednich ciał kierowanych przez osoby neutralne i możliwe do zaakceptowania przez obie strony spotkały się z brakiem odzewu ze strony czetnickich liderów.

Ostatecznie o przekreśleniu szans na unormowanie relacji zadecydowały prze-

eprasa.pl c6ac7a6051

prowadzone w Bośni antypartyzanckie operacje „Weiss I" i „Weiss II", szczególnie zaś mająca wówczas miejsce bitwa nad Neretwą. Do udziału w niej Włosi postanowili skierować formacje czarnogórskich czetników i federalistów. O ile udało się to w odniesieniu do serbskich rojalistów, których oddziały liczące 2,2 tys. partyzantów pod wodzą płk. Bajo Stanisicia włączyły się do walk z siłami Josipa Broza-Tity, o tyle gen. Popović, pomimo nalegań Włochów, nie wyraził zgody na wysłanie tam swoich podkomendnych. Co więcej, federaliści w wydanej odezwie krytykowali dowódców czetnickich za uczestnictwo w tym przedsięwzięciu, nazywając ich „najemnikami".

Wielu czetników zmobilizowanych do tej operacji zdezerterowało i uciekło na tereny kontrolowane przez federalistów. Komuniści, dostrzegając korzystne dla swoich interesów stanowisko gen. Popovicia, zaczęli dyskretnie wspierać jego działania. Wywołało to irytację czetników, którzy z kolei zaczęli oskarżać federalistów o prokomunistyczne sympatie. Włosi w odwecie za decyzję kierownictwa Zelenašów internowali na kilka miesięcy w miejscowości Miločer członków komitetu doradczego Popovicia – Novicę Radovicia, Petara Plameneca i Ivo Jovicecia. Klęska poniesiona przez oddziały Bajo Stanisicia oraz mjr. Pavle Djurisicia w starciach z „czerwonymi" partyzantami w Bośni spowodowała spadek morale w szeregach czetnickich. Dodatkowo Niemcy w ramach antypartyzanckiej operacji „Schwartz" postanowili rozbroić ich oddziały (w maju 1943 r. rozbrojono w Kolasinie oddział Djurisicia). W efekcie siły czetnickie w Czarnogórze zostały poważnie uszczuplone, a brygady NOV i POJ wkroczyły w maju 1943 r. na terytorium dawnej Zeckiej Banowiny.

Korpus Ochotniczy

Osłabienie konkurentów próbował wykorzystać gen. Popović, który poprzez szefa sztabu Brygady Lovćen, Blažo Markovicia, podjął rozmowy z gen. Birolim na temat objęcia kontroli nad miastami Podgorica i Danilovgrad. Gubernator nie dał się przekonać do takiego rozwiązania. W lipcu 1943 r. został on odwołany i zastąpił go gen. Curio Barbasetti di Prun, który bardziej przychylnie spoglądał na federalistów. We wrześniu 1943 r. do Czarnogóry wkroczyły wojska niemieckie, a w październiku 1943 r. zostały całkowicie zniszczone w Ostrorogu oddziały czetnickie płk. Blažo Đukanovicia i płk. Bajo Stanišicia. Pierwszego z nich po oddaniu się do niewoli rozstrzelano, drugi natomiast zginął w walce. Nowi okupanci nakazali rozwiązać Brygadę Lovćen. 8 listopada 1943 r. gen. Popović wystosował rozkaz pożegnalny. To z kolei spowodowało, że część federalistów zaczęła przechodzić na stronę komunistów. Początkowo gen. Popović postanowił zostać w Cetyni. Widząc jednak, że czetnickie grupy likwidacyjne dokonują zabójstw jego najbliższych współpracowników – w lipcu 1944 r. z ich rąk zginął Božidar Krivokapić – zbiegł do lasu. Dowódca musiał ukrywać się także przed partyzantami, którzy uznali go za kolaboranta i zbrodniarza wojennego.

Tymczasem w Czarnogórze w tym czasie współpracował z Niemcami ppłk Djurisić, otoczony „opieką" rządu kolaboracyjnego gen. Nedicia. Utworzył on za zgodą Niemców Czarnogórski Korpus Ochotniczy. Jednostka ta, licząca 8,7 tys. żołnierzy i ok. 3 tys. uciekinierów, wycofała się w grudniu 1944 r. wraz z Wehrmachtem z Czarnogóry. Djurisić zdecydował się przejść do Słowenii. Planowany przemarsz musiał się odbyć przez terytorium Niezależnego Państwa Chorwackiego (NDH). I wtedy na horyzoncie pojawił się Sekula Drljević, posiadający bliskie kontakty z przywódcą państwa chorwackiego Ante Paveliciem. Drljević podporządkował korpus dowództwu Czarnogórskiej Armii Narodowej, czyli de facto sobie. Stosowną umowę podpisano 22 marca 1945 r. w Zagrzebiu. Niemal natychmiast ją zerwano, ponieważ siły Djurisicia zaczęły przemieszczać się trasą inną niż uzgodniona z władzami NDH. W efekcie zostały one zaatakowane i rozbite przez armię chorwacką w pierwszych dniach kwietnia 1945 r. Sam ppłk Djurisić trafił do niewoli i wraz z innymi oficerami został stracony w obozie koncentracyjnym w Jasenovacu. W akcie zemsty w listopadzie 1945 r. czetniccy mściciele zamordowali Drljevicia wraz z żoną Marijką w austriackim Judenburgu. Generał Krsto Popović, ukrywający się początkowo z kilkoma podkomendnymi, a następnie już samotnie, zginął 13 marca 1947 r. w zasadzce zorganizowanej przez jugosłowiańską bezpiekę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

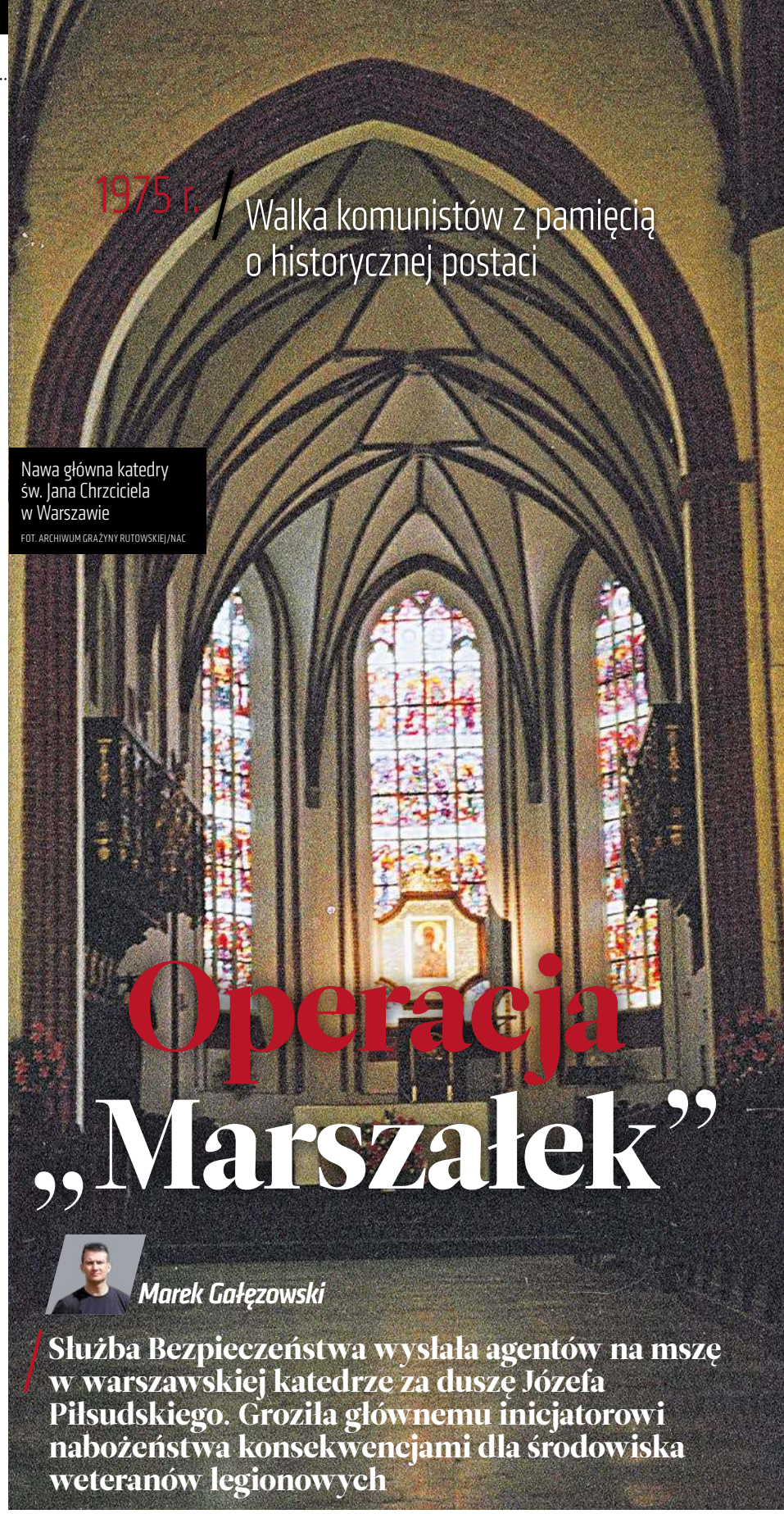
Barović A., ***„Crnogorski Zelenaški, Federalistički i Independistički Pokret 1919–2019",*** *Podgorica 2019; Barović A.,* ***„Dr Novica Radović – Život i Ideologija",*** *„Matica" 2020, nr 84; Nikolić B. (red.),* ***„Dr Sekula Drljević – Ličnost – Djelo – Vrijeme",*** *2011; Pajović R.,* ***„Kontrarevolucija u Crnoj Gori: četnički i federalistički pokret 194–1945",*** *Cetinje 1977.*



Żołnierze Brygady Lovćen FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c6ac7a6051

1975 r. / Walka komunistów z pamięcią o historycznej postaci



Nawa główna katedry św. Jana Chrzciciela w Warszawie

FOT. ARCHIWUM GRAŻYNY RUTOWSKIEJ/NAC

Operacja „Marszałek”

Marek Gałęzowski

Służba Bezpieczeństwa wysłała agentów na mszę w warszawskiej katedrze za duszę Józefa Piłsudskiego. Groziła głównemu inicjatorowi nabożeństwa konsekwencjami dla środowiska weteranów legionowych

Podstawą wszczęcia sprawy była uzyskana informacja mówiąca o przygotowywanym nabożeństwie w związku z 40-tą rocznicą śmierci J. Piłsudskiego. Ponadto na ulicach Warszawy pojawiły się liczne zawiadomienia o przygotowywanym nabożeństwie w katedrze św. Jana. Sprawę rozpoczęto 6.05.1975 r. [...]. W toku prowadzenia sprawy, której celem było: ustalenie organizatorów nabożeństwa, niedopuszczenie do wrogich wystąpień autorów i wykonawców klepsydr i tablic związanych z Piłsudskim, uzyskano założony cel” – pisano w esbeckim dokumencie o działaniach, którym nadano kryptonim Marszałek.

Były one jednymi z wielu przykładów zwalczania pamięci o Józefie Piłsudskim i polskiej tradycji niepodległościowej – tego, co władze komunistyczne w swojej nowomowie charakteryzowały jako „wpływanie na świadomość społeczną poprzez organizowanie imprez nawiązujących do założeń ideowych i tradycji Polski burżuazyjnej”.

Znani fanatycy Józefa Piłsudskiego

Jak wynikało z informacji agenturalnych, głównymi organizatorami uroczystości byli Roman Abraham, Henryk Bezeg i Mieczysław Boruta-Spiechowicz, których SB określała jako „znanych fanatyków Józefa Piłsudskiego”. Abraham i Boruta-Spiechowicz byli wybitnymi generałami przedwojennego Wojska Polskiego, we wrześniu 1939 r. dowódcami wielkich jednostek WP w wojnie z Niemcami.

Znacznie mniej znany jest trzeci z wymienionych. Urodzony w 1896 r. w rodzinie o korzeniach węgierskich Henryk Bezeg był wśród tych, którzy wstąpili do Legionów Polskich. Służył w I Brygadzie Piłsudskiego i bił się z Moskalami pod Nowym Korczynem i Laskami, gdzie został ranny. Wrócił na legionowy szlak, ale 23 maja 1915 r. w bitwie pod Konarami doznał ciężkiej rany głowy, wskutek której stracił oko; początkowo uznano go za poległego. Przeżył, ale po długim leczeniu został zwolniony ze służby. A jednak niezłomność i hart ducha pozwoliły wrócić Bezegowi do szeregów. Widzimy go w Polskiej Organizacji Wojskowej, a następnie w obronie Lwowa w listopadzie 1918 r. W WP, ze względu na

eprasa.pl c6ac7a6051



Wyniesienie trumny Józefa Piłsudskiego z katedry św. Jana w Warszawie FOT. NAC

inwalidztwo, został przydzielony do służby gospodarczej, ale w 1. pp Legionów, w którym odznaczył się w czasie zdobywania Wilna w kwietniu 1919 r., walcząc w pierwszej linii z bolszewikami.

Po wojnie, którą zakończył w stopniu kapitana, pozostał w wojsku, w intendenturze: „Wybitnej wartości oficer intendentury. Wybitnie inteligentny, zdolny, wszechstronnie w służbie intendenckiej wyszkolony teoretycznie i praktycznie, niezwykle pracowity [...]. Rzadki typ oficera ideowego, który może służyć jako wzór dla wszystkich pod każdym względem. Wysokiego poczucia honoru i godności własnej, nadzwyczaj pilny, pracowity, obowiązkowy, ambitny, sumienny, lojalny, o wysokim poczuciu obywatelskim, wzorowy kolega. Służbie, dobru żołnierskiemu, jak również idei armii narodowej całkowicie oddany".

W 1935 r. w stopniu majora przeszedł do rezerwy, ale po napaści Niemiec na Polskę znów wrócił do WP, uczestnicząc w organizacji jednej z dywizji piechoty, która w ramach SGO „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga wzięła udział w ostatniej bitwie kampanii 1939 r. – pod Kockiem.

Sam nie zdołał dołączyć do Kleeberga, także zresztą dawnego oficera legionowego; ledwie uniknąwszy śmierci z rąk sowieckich, przedostał się do Warszawy. Tu przyszło mu wykonać prawdziwe zadanie życia: został jednym z współtwórców Związku Walki Zbrojnej na odcinku Służby Intendentury Oddziału IV Kwatermistrzowskiego KG ZWZ-AK, którą kierował niemal przez całą okupację niemiecką. Do jego zadań należało m.in. opracowanie planów zaopatrzenia w żywność i odzież, a później w broń i amunicję oddziałów ZWZ-AK w terenie. W maju 1944 mjr Bezeg „za pracę konspiracyjną prowadzoną z dużą ofiarnością oraz stałym narażeniem się osobistym" został awansowany do stopnia podpułkownika. Po wojnie pozostał w kraju, jak większość żołnierzy Armii Krajowej doświadczając szykan ze strony władz komunistycznych.

To on, w 40. rocznicę śmierci Komendanta I Brygady, był głównym animatorem akcji mającej na celu jego upamiętnienie.

Na tablicy leżała czapka – maciejówka marszałka Piłsudskiego

W dniu imienin Marszałka, które piłsudczycy obchodzili od czasów legionowych, 19 marca 1975 r. płk Bezeg i gen. Abraham odwiedzili ks. Jerzego Baszkiewicza, proboszcza katedry św. Jana na Starym Mieście. To wówczas uzgodniono, że nabożeństwo za spokój duszy JózefaPiłsudskiego odbędzie się w 40. rocznicę jego śmierci. W kwietniu Jerzy Rybiński, były żołnierz AK, wykonał klepsydry, które w pierwszych dniach maja pojawiały się na kościelnych tablicach ogłoszeń w Śródmieścia, na Starym i Nowym Mieście, Mokotowie, Woli i Ochocie, a także na Pradze (m.in. u św. Wawrzyńca przy ul. Wolskiej, Bożego Ciała przy ul. Grochowskiej, Wszystkich Świętych przy pl. Grzybowskim). W akcji rozlepiania wzięły udział trzy kobiety i trzech mężczyzn, w tym jeden członek PZPR na stanowisku dyrektorskim.

Nie uszło to, jak wspomniano, uwadze bezpieki: „Informuję, że w związku z rocznicą zgonu J. Piłsudskiego w wyniku przeprowadzonej penetracji ważniejszych obiektów sakralnych i ich otoczenia na terenie m.st. Warszawy ujawniono: 19 klepsydr o wymiarach 30 x 40 cm wykonanych techniką fotograficzną o treści: »W 40 rocznicę zgonu – za spokój duszy śp. Józefa Piłsudskiego 1867–1935 odprawione zostanie nabożeństwo żałobne w archikatedrze św. Jana w Warszawie w poniedziałek 12 maja 1975 o godzinie 19.00 – Rodacy«". Klepsydry miały zostać „dyskretnie usunięte i zabezpieczone operacyjnie", chociaż – jak pisano dalej w materiałach sprawy – niektóre jednak pozostawiono.

Służby komunistycznego państwa nie przeszkodziły nabożeństwu, które odbyło się 12 maja 1975 r. o godz. 19, zgodnie z planem w katedrze św. Jana, ale podjęły „działania zmierzające do niedopuszczenia do wrogich wystąpień w trakcie



OTA, 6-7 CZERWCA (JUNE 6-7), 1975

Msza Św. w Warszawie w Rocznicę Śmierci J. Piłsudskiego

W 40 ROCZNICĘ ZGONU – ZA SPOKÓJ DUSZY
ŚP
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
1867–1935
ODPRAWIONE ZOSTANIE NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE W ARCHIKATEDRZE ŚWIĘTEGO JANA W WARSZAWIE W PONIEDZIAŁEK 12 MAJA 1975 O GODZINIE 19-ej
Rodacy

Otrzymaliśmy z Polski wiadomość, że 12 maja w 40-tą rocznicę śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, w warszawskiej katedrze odbyło się uroczyste nabożeństwo "przy udziale niemal całej Warszawy, a to dzięki amatorsko wykonanym i rozlepionym na wszystkich kościołach klepsydrom (na zdjęciu)... Do katedry waliły tłumy, aż milicja zatrzymywała."

eprasa.pl c6ac7a6051



Pułkownik Henryk Bezeg

FOT. Z KSIĄŻKI „WIERNI POLSCE" MARKA GAŁĘZOWSKIEGO

nabożeństwa zarówno ze strony kleru, jak i byłych legionistów, jak również do ustalenia organizatorów tej uroczystości […]. Wprowadzono do sprawy tajnych współpracowników wywodzących się ze środowiska tradycyjnego [czyli mających za sobą udział w działalności niepodległościowej – przyp. M.G.], tj. t.w. »Kleszewski«, »Maraton«, »Stanisław« i »Krzysztof«.

Osobowe źródła informacji zostały ukierunkowane na ustalenie organizatorów uroczystości, a także wykorzystano je do operacyjnego zabezpieczenia nabożeństwa w dniu 12 maja 1975 r. W celu pełniejszego zabezpieczenia przebiegu nabożeństwa [wprowadzono] także »B«, mając przede wszystkim na uwadze zidentyfikowanie osób najbardziej aktywnych w trakcie tej imprezy".

Biorąc pod uwagę skromne rozmiary akcji informacyjnej, przedsięwziętej przez płk. Bezega i niewielkie grono jego znajomych, frekwencja była bardzo wysoka, wynosząc według raportu SB „około 5 tys. osób zgromadzonych w katedrze i na zewnątrz przed wejściem do katedry" (w innym meldunku szacowano ją na 6 tys. zgromadzonych). Jak pisano dalej, „przeważały osoby w wieku podeszłym (55–75 lat), w tym większość mężczyzn oraz nieznaczna ilość ludzi młodych. Wewnątrz katedry ustawiono tablicę o rozmiarach 120–80 cm z głową J. Piłsudskiego z brązu z napisem »wskrzesiciel polski niepodległej« [pisownia oryginalna – przyp. M.G.], pod tablicą złożono kwiaty i wieńce z szarfami biało-czerwonymi. Wśród zebranych zauważono dziennikarzy zagranicznych". Jeden z esbeckich donosicieli dodał, że „na tablicy leżała czapka – maciejówka marszałka Piłsudskiego".

Nabożeństwo celebrował ks. Baszkiewicz, „który zapowiedział, że odprawia się żałobne nabożeństwo z okazji 40-lecia śmierci pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i za poległych żołnierzy w wojnie. Na zakończenie zebrani odśpiewali pieśń »Boże, coś Polskę« – akcentując »ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie«. W czasie mszy, oprócz wspomnianej tablicy z brązu przedstawiającej Marszałka, do katedry przyniesiono także drugą, wyobrażającą panoramę Lwowa z katedrą i pomnikiem Orląt lwowskich oraz napisem »Lwów zawsze wierny«, prosząc o zgodę na ich wmurowanie (obie tablice wykonał artysta rzeźbiarz Stanisław Lipski, żołnierz AK i powstaniec warszawski, po wojnie więziony przez komunistów). Ksiądz Baszkiewicz w porozumieniu z biskupem Jerzym Modzelewskim uzależnił jednak swoją zgodę na wmurowanie tablic w ścianę kościoła od decyzji prymasa Stefana Wyszyńskiego.

Jak donoszono w materiałach SB, powodem nie była obawa zadrażnienia stosunków z władzami, a inne, przede wszystkim użycie „w stosunku do J. Piłsudskiego [określenia] »wskrzesiciel niepodległej Polski«, które »nie może być w kościele umieszczone, ponieważ jedynym uznawanym przez kościół wskrzesicielem był J. Chrystus« [pisownia oryginalna – przyp. M.G.]". Zapewne był to jedynie pretekst, ponieważ w materiałach SB decyzję proboszcza tłumaczono chłodnym stosunkiem hierarchii kościelnej do Marszałka, a sama sytuacja związana z prośbą o wmurowanie tablic miała chyba bardziej emocjonalny charakter. Jak bowiem donosił jeden ze skierowanych do sprawy tajnych współpracowników, do ks. Baszkiewicza „zbliżył się generał Abraham, postarzały o lasce, ale wciąż b. elegancki, i zaczął o coś przymilnie księdza prosić. Ksiądz b. energicznie potrząsnął głową w geście negatywnym i oddalił się. Abraham spojrzał za nim wściekle, a po końcu uroczystości razem z generałem Borutą Spiechowiczem poszli do prezbiterium". Tablice te zostały jednak wmurowane w późniejszym czasie.

Tymczasem po zakończeniu mszy rozpoczęła się część nieoficjalna: „Tworzyły się grupki ludzi wokół generałów i pułkowników przy tablicach, a oni odpowiadali na pytania, opowiadali o Piłsudskim, legionach. Ubolewali, że młodzież nie może uczyć się prawdziwej historii Polski. Wokół tych wojskowych gromadziła się szczególnie młodzież, która z zaciekawieniem wysłuchała informacji o wojnie z Rosją, o legionach, o przedwojennych galówkach, wystąpieniach marszałka. Zadawano szereg pytań. Trwało to około godzinę".

Wśród tych generałów i pułkowników – poza Abrahamem i Borutą-Spiechowiczem – wymieniano także dawnych legionistów, w czasie drugiej wojny światowej wybitnych oficerów Armii Krajowej – m.in. płk. Jana Zientarskiego, płk. Kazimierza Plutę-Czachowskiego i płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława".

Wreszcie, wreszcie uczczą Marszałka, bohatera Polski

Nie minęło wiele czasu od uroczystości, kiedy SB wezwała na „rozmowę ostrzegawczą" płk. Henryka Bezega, uznanego za głównego organizatora uroczystości. W notatce sporządzonej po zakończeniu przesłuchania czytamy: „Na wstępie rozmowy poinformowałem Bezega, że władze państwowe dotychczas nie wnosiły zastrzeżeń do organizowanych nabożeństw w związku z rocznicami śmierci J. Piłsudskiego, jak również nikt nie usiłuje zmienić historii, bo wiadomo, że Piłsudski istniał, ale w żadnym wypadku nie możemy tolerować organizowania pod płaszczykiem uroczystości religijnych imprez o charakterze demonstracji politycznych mających jednoznaczny charakter antyradziecki i antysocjalistyczny". W dalszej części

eprasa.pl c6ac7a6051

tej „rozmowy ostrzegawczej" przesłuchujący zagroził pułkownikowi, „iż tego rodzaju uroczystości, gdyby się powtórzyły, mogą wywołać tylko i wyłącznie ujemne skutki dla samego środowiska legionistów, ponieważ sami oni zmuszają władze do podjęcia odpowiednich środków". Następnie oświadczył, że oczekuje od Bezega „szczerości w tej rozmowie, a każda próba kłamliwych wyjaśnień przybiera zły obrót dla niego. Decydując się na rozmowę z Bezegiem, posiadam pełne i niezbite dane, iż należał on do głównych organizatorów tego nabożeństwa. Ponadto zaznaczyłem, iż jest on niepoprawny, ponieważ już w poprzedniej rozmowie w MSW przyrzekł, iż nie będzie organizował imprez o charakterze politycznym. Na powyższe Bezeg oświadczył, iż oczekiwał rozmowy na ten temat, ale prosi, abym mu uwierzył, iż jego rola była minimalna".

Zainteresowanie SB budziły też reakcje w środowisku literackim dotyczące nabożeństwa w katedrze św. Jana. Nie były one chyba zbyt liczne – nie wspominają o nich w swoich dziennikach chociażby Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski czy Wiktor Woroszylski. Z materiałów SB wiadomo jednak, że o sprawie dyskutowali wówczas w siedzibie Związku Literatów Polskich m.in. Woroszylski i Jarosław M. Rymkiewicz; w ich kręgu mówiło się, „że jest to nabożeństwo – protest przeciwko relegowaniu z historii polskiej nauki o niepodległości Postaci Marszałka".

Esbecki donosiciel pisał: „Ludzie zatrzymywali się tłumnie przed klepsydrami i z nabożeństwem je studiowali. Widziałem przypadki przyklękania i żarliwego modlenia się"

Bezpieka otrzymała informację, że warszawscy literaci zostali poinformowani o nabożeństwie na początku maja: „Ulotka formatu 15 x 7 cm odbita na powielonym spirytusowym/niebieskim/2 egz. była na stoliku ZLP – Klub Krakowskie Przedmieście 87/87. Ludzie podawali sobie ze stolika do stolika i było to we wtorek 6 maja b.r. w godz. 13.00–15.00 […]. W ulotce poza tym mówi się, że jest to msza za duszę Marszałka, którego zasługi dla utworzenia Rzeczypospolitej systematycznie są pomijane i pomniejszane w Polsce Ludowej".

Rozwieszenie na przykościelnych tablicach zaledwie kilkunastu zawiadomień o ogólnej treści informacyjnej, ale z wybijającym się na nich nazwiskiem Józefa Piłsudskiego, wywołało ostatecznie efekt chyba nieoczekiwany przez ostatnich żyjących jego żołnierzy. Jeden ze wspomnianych esbeckich donosicieli, zresztą przedwojenny oficer i weteran bitwy pod Monte Cassino, pisał: „Ludzie zatrzymywali się tłumnie przed klepsydrami i z nabożeństwem je studiowali. Widziałem przypadki przyklękania przed klepsydrami (obwieszczeniem) i żarliwego modlenia się. Miałem trudności z młodzieżą, aby wreszcie odciągnąć ją od tego miejsca. Inne głosy mówiły: »Ale klepsydry malowane ręcznie, widocznie drukarzom zabronili«. Dzieci i nauczyciele mojej grupy, prawie nic albo b. niewiele z tego rozumieli, gdyż stanowili pokolenie, które w szkołach nie uczyli się nic albo prawie nic o epoce Legionów i sanacji oraz o osobie Piłsudskiego. Byłem nieco zaskoczony potęgą rangi nazwiska Piłsudskiego, które zdołało przyciągnąć do kościoła tysięczne tłumy. Czułem się zwolniony od komentarza, jako że jakaś pani głośno komentowała: »Wreszcie, wreszcie, uczczą Marszałka, bohatera Polski«".

Wiele lat wcześniej, w czasie drugiej wojny światowej, do innych, którzy podważali zasługi zmarłego Marszałka i zwalczali działania mające na celu upamiętnienie jego osoby, Zygmunt Nowakowski skierował słowa, które jakże aktualne okazały się kilkadziesiąt lat później w zniewolonym kraju: „Zaprzestańcie walki z nazwiskiem. Przegracie, bo walcząc nazwiskiem, chcecie walczyć z pieśnią. Ona jest nieuchwytna i niedosięgła, nie imają się jej ani biesy, ani argumenty [...]. Co więcej, jest ona irracjonalna, obrawszy sobie za królestwo uczucie, czyli instynkt. Czy ta pieśń ścichnie, gdy ktoś zatka uszy? […] Irracjonalny instynkt zapomniawszy o tym, co było bolesne, wiąże – po trzykroć, po stokroć słusznie – z owym nazwiskiem wszystko, co było dobre, piękne, własne". Nie inaczej – z tym, co piękne i własne, musieli przegrać i komuniści w PRL.



Odsłonięcie tablicy Orląt Lwowskich, 30 października 1975 r. Od lewej: gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz i gen. Roman Abraham FOT. DANUTA ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl c6ac7a6051



Sympozjon na wazie greckiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ ARCHEOLOGICAL MUSEUM MARDID/MARIE LE NGUYEN

Wywiad / Z dr. hab. Markiem Węcowskim, badaczem dziejów antycznych, autorem książki „Tu jest Grecja! Antyk na nasze czasy”

rozmawia Radosław Wojtas

Homerów dwóch

– Utwory Homera, a zwłaszcza „Iliada”, bardzo szybko zdobyły prestiż tak wielki, że służyły Grekom w szkole jako coś w rodzaju elementarza – mówi historyk z UW

RADOSŁAW WOJTAS: Jednym z najstarszych znanych nam tekstów zapisanych greckim alfabetem jest wiersz traktujący o zabawie, piciu wina i seksie. Co nam to mówi o starożytnych Grekach?

DR HAB. MAREK WĘCOWSKI: Tekst pochodzi z połowy VIII w. p.n.e. Wykonano go z maestrią na niewielkim naczyniu do picia wina, znalezionym na wyspie w Zatoce Neapolitańskiej. Zapis jest na tyle wyrafinowany, że wskazuje na to, iż Grecy musieli nauczyć się pisać na długo przed jego powstaniem. To znaczy, że najstarsze znane nam greckie napisy są efektem trwającej już dłuższy czas ewolucji pisma. Przetrwały do naszych czasów, bo powstały w tym momencie historii, w którym Grecy zaczęli umieszczać je na trudno degradującym się w przyrodzie materiale – na ceramice. A zatem pierwszą informacją, która płynie z napisu na tzw. czarze Nestora z Pithekoussai, jest wskazówka, że Grecy nauczyli się pisać znacznie szybciej – bo najpóźniej ok. połowy IX w. p.n.e. – niż przez długi czas sądziliśmy.

A jakie wnioski możemy wyciągnąć z samej treści? Nie jest długa, przytoczmy ją zatem w całości, w tłumaczeniu Włodzimierza Appela:

Jestem czarą Nestora, z której wygodnie się pije;
Kto zaś napije się z tej czary, tego natychmiast ogarnie
Pragnienie pięknie wieńczonej Afrodyty.

To napis poetycki, który prawdopodobnie był elementem albo wręcz zapisem jakiejś biesiadnej zabawy arystokratów. Z tego utworu dowiadujemy się dokładniej, jak takie biesiady wyglądały. A zatem z jednej strony pojawia się tam moc wina, z drugiej – wzmianka o Afrodycie, a więc obietnica seksu. Nie oznacza to jeszcze, że na biesiadach zwanych sympozjonami dochodziło do erotycznych orgii. Znaczy to raczej tyle, że o seksie się tam mówiło, seks się sobie wyobrażało, a rozmaite elementy, takie jak obecność heter, miały budować erotyczną atmosferę, ale stosunkowo rzadko prowadziły do jej urzeczywistnienia. Ciekawą informację skrywa rozpoczynający ten tekst żart. Naczynie samo o sobie mówi, że jest czarą Nestora. Był to bohater greckiej mitologii, jedna z najważniejszych postaci „Iliady” Homera. Ci, którzy sądzą, że ten wierszyk czyni aluzję do „Iliady” – nie wszyscy się z tym zgadzają – uważają, że ten skromny przedmiot udaje ciężkie, cenne, złote naczynie Nestora. Ten sposób zabawy własną tradycją literacką będzie odtąd trwale obecny w greckiej kulturze.

Dość wyrafinowany żart, zważywszy na okoliczności. Sympozjon, czyli „współpicie”, to przecież trwająca do świtu biesiada przy winie.

Tak, ale nie było to zwykłe upijanie się winem. Sympozjony były jednym z najważniejszych elementów greckiej kultury tzw. epoki archaicznej. Podczas

eprasa.pl c6ac7a6051

tych biesiad bardzo istotne były różnego rodzaju rozrywki intelektualne. Sympozjony gromadziły elity w grupach liczących 7–14 mężczyzn. Biesiadowali oni w pozycji półleżącej przez całą noc. Najpierw jedli, a po zmierzchu zaczynali pić wino. Był to silny komunikat społeczny – ludzie, którzy bawią się w ten sposób, mogą sobie pozwolić na konsumowanie, które nie jest niezbędne do życia, nie muszą od rana pracować, mają wolny czas. Mamy do czynienia z gronem elitarnym.

W jaki sposób to elitarne grono – jak rozumiem, dorosłych mężczyzn – spędzało noce na sympozjonach?

Na pełnych prawach brali w nich udział wyłącznie dorośli mężczyźni. Kilkunastoletni młodzieńcy bywali na sympozjonach – w pewnej mierze po to, żeby budować erotyczną atmosferę, tym razem w wymiarze homoerotycznym – ale nie mieli oni prawa pić wina, nie mieli prawa zabierania głosu, powinni skromnie siedzieć w nogach sofy ojca, brata czy stryja. Byli tam obecni z bardzo konkretnego powodu – żeby się uczyć. Sympozjon był bowiem miejscem, w którym rozrywki intelektualne miały charakter rywalizacji. Jedną z głównych zabaw była tzw. gra żądeł. Polegała ona np. na tym, by odpowiednio złośliwie nawiązać do jakichś cech fizycznych albo intelektualnych towarzyszy, ale w na tyle kulturalny sposób, żeby nikogo śmiertelnie nie obrazić. Taka gra złośliwości działała jak szkoła szybkiej, błyskotliwej riposty. Dla tych młodych ludzi była to doskonała wprawka do życia politycznego. Były również konkursy zręcznościowe, np. gra zwana kottabos. Na środku sali na wysokiej tyczce opierano talerzyk, który należało strącić ostatnimi kroplami wina z kielicha, wykonując charakterystyczny gest przypominający ruch katapulty. W zabawach tych każdy musiał brać udział po kolei. To podkreśla raz jeszcze coś, co w greckiej polityce jest niezwykle ważne, a mianowicie – równość ludzi, którzy są członkami danej wspólnoty.

Czy ta równość obejmowała też obecne na sympozjonach hetery?

Hetery należały do wyższej klasy greckiej prostytucji. W greckiej kulturze kobiety miały niepomiernie niższy status społeczny niż mężczyźni, ale przez ten krótki czas na sympozjonie mogły bawić się na równi z mężczyznami.



Czara Nestora

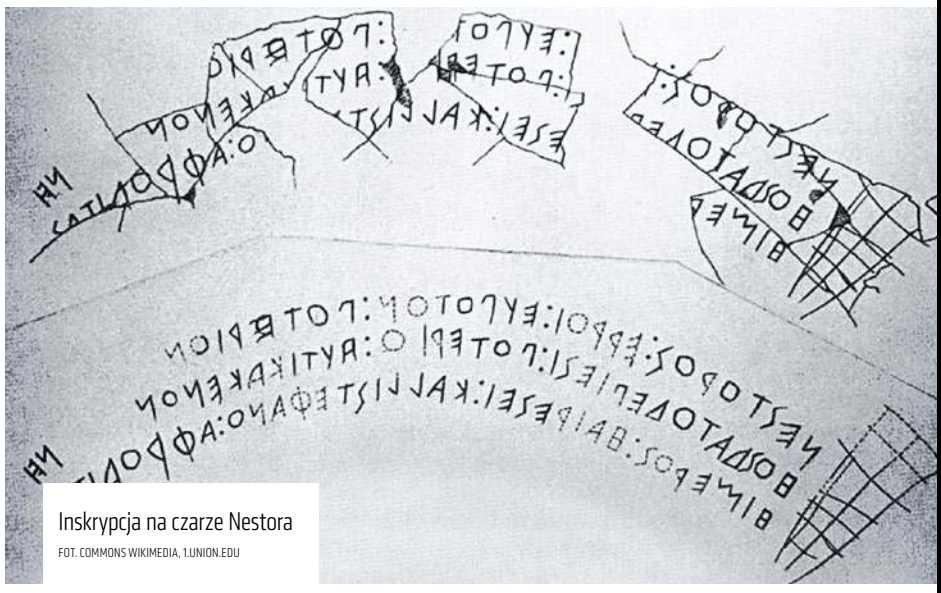
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FIDIO

Trzymając się jeszcze nieco wątku czary Nestora, a dokładniej – greckiego pisma... Grecy go nie wymyślili, ale zdefiniowali na nowo. Na czym polega wyjątkowość greckiego alfabetu i czy to właśnie pismo jest najważniejszą spuścizną Hellenów?

Można powiedzieć, że w najszerszej perspektywie to właśnie ten wynalazek jest najważniejszym osiągnięciem greckiej cywilizacji. Oczywiście możemy mówić o demokracji czy filozofii i to wszystko będzie prawda, ale mają one w późniejszych czasach udział nieco zapośredniczony, ulegają głębokim zmianom. Dzisiejsza demokracja różni się diametralnie od greckiej, tak samo jak filozofia antyczna od nowożytnej. Natomiast jeśli chodzi o pismo, to najważniejszy wkład Greków w ten wynalazek pozostał bez większych zmian. Tym wkładem, w dużym uproszczeniu, jest wprowadzenie jasnego systemu pozwalającego notować każdy dźwięk języka. Wcześniej funkcjonowało pismo składające się z zapisu wyłącznie spółgłosek. Żeby wiedzieć, na jakie słowo składa się dana kombinacja znaków, musieliśmy znać kontekst, rozumieć całe zdanie. Grecy wprowadzili do alfabetu znaki na określenie każdego dźwięku języka – zarówno spółgłosek, jak i samogłosek. I od tej pory tak funkcjonował alfabet. Znakami takiego alfabetu możemy zapisać dowolne słowo niezależnie od tego, czy wiemy, co ono oznacza. Słowem – dzięki Grekom alfabet stał się uniwersalnym instrumentem do zapisu dowolnego języka ludzkiego, odrywając się od wszelkich ograniczeń lokalnych, kulturowych, językowych. Alfabet stał się intelektualnie uniwersalnym narzędziem przekazywania informacji. Pismo z jednej strony pozwala komunikować się na duże odległości, a z drugiej strony pozwala komunikować się w czasie, odczytać informację zapisaną kilka tysięcy lat temu. Dzięki Grekom ta komunikacja w czasie i przestrzeni stała się dostępna dla każdego ludu.

Pojawił się w naszej rozmowie Homer. W swojej książce nazywa go pan „nauczycielem Hellenów wszystkich czasów". Jak to osiągnął?

Utwory Homera, a zwłaszcza „Iliada", bardzo szybko zdobyły prestiż tak wielki, że służyły Grekom w szkole jako coś w rodzaju elementarza. Uzyskały ogromny autorytet także jako źródło wiedzy. Grecy, zwłaszcza w epoce archaicznej, cenili mądrość, która miała być szczególnym udziałem poetów, miała pochodzić od bogów, najczęściej za



Inskrypcja na czarze Nestora

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, 1.UNION.EDU

eprasa.pl c6ac7a6051

pośrednictwem muz. Przyczyny, dla których „Iliadę" i „Odyseję" uznano za źródło mądrości przewyższające utwory innych poetów, są dla nas pewnego rodzaju zagadką. Wiemy, że tak było, ale możemy tylko spekulować, jak do tego doszło. Słowom Homera niekiedy przypisywano wręcz magiczną moc. Dla przykładu – jeszcze w chrześcijańskiej przecież epoce bizantyńskiej przyczepienie sobie do ramienia przez kobietę karteczki z wersem Homera, niemającym nic wspólnego z seksem i prokreacją, miało służyć jako niezawodny środek antykoncepcyjny.

Czy był to człowiek z krwi i kości, jedna osoba?

Samo jego imię jest dziwne, wygląda na coś w rodzaju pseudonimu. Od XVIII w. zaczęto zakładać, że tak wielkie, rozległe poematy nie mogły powstać jako utwory literackie stworzone przez jednego poetę. To dlatego, że zakładano, iż w czasach, kiedy poematy te miały powstać – a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest to końcówka VIII albo początek VII w. p.n.e. – Grecy nie znali pisma. Mielibyśmy więc do czynienia z utworami, które powstały dużo później wskutek zebrania poematów mniejszych rozmiarów, funkcjonujących wcześniej jedynie w ustnej formie. Homerem byłby ten, kto zebrał różne pieśni krążące wokół wojny trojańskiej w wypadku „Iliady" i wokół tułaczek Odysa w przypadku „Odysei". Jednak czara Nestora pokazuje, że w czasach, kiedy „Iliada" i „Odyseja" zapewne powstawały, Grecy posługiwali się już pismem i używali go m.in. do zapisu poezji. Pewne cechy kompozycji „Iliady" i „Odysei" wskazują na to, że utwory te powstały jako całość. To nie są formy tradycyjnej ustnej literatury, to są przemyślane struktury wielkiej kompozycji literackiej. Jeżeli założymy, że utwory te zostały stworzone przez jednego poetę lub dwóch, to na pewno byli to zawodowi pieśniarze, którzy już potrafili posługiwać się pismem albo dysponowali sekretarzami, którzy mogli zapisywać ich pieśni. Bliższe jest mi przekonanie, że nie było jednego Homera, ale że byli to dwaj genialni poeci, żyjący w obrębie tego samego kręgu kultury, w bardzo krótkiej odległości w czasie. Krytycy takiej hipotezy często podnoszą argument, że



Figurka Afrodyty w muszli FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STAATLICHE ANTIKENSAMMLUNGEN, MATTHIAS KABEL



Hetera i młody mężczyzna podczas sympozjonu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STAATLICHE ANTIKENSAMMLUNGEN, MATTHIAS KABEL

jest mało prawdopodobne, żeby dwóch takich geniuszy żyło obok siebie jednocześnie – np. jako mistrz i uczeń – i tworzyło tak wielkie dzieła. Odpowiedź na taką wątpliwość jest prosta: akurat grecka historia zna przynajmniej jeden tego typu przypadek – dwóch filozofów, największych w dziejach ludzkości. Platon i jego uczeń Arystoteles żyli w jednym miejscu i czasie, stworzyli dwa genialne systemy przewyższające wszystko, co w dziejach filozofii było i być może wszystko, co będzie.

Mówił pan, że słowom Homera przypisywano wręcz magiczną moc. Czy traktowano je zatem niczym prawdę objawioną, z którą nie wypadało dyskutować?

eprasa.pl c6ac7a6051

Homer cieszył się bardzo dużym autorytetem i był dla Greków bardzo ważny. Już w VII w. p.n.e. w sztukach plastycznych i poezji znajdujemy odwołania do twórczości Homera, ale także ślady krytycznej z nim dyskusji, która podważała np. jego wizję wojny trojańskiej czy obraz bogów. Zatem autorytet tego wielkiego poety był przez całe dzieje greckiej kultury autorytetem, by się tak wyrazić, „dyskursywnym". Jego utwory nie były tekstem świętym – który przyjmujemy w całości i możemy najwyżej debatować o tym, że my go lepiej rozumiemy niż nasi poprzednicy, bo na tym z grubsza polegają dyskusje teologiczne – tylko tekstem, z którym można dyskutować, któremu można zarzucać błędy, nawet fundamentalne. Ten charakter dyskusji, ten dyskursywny autorytet, będzie od tej pory czymś niezwykle ważnym w greckiej kulturze, zwłaszcza w teatrze. Ta cecha greckiej kultury stała się podstawą kształtowania się w niej np. filozofii. W tym sensie Homer jest niezwykle ważnym fenomenem kultury, sięgającym swoimi konsekwencjami aż do naszych czasów.

Czy możemy mówić o pełnej wolności artystycznej, o wolności słowa w starożytnej Grecji?

To zależy od miejsca i czasu. Są czasy bardziej dramatyczne, kiedy mogły pojawiać się próby ograniczenia swobody wypowiedzi np. komediopisarzy krytykujących polityków. Mamy taką tradycję – nie wiemy, czy ona jest w pełni wiarygodna – że w czasie wojny prowadzonej przez Ateńczyków pod dowództwem Peryklesa ateńskie zgromadzenie ludowe podjęło decyzję, by zakazać wyśmiewania ze sceny teatralnej państwa i polityków. Nawet jeśli ta cenzura w Atenach funkcjonowała, to bardzo krótko, gdyż niedługo po czasie, gdy miała ona występować, widzimy już brutalną krytykę polityków, a nawet kierunków polityki państwa. Natomiast swoboda wypowiedzi, także na temat bogów, miała swoje ograniczenia. Istniały kulty misteryjne, z natury rzeczy tajne, za których zdradzenie w Atenach można było zostać skazanym za świętokradztwo. Najważniejsze jest to, że czynniki zazwyczaj ograniczające wolność słowa – mówiąc dzisiejszym językiem, bo to są nasze wyobrażenia i nasze ideały – w Grecji nie występowały. Władzę można było krytykować niemal w każdej sytuacji. Ślady tego widzimy już w „Iliadzie", kiedy Homer pokazuje nam zgromadzenie wojowników pod Troją. Opisany w najgorszy sposób, najbardziej lichy, najtchórzliwszy wojownik z obozu Achajów, niejaki Tersytes, zaczyna na zgromadzeniu ludowym ubliżać najwyższemu królowi Agamemnonowi, kwestionując jego rozkazy i jego kompetencje. Nawet ktoś tak lichy, tak słaby i pochodzący z tak niskiego społecznie kręgu miał prawo krytykować najwyższych wodzów wspólnoty, bo poeta wyjaśnia, że on i w przeszłości „zwykł" tak robić. Oczywiście w świecie idealnym, epickim, został on za to ukarany, ale w świecie normalnym, który znali poeta i jego publiczność, nawet liderzy wspólnoty mogli być bezpośrednio krytykowani przez każdego obywatela. I już do końca dziejów starożytnej Grecji widzimy ten element całkowitej otwartości i możliwość pełnej krytyki władz jako jedną z konstytutywnych cech greckiej polityki.



MAREK WĘCOWSKI
„TU JEST GRECJA. ANTYK NA NASZE CZASY"
ISKRY

Jeżeli mówimy o greckiej polityce, o ustroju, o demokracji, to mamy na myśli wyłącznie Ateny?

Większość naszych źródeł opisujących mechanizm funkcjonowania ustroju konkretnej greckiej polis dotyczy oczywiście Aten, więc atenocentryczny punkt widzenia polityki greckiej jest niestety nieunikniony. Ale mamy na tyle dużo źródeł z innych miejsc, by powiedzieć, że mechanizmy działania greckiej polis, cechy, które widzimy najdokładniej w Atenach, da się rozpoznać wszędzie indziej, w każdej innej greckiej wspólnocie epoki archaicznej czy klasycznej.

Jak zaznacza pan w swojej książce, starożytna Grecja nie była żadnym konkretnym państwem, nie była wspólnotą polityczną. Co ją w takim razie spajało?

Grecki świat, chociaż miał te same instytucje polityczne niemal wszędzie, nie miał dużych organizmów politycznych, poczynając od epoki archaicznej, a kończąc na czasach Aleksandra Wielkiego. Podzielony był na kilkaset, może nawet na tysiąc małych organizmów politycznych zwanych poleis. Podobnych do siebie, ale odrębnych od siebie i niekiedy wrogich wobec siebie. Były to organizmy na tyle sobie obce politycznie, że nie funkcjonowały między nimi żadne stałe mechanizmy moderujące ich relacje. Można z pewną dozą przesady powiedzieć, że naturalnym stanem relacji pomiędzy greckimi poleis jest konflikt i dopiero kiedy dwie poleis się umówią, że zawierają przymierze lub pewnego rodzaju rozejm, to wtedy panują między nimi w miarę dobre relacje.

A jednak ludzie w tym świecie żyją bardzo podobnie, mają podobne instytucje, tych samych bogów, te same dzieła literackie, które błyskawicznie rozprzestrzeniają się po całym greckim świecie. Świat ten rozpościera się w pewnym momencie od dzisiejszej Gruzji do południowej Hiszpanii i od Ukrainy z Krymem aż do Libii. Cały ten gigantyczny świat spajają identyczne elementy kultury, zarówno w wymiarze kultury literackiej, jak i w wymiarze kultury materialnej, np. kiedy używa podobnych naczyń do picia wina na sympozjonach, odbywających się w całym greckim świecie. Można nawet powiedzieć, że to nie tyle grecka polityka funkcjonuje pod wpływem kultury, ile grecka kultura spaja Greków od strony niepolitycznej, łącząc ich politycznie odrębne organizmy. Ponadto cechy greckiej polityki, np. otwartość na krytykę, publiczny charakter życia politycznego, wyraźnie korespondują z publicznym charakterem greckiego życia kulturalnego. Tak więc religia, kultura i polityka to trzy elementy tego samego zjawiska, które można nazwać grecką cywilizacją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor habilitowany Marek Węcowski pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Jest absolwentem UW oraz École des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu, byłym junior fellow Centrum Studiów Helleńskich Uniwersytetu Harvarda.

eprasa.pl c6ac7a6051



Irena Gut FOT. YAD VASHEM

Druga wojna światowa / Sprawiedliwa wśród Narodów Świata

Wszystko za milczenie



Anna Szczepańska

Ukrywając Żydów w domu swego niemieckiego pracodawcy i w pobliskim lesie, uratowała kilkanaście osób, w tym jedno nienarodzone dziecko. Dzięki jej uporowi matka dziecka nie zdecydowała się na aborcję. „Nie pozwolę Hitlerowi zabić w ten sposób kolejnego Żyda” – miała powiedzieć Irena Gut

Na jedną z tarnopolskich ulic, gdzie pod ścianami budynków rozstawili się ze straganami Polacy i Żydzi, wjechała furgonetka, zatrzymując się nagle z piskiem opon. Wypadło z niej kilkunastu żołnierzy z psami. „Schnelle!” – na ulicy rozległy się krzyki i szczęk broni. Irena Gut, która jak co dzień robiła w tym miejscu zakupy, zobaczyła nagle tłum ludzi popychanych kolbami karabinów. Przestraszona dała się wciągnąć do jakiegoś domu nieznanej kobiecie. Być może dzięki temu uniknęła aresztowania. Kolejne sceny oglądała zza szyby. Nagle tuż obok ujrzała zapłakaną, przerażoną Żydówkę przyciskającą do piersi niemowlę. W jej stronę szedł niemiecki oficer, który zażądał, aby kobieta oddała mu dziecko. Ta niechętnie, drżącymi rękami podała je żołnierzowi. Ten uniósł je powoli do góry i się uśmiechnął. Irena Gut zamarła. Wtedy Niemiec z całej siły rzucił niemowlakiem o bruk i roztrzaskał jego główkę butem, a krzyczącą z bólu matkę po chwili zastrzelił.

Bezradność rozrywała serce młodej kobiety. Tego dnia Irena Gut, bohaterka kanadyjsko-polskiego filmu „Przysięga

eprasa.pl c6ac7a6051

Ireny" w reżyserii Louise Archambault, obiecała sobie, że jeżeli kiedykolwiek będzie mogła udzielić komuś pomocy, to nigdy się nie zawaha.



Sophie Nélisse (jako Irena Gut) i Dougray Scott (Eduard Rügemer) w filmie „Przysięga Ireny" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gospodyni majora

W pewnym sensie Irena Gut miała szczęście. Choć w wyniku ulicznej łapanki trafiła do niemieckiej fabryki amunicji, to tam zwrócił na nią uwagę oficer Wehrmachtu. Major Eduard Rügemer stwierdził, że Irena posiada wystarczająco aryjski wygląd, a do tego ma niemieckobrzmiące nazwisko, i załatwił jej pracę w oficerskiej kantynie. Miała też nadzorować Żydów pracujących w działającej na miejscu szwalni. Żydzi byli początkowo nieufni, ale w końcu obdarzyli Irenę zaufaniem. Przekazaną przez nią informację, że Niemcy planują zabić wszystkich Żydów w Tarnopolu, traktowali jednak z rezerwą – byli przecież potrzebni Niemcom do pracy. Irena, która pracując jako kelnerka, słyszała rozmowy żołnierzy, nie pozostawiała jednak Żydom złudzeń. „Najpierw zabiją was, a później wezmą się za nas, Polaków" – mówiła dobitnie, przekonując, że lada chwila będą musieli postawić wszystko na jedną kartę, jeżeli chcą ocalić życie.

W końcu nadszedł dzień próby. Kiedy Irena podsłuchała, że Niemcy zamierzają zlikwidować tarnopolskie getto, wiedziała, że oznacza to śmierć tysięcy ludzi. Jedyne, co mogła zrobić, to spróbować ocalić „swoich" Żydów – pracowników szwalni.

Cudownym zbiegiem okoliczności mjr Rügemer poinformował ją wówczas, że zostanie gospodynią w jego nowo przejętej po Polakach willi. Wtedy w głowie Ireny zrodził się szalony pomysł. Jedynym miejscem, gdzie nikt nigdy nie będzie szukał Żydów, będzie dom niemieckiego oficera. Tam właśnie zamierzała ukryć swoich kilkunastu przyjaciół.

Z pomocą nieco tajemniczego szefa kuchni z oficerskiej kantyny o nazwisku Schultz (w tej roli Andrzej Seweryn) plan udaje się zrealizować. Żydzi zostają umieszczeni w piwnicy nowej willi majora. Ich życie uzależnione jest od rytmu dnia gospodarza. Kiedy ten wychodzi do pracy, jego „lokatorzy" opuszczają kryjówkę i pomagają Irenie w domowych porządkach. Względny spokój trwa jednak krótko. Ktoś w końcu wysyła Irenie list, w którym grozi, że przekaże gestapo, iż w domu majora ukrywani są Żydzi...

„Przysięga Ireny" wiernie oddaje życiorys Ireny Gut, choć opowieść ogranicza się właściwie tylko do kilku lat jej życia. O Polce zrobiło się głośno po tym, gdy wydała swą autobiografię, na podstawie której w 2008 r. wystawiono w Nowym Jorku sztukę teatralną. Losy Ireny Gut, odznaczonej po latach medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, są jednak bardziej złożone i dramatyczne, odzwierciedlając tragedię, która spotkała Polskę we wrześniu 1939 r. W filmie brakuje nieco szerszego tła historycznego, które lepiej osadzałoby bohaterkę w konkretnym miejscu i czasie, ale kanadyjskim i amerykańskim twórcom zależało jednak przede wszystkim na ukazaniu Zagłady.

Sowiecka matnia

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Irena Gut miała 19 lat. Urodziła się w Kozienicach, miała cztery młodsze siostry. Jej matka zajmowała się domem, a ojciec, były legionista, pracował w branży ceramicznej. Ze względu na jego pracę rodzina wiele razy się przeprowadzała. W 1936 r. zamieszkała w Kozłowej Górze (dziś to część Piekar Śląskich). Irena wychowywała się w domu pełnym ciepła, gdzie pielęgnowano patriotyzm, co podkreślała w swoich wspomnieniach: „Z powodu naszego nazwiska wiele osób uważało, że jesteśmy niemieckiego pochodzenia [...]. Byliśmy Polakami. Wychowano mnie tak, abym się tym szczyciła".

Od dziecka lubiła pomagać. Wraz z siostrami zajmowała się bezpańskimi zwierzętami, a mając kilkanaście lat, została wolontariuszką Czerwonego Krzyża. W 1938 r. wyjechała do szkoły pielęgniarskiej w Radomiu. 1 września 1939 r., kiedy zaczęła się wojna, ruszyła do miejscowego szpitala, gotowa opatrywać rannych. Wkrótce, wraz z innymi pracownikami Czerwonego Krzyża oraz oddziałem polskich żołnierzy, została ewakuowana z miasta. W drodze do Kowna grupa dowiedziała się, że od wschodu Polskę zaatakował Związek Sowiecki. Część towarzyszy Ireny postanowiła wówczas udać się do Lwowa. „Pierwszej nocy w lesie z koców sklecilismy namioty. Niektórzy z nas spali w ciężarówkach, niektórzy na ziemi. Część nie spała w ogóle, tylko stała w ciemnościach [...]. Rano odkryliśmy, że ośmiu żołnierzy, w tym oficerowie, popełniło w nocy samobójstwo [...]" – pisała po latach.

Mimo prób unikania Sowietów Irena Gut wpadła w końcu w ich ręce. Oskarżona o udział w polskiej partyzantce została pobita i zgwałcona. Irenę uratował inny sowiecki patrol, który zawiózł ją do szpitala w Tarnopolu. Tam wciąż nie była bezpieczna. Kolejny raz była napastowana, ale dzięki pomocy jednego z lekarzy udało jej się uciec do miejscowości Swietłana koło Kijowa, gdzie podjęła pracę jako pielęgniarka i przyjęła nowe imię i nazwisko: Rachela Meyer.

Na początku 1941 r. udało się jej dostać do Tarnopola, gdzie znajdował się

eprasa.pl c6ac7a6051



Kadr z filmu „Przysięga Ireny”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

punkt przesiadkowy dla niemieckich obywateli. Irena, mówiąca dobrze po niemiecku, postanowiła udawać Polkę niemieckiego pochodzenia. Dzięki temu nie tylko przejechała przez Tarnopol, lecz także dotarła aż do Radomia, gdzie – jak liczyła – spotka rodzinę. W domu ciotki w Radomiu faktycznie mieszkali wówczas jej rodzice oraz siostry. Szczęście było jednak chwilowe. Władysław Gut został wkrótce zabrany przez Niemców do Kozłowej Góry, gdzie jako specjalista miał pracować w przejętych zakładach ceramicznych.

Jesienią tego samego roku Irena została zatrzymana przez Niemców. Skierowano ją do fabryki amunicji. Tam wypatrzył ją nadzorca zakładu, mjr Eduard Rügemer, któremu spodobała się mówiąca po niemiecku blondynka, i przeniósł ją do oficerskiej kantyny, gdzie miała pracować jako kelnerka. W miejscu tym pracowała też jej siostra Janina.

Na pomoc bliźnim

„Nagle usłyszałam serię z karabinu, która przerwała spokój panujący w sali balowej. Trzymając w ręce noże, pobiegłam do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje. Widok przede mną przywiódł na myśl wielkie rozwalone nagle mrowisko. Mężczyźni, kobiety i dzieci bezładnie biegali po ulicach. Esesmani wylewali się z ciężarówek i strzelali do uciekających Żydów. Ciała walały się w brudnej śniegowej brei. Przez szybę słyszałam słabe krzyki i wściekłe szczekanie psów. Śnieg pociemniał od krwi” – tę scenę Irena Gut obserwowała z okna hotelu, w którym pracowała. To ją zmroziło. Od tamtej pory, mimo ogromnego zagrożenia, zaczęła pomagać mieszkańcom radomskiego getta. W wykopanej pod płotem dziurze zostawiała jedzenie. Nie wiedziała, kto je zabiera, ale ważne było, że żywność zawsze znikała.

Na początku 1942 r. Rügemer dostał rozkaz o przeniesieniu do Tarnopola, gdzie miał objąć nadzór nad zakładem naprawy samochodów wojskowych. Zabrał ze sobą Irenę i Janinę Gut, które miały prowadzić tamtejszy hotel dla oficerów. W Tarnopolu Irena po raz pierwszy zetknęła się z sadystycznym mordercą, oficerem SS Richardem Rokitą, który fanatycznie nienawidził Żydów, a miasto chciał uczynić „Judenfrei”.

Pracując jako kelnerka, Irena mogła podsłuchać rozmowy niemieckich oficerów. Dowiedziała się, że Żydzi z getta są kierowani do obozów pracy lub obozów zagłady, a samo getto ma zostać zlikwidowane w lipcu 1943 r. W tym czasie, dzięki jej staraniom i zaufaniu, którym obdarzył ją Rügemer, w hotelowej pralni zatrudnienie znalazło kilkunastu Żydów. Irena dostarczała im jedzenie i ubrania oraz informowała o planach wroga. „Gdy kręciłam się wokół stołu, przy którym omawiano akcję w Arbeitslagrze, nikt nie podejrzewał, że mnie to obchodzi. Kiedy Rokita przychodził do kantyny, byłam dla niego uprzedzająco grzeczna i pozwalałam mu sądzić, że kręcę się wokół jego stolika, bo jestem porażona jego urodą i potęgą” – wspominała Gut.

Niedługo przed planowaną likwidacją getta Irenie udało się wydostać czterech żydowskich przyjaciół za miasto. Ukryła ich w lesie niedaleko Janówka. Wkrótce okazało się jednak, że być może nie będzie w stanie pomóc nikomu innemu. Rügemer zażądał bowiem, aby została gospodynią w jego leżącej pod Tarnopolem willi. Kiedy Irena poszła zobaczyć posiadłość, do głowy przyszedł jej bardzo ryzykowny pomysł. „Przycisnęłam wyłącznik światła i weszłam do kotłowni. W ciemnym kącie majaczył piec węglowy, zimny w czasie lata. Obok piętrzyła się góra węgla. Moje spojrzenie powędrowało do zsypu na węgiel. Serce zaczęło mocniej mi bić, gdy weszłam do głównego pomieszczenia piwnicy. Tu mogło z łatwością mieszkać kilkoro ludzi” – pisała.

Ile warte jest życie?

Do willi niemieckiego majora Irena Gut przeniosła 10 Żydów, byłych pracowników pralni. „Dla wszystkich z nas rozpoczął się nowy rozdział życia. Mężczyźni zajęli się budowaniem systemu ostrzegawczego. W podłodze przy głównym wejściu zainstalowali przycisk pod dywanem. Stamtąd poprowadzili przewód do oświetlenia w piwnicy, które zaczynało mrugać, gdy nastąpiłam nogą na przycisk […]. Kiedy szłam sprawdzić, kto dzwoni, miałam aż nadto czasu, by ostrzec ludzi w piwnicy”.

Irenie Gut udało się utrzymać tajemnicę przez pół roku. Pewnego dnia, pod koniec 1943 r., kiedy Rügemer wrócił niespodziewanie wcześniej do domu, zastał w kuchni dwie Żydówki. Był wściekły, ale po namyśle postanowił nie angażować w sprawę gestapo. Czy zrobił to z poczucia litości czy zakochał się w Irenie? Tamtego dnia faktycznie wyznał jej miłość, twierdząc, że może utrzymać sekret, jeżeli ona zostanie jego kochanką. Irena Gut się zgodziła. Jak przyznała po latach, nie przeszło jej przez myśl sprawdzać, co by się stało, gdyby odmówiła.

eprasa.pl c6ac7a6051



Rügemer udostępnił nawet dwóm Żydówkom pokój na strychu, lecz nie miał pojęcia, że w piwnicy skrywa się więcej osób. Dwoje z nich, małżeństwo Hallerów, spodziewało się dziecka. Ida Haller była gotowa dokonać aborcji, aby płacz dziecka nie zaalarmował majora. Na to Irena Gut nie mogła się zgodzić. Dzięki niej, już po opuszczeniu willi Rügemera, na świat przyszedł Roman, którego Irena spotka po wielu latach i z czułością nazwie swoim dzieckiem.

Jedna z Żydówek, którą poznał Rügemer, Franka Wilner, tak wspominała później pobyt w jego willi: „Warunki higieniczne były doskonałe. Łazienkę z bieżącą ciepłą i zimną wodą mieliśmy do dyspozycji. Doskonałe jedzenie, radio, mieszkanie majora pięknie urządzone. Tylko wieczorem schodziliśmy do naszego pokoju. Wielkie przykrości miała tylko pani Irena. Na gestapo wpłynęło doniesienie" (ŻIH, 301/1708).

W końcu do domu majora przyszli funkcjonariusze gestapo, których poinformowano, że w willi ukrywani są Żydzi. Rügemer orzekł stanowczo, że jego dom jest do dyspozycji i można go przeszukiwać do woli. Gestapowcy nie dokonali rewizji. Pewność siebie majora uchroniła ukrywających się Żydów, Irenę oraz jego samego.

Zagrożenie zażegnano jednak tylko na krótko. Kiedy stało się jasne, że Niemcy będą musieli opuścić Tarnopol w związku z nadciągającymi wojskami sowieckimi, Irena Gut musiała znaleźć Żydom inną kryjówkę. „W Janówce w lesie 5 km od Tarnopola ukrywało się w lesie w bunkrze sześć osób […]. Kiedyśmy się znaleźli w tak przykrym położeniu i musieliśmy opuścić willę, p. Irena udała się do nich z prośbą, żeby nas ulokowali u siebie w bunkrze. Zgodzili się na to, bez zastrzeżeń. W połowie lutego wieczorem p. Irena przebrała się za chłopkę i zaprowadziła pięciu naszych mężczyzn do przygotowanego bunkra. Zaopatrzyła ich odpowiednio w żywność i odzież. Mężczyźni wybudowali bunkier, po czym nas, kobiety, wywoziła pojedynczo saniami do lasu. Po przeprowadzeniu nas wszystkich przywiozła jeszcze pościel, tapczan, jej własne urządzenia, kilimy. Te rzeczy oddała p. Paszczakowej, żonie leśniczego, który wiedział o ukrytych w bunkrze i dotychczas im pomagał" – wspominała Franka Wilner.

W pierwszej połowie 1944 r. Irena Gut, na polecenie Rügemera, ewakuowała się wraz z nim z Tarnopola. Kiedy dojechała do Kielc, uciekła Niemcom i nawiązała kontakt z małżeństwem Ridlów, których polecił jej wspomniany leśniczy. Irena wstąpiła wówczas do partyzantki, przyjmując pseudonim Mała. Zajmowała się m.in. przemycaniem meldunków, wykorzystując przy tym świetną znajomość języka niemieckiego. W tym czasie poznała Janka, w którym od razu się zakochała. Para miała pobrać się 5 maja 1945 r. Niestety, dwa dni przed planowanym ślubem, w czasie ataku na niemiecki konwój, jej narzeczony zginął.

Niedługo potem, już po zakończeniu wojny, Irena wyjechała do Radomia, gdzie ostatni raz widziała rodzinę. Zastała jedynie ciotkę. Nie wiedziała, czy rodzice i siostry żyją (Janina, która mieszkała z nią w Tarnopolu, wyjechała do Radomia jeszcze w czasie wojny). Irena Gut od razu znalazła się na celowniku komunistycznych służb. Zarzucano jej kolaborację z Niemcami i działalność w polskich organizacjach podziemnych. Dzięki pomocy Żydów, których wcześniej ocaliła, Gut otrzymała nowe dokumenty i tożsamość. Pod nazwiskiem Sonia Sofierstein wyjechała do Niemiec, do alianckiego obozu dla uchodźców. Tam w 1949 r. poznała swego przyszłego męża, pracownika ONZ Williama Opdyke. Wraz z nim Irena wyjechała wkrótce do USA, gdzie znalazła pracę w fabryce odzieży.

W 1982 r. Irena Gut-Opdyke została uhonorowana przez Instytut Pamięci Yad Vashem tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Dwa lata później, pierwszy raz od 1945 r., przyjechała do Polski, gdzie spotkała się z czterema siostrami.

Ironią losu jest to, że Rügemer, pozostający bez środków do życia, którego po wojnie wyparła się rodzina, został przygarnięty przez żydowskie małżeństwo Hallerów – tych samych, których bez jego wiedzy Irena ukrywała w tarnopolskiej willi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

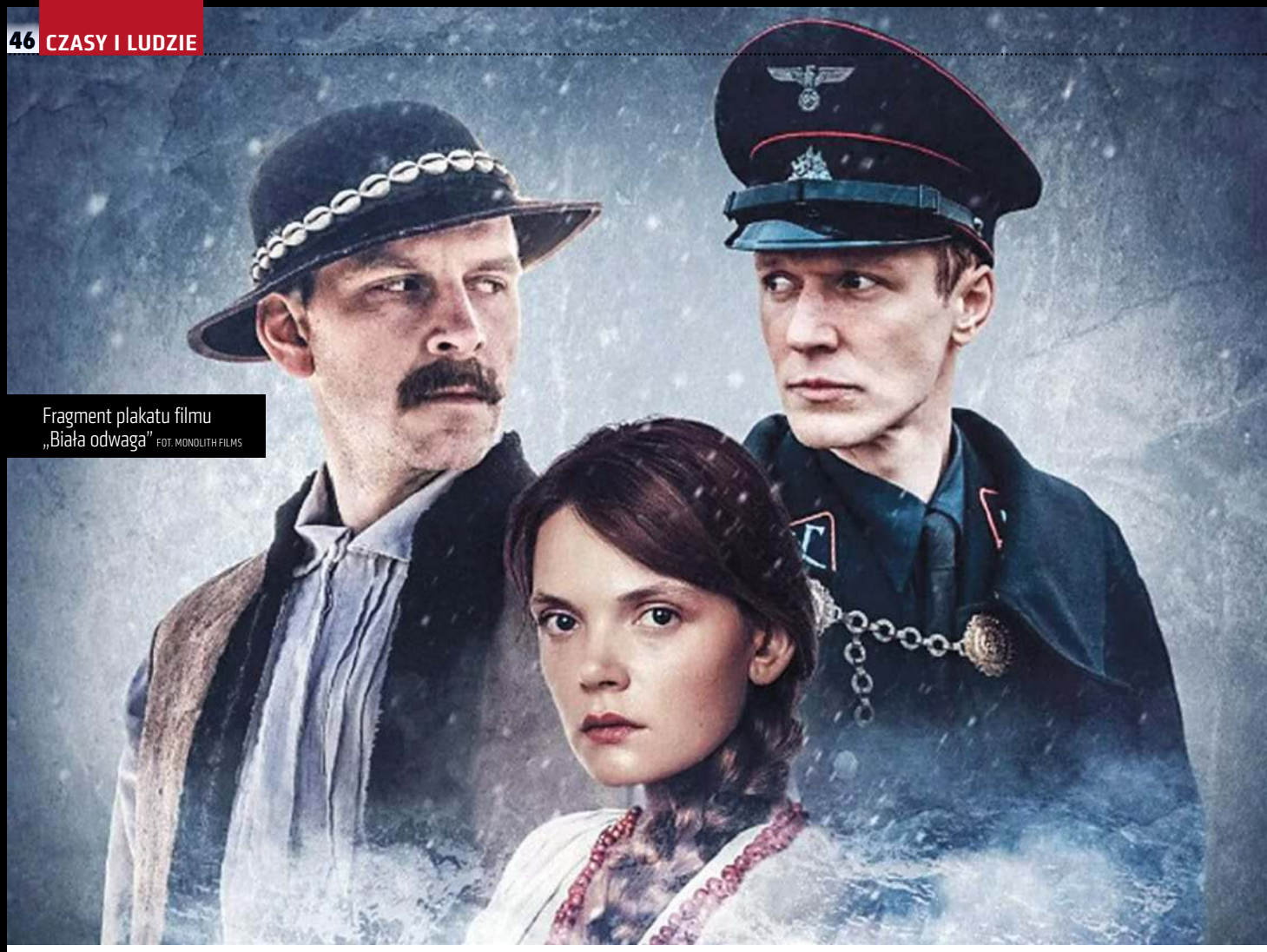
WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Armstrong J., Gut-Opdyke I., ***„Ratowałam od Zagłady. Wspomnienia";*** *Siekierski M.,* ***„Polacy ratujący Żydów. Historia Ireny Gut Opdyke";*** *Żywulski Ł.,* ***„Świadectwo człowieczeństwa w czasie zagłady".***



Irena Gut (druga z prawej) z ocalonymi przez nią Żydami FOT. YAD VASHEM

eprasa.pl c6ac7a6051



Fragment plakatu filmu „Biała odwaga" FOT. MONOLITH FILMS

Polemika / Recenzja „Białej odwagi"

Górale mają prawo być wściekli

eprasa.pl c6ac7a6051



Piotr Semka

Twórcy filmu kreują wokół postaci góralskiego kolaboranta aurę szekspirowskiego bohatera, który musi stawać wobec dramatycznych wyborów. Tak dramatycznych, że każdy widz, który żyje w czasach pokoju, nie ma prawa moralnie oceniać Zawrata. Dla kogoś, kto uważa, że przedstawiając w sztuce historię Polski, nie należy promować zdrady narodowej, taki wątek w scenariuszu jest nie do zaakceptowania

Z uwagą przeczytałem recenzję Jakuba Ostromęckiego pt. „Biała odwaga, brunatna zdrada" („Historia Do Rzeczy" nr 4/2024). Opinia mojego kolegi po piórze na temat głośnego filmu o kolaboracji niewielkiej części górali skłoniła mnie do riposty. Czytelnikom, którzy nie czytali tekstu Ostromęckiego, przypomnę, że reżyser Marcin Koszałka zajął się epizodem z dziejów Zakopanego i bezpośrednich okolic tej części Podhala, gdy grupa górali pod wodzą Wacława Krzeptowskiego podjęła współpracę z Niemcami i pomagała okupantom w realizacji koncepcji tzw. Goralenvolku. Chodziło o wykreowanie osobnej grupy etnicznej, z pomocą której Niemcy chcieli oddzielić mieszkańców gór od Polaków. Przynależność do niej dawała zwolennikom Krzeptowskiego specjalny status, wiążący się z pewnymi przywilejami ze strony władz okupacyjnych.

Zacznijmy od początku recenzji kolegi z łamów „HDR". Czytamy w niej: „Premiery »Białej odwagi« w Zakopanem nie będzie. Tak przynajmniej zapowiadały niektóre podtatrzańskie kina w momencie, gdy powstawał ten artykuł. Związek Podhalan już w 2021 r. odmówił pomocy przy kręceniu filmu, o krytyczne spojrzenie na scenariusz prosząc samego ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego. Gdy w mediach i na ulicach pojawił się plakat promujący film, z góralem ubranym w fikcyjną zresztą marynarkę SS, część lokalnych internautów zagrzmiała: »Dość obrażania nas, górali«, »Oni nie wiedzą, nie zdają sobie sprawy, czym ten strój dla nas jest«. Krewcy komentatorzy filmu wówczas jeszcze nie widzieli".

Od początku mamy więc do czynienia z charakterystycznym ustawieniem linii sporu. Widzimy grupę lokalnych „tożsamościowców", która choć nie zna scenariusza filmu, to już jest przeciw i próbuje zablokować jego powstanie. Mamy też zapalczywych internautów, którzy nie wyrażają po prostu swojej opinii, ale głośno „grzmią". Jeśli chodzi o bojkot, to zaglądam na portal Filmweb i czytam, że w Zakopanem są trzy kina: Giewont, Sokół i Kino Miejsce. Filmweb informuje, że film jest grany w dwóch kinach na trzy. Czyli do bojkotu raczej nie doszło.

A może krytycyzm Związku Podhalan wpłynął na opinie krytyków? Skądże znowu! Karolina Korwin-Piotrowska z Canal+ jest zachwycona: „Uczciwa, mocna i fantastycznie grana opowieść nie tylko o historii, ale i trudzie, i konsekwencji wyboru, wielka miłość, historia i tragedia. Jestem za". Łukasz Adamski z TVP Kultura pisze z kolei: „Majestat gór kryjący jedną z góralskich tajemnic. Wstydliwą. Wyważone i uczciwe kino. Koszałka wciąż myśli obrazem, więc dramaturgia w finale lekko trzeszczy". I wreszcie Marcin Pietrzyk z Filmwebu: „To nie jest historyczny wykład, to pierwszorzędna opowieść o ludziach z krwi i kości uwikłanych w skomplikowaną i dramatyczną historię". No cóż, ton recenzji jest raczej wyraźny. Mniejsza o to, czy film jest zgodny z historycznymi faktami, ważne, że opowieść jest dynamiczna i porywa widza.

Zresztą stanowisko to podziela sam Jakub Ostromęcki, który wprost i zupełnie jasno pisze w swojej recenzji: „Zadaniem filmu fabularnego, nawet szanującego prawdę historyczną, nie jest poszerzanie stanu wiedzy. Na konferencji



Hans Frank i Wacław Krzeptowski w dniu urodzin Adolfa Hitlera, 1940 r. FOT. NAC

eprasa.pl c6ac7a6051

prasowej zorganizowanej po przedpremierowym pokazie filmu współscenarzysta Łukasz Maciejewski stwierdził, w sposób typowy dla środowiska filmowego, że jeśli ma wybierać między prawdą historyczną a dobrą fabułą, to zawsze wybierze dobrą fabułę. Dla miłośnika historii słowa te brzmią faktycznie złowieszczo, ale Maciejewski i reżyser filmu Marcin Koszałka sprytnie uniknęli przebierania muzy Klio w córę Koryntu".



Helena Marusarzówna, mistrzyni sportów narciarskich, kurierka AK, zamordowana przez Niemców w 1941 r. FOT. ARCHIWUM MUZEUM TATRZAŃSKIEGO

Historia jak plastelina

Nie rozstrzygniemy w tym tekście starego jak historia kina konfliktu pomiędzy oczekiwaniem przez niektórych pełnej zgodności z wydarzeniami historycznymi – takimi, jakimi naprawdę one były – a roszczeniem artystów do tworzenia własnych wizji dziejów, tak by widowisko było przede wszystkim poruszające. Zwracam jednak uwagę, że im bardziej podjęty temat kojarzy się z czymś, co wpływa na zbiorową tradycję, a już szczególnie na wizerunek grupy, która może się potem spotkać z krzywdzącymi uogólnieniami, tym bardziej ludzie są wrażliwi.

Zacznijmy od wspomnianego w tekście Jakuba Ostromęckiego plakatu filmu, na którym główny bohater, wzorowany na postaci Wacława Krzeptowskiego, nosi złowieszczy czarny kostium z symboliką nazistowską połączoną ze wzornictwem zakopiańskim. To ostatnie objawia się w dwóch ciupagach tworzących symbol swastyki oraz znaku na czapce w postaci hakenkreuza wplecionego w symbol kosodrzewiny. Jeżeli taki mundur nigdy nie został stworzony, a jednak stanowi on główny motyw wizualny kampanii promocyjnej filmu, to górale mają prawo być wzburzeni. Przypomnę, że Ostromęcki w tym właśnie kontekście ironizował, że „krewcy komentatorzy filmu wówczas jeszcze nie widzieli". Filmu, owszem, nie widzieli, ale plakaty reklamujące go zdążyli już zobaczyć. Czyli jednak jakiś powód do irytacji mieli.

Drugim uzasadnionym zarzutem wobec nonszalanckiego opowiadania bardzo bolesnej historii jest nieprawdziwy wątek pokazujący góralski legion SS, który na ekranie kina pacyfikuje cywilną ludność Podhala. Tymczasem taka sytuacja nigdy nie miała miejsca! Jeśli z grupy ok. 400 podhalańskich młodzików wywiezionych na Lubelszczyznę w celu przeszkolenia nie dało się sformować oddziału i tylko kilkunastu pozostało w służbie SS, to taka skala nadużycia na poziomie scenariusza musi budzić poważne zastrzeżenia.

Z misiem do koszar

Na to wszystko nakłada się jeszcze używany w trakcie promocji filmu argument, że sprawa Goralenvolku była przemilczaną przez dekady „tajemnicą". Oczywiście każde takie określenie jest niejasne. Jeśli twórcy filmu sugerują, że była to historia objęta cenzurą w PRL, to oczywiście tak nie było. Powstawały na ten temat publikacje, a i silna była pamięć tzw. zwykłych Polaków, szczególnie mieszkańców Krakowa, którzy doskonale zapamiętali ten niewielki epizodzik góralskiej kolaboracji z lat wojny. W takim razie tabu wokół tego tematu może polegać na tym, że górale nie lubili i nie lubią o tym mówić. Ta niechęć do podejmowania tematu wynika też ze świadomości górali, że zjawisko to objęło dość marginalną grupę, liczącą ok. 18 proc. mieszkańców Zakopanego i najbliższych okolic. Mają oni też prawo kojarzyć ten incydent z przeszłości z bardzo często występującą po 1989 r. tzw. pedagogiką wstydu, która wałkując bez końca zrywanie z „mitem o polskiej niewinności z czasów okupacji", spycha narrację o polskiej odwadze z czasów wojny na kompletny margines. I nie w tym rzecz, że reżyser Koszałka nie podaje informacji, iż nawet Niemcy byli rozczarowani stosunkowo ograniczoną skalą kolaboracji. Taki akcent faktycznie pojawia się w filmie. Problem w tym, że ta rzucona na ekranie jeden jedyny raz uwaga, wypowiadana przez aktora grającego niemieckiego dygnitarza, robi na widzu o wiele słabsze wrażenie niż np. obraz paruset górali idących tłumnie wraz z zakopiańskim białym misiem na dworzec, by wyjechać do obozu szkoleniowego SS.

Kolejny punkt sporu: twórca filmu tak ulepił postać lidera kolaboracji Andrzeja Zawrata, że widz wychodzi z kina przekonany, iż samozwańczy lider Goralenvolku miał poważne i godne szacunku powody, by podjąć z Niemcami grę. Taki charakter ma wplątanie do scenariusza sceny, gdy na filmowym Andrzeju Zawracie wstrząsające wrażenie robi widok kilkuset Polaków rozstrzelanych w Krakowie. Podobnie jest z zupełnie niewiarygodnym historycznie wątkiem ukrywania przez Zawrata w czasie okupacji żydowskiej kochanki. Tworzy on aurę szekspirowskiego bohatera, który musi

eprasa.pl c6ac7a6051

stawać wobec dramatycznych wyborów. Tak dramatycznych, że każdy widz, który żyje w czasach pokoju, nie ma prawa moralnie oceniać Zawrata. Dla kogoś, kto uważa, że przedstawiając w sztuce historię Polski, nie należy promować zdrady narodowej, taki wątek w scenariuszu jest nie do zaakceptowania.

I wreszcie najbardziej podstawowy zarzut. Film nie pokazuje prawie w ogóle przykładów górali, którzy podjęli aktywną walkę w konspiracji. Obrońcy „Białej odwagi" przywołują w tym momencie wątek, w którym Maciej Zawrat, brat kolaboranta Andrzeja, przeprowadza przez góry polskiego oficera. Po pierwsze jednak, jest to jedna, jedyna scena pokazująca jakikolwiek opór wobec Niemców, a po drugie, nawet ona nie wyjaśnia, czy to przeprowadzenie wynikało ze zobowiązania wobec organizacji podziemnej czy też była to zwykła usługa przewodnika, który zrobił to dla pieniędzy.

Pokolenie wolnej Polski

A przecież służba kurierska polegająca na przemycie ludzi, dokumentów i sprzętu przez Podhale, Orawę, Spisz i Sądecczyznę była swoistym fenomenem. Wraz z pomocnikami przewodników obejmowała ona elitarną grupę ok. 40 osób wywodzących się notabene spośród samych najbardziej znamienitych rodów góralskich. Takie nazwiska jak Bronisław Czech, Helena Marusarzówna, Józef Daniel Krzeptowski to wielka podhalańska tradycja, którą można było przecież pokazać w tym filmie. Tak samo można było pokazać od wewnątrz katownię gestapo założoną w dawnym pensjonacie Palace w Zakopanem.

Kurierzy (i osoby im pomagające) byli zsyłani do niemieckich obozów koncentracyjnych. Ta górska konspiracja nie byłaby tak żywotna, gdyby nie to, że szkoły II RP wychowały młodych górali na świadomych obywateli mających poczucie obowiązku wobec swojej ojczyzny. Tymczasem górale przedstawieni w „Białej odwadze" to w większości ludzie mający dystans wobec Polski. Na to nakłada się jeszcze pośrednie sugerowanie, że jest to osobny naród. Takie

> „Inteligencja polska w XIX wieku łączyła rozdzielony zaborami naród, **a dziś pragnie go dzielić i czerpie z tego satysfakcję [...]. Mamy tylko jeden kraj, oby filmy fabularne uczyły szacunku do niego"**

wrażenie robi wyświetlanie polskich tłumaczeń w momentach, gdy górale na filmie mówią swoją gwarą. Jest to swego rodzaju demonstracja, bo wypowiedzi są tak zbliżone do klasycznej polszczyzny, że nie ma żadnej poważnej obawy, iż widz czegoś nie zrozumie...

Musimy jeszcze poruszyć kwestię widoków. Jakub Ostromęcki prawie jedną piątą tekstu poświęca rzeczywiście ładnym zdjęciom plenerowym wysokich partii Tatr. Zachwyca się malowniczością filmu. I tak oto broni „Białej odwagi": „Związek Podhalan domaga się obrazu, który pokazywałby pozytywne wątki historii Podhala. W »Białej odwadze« taki wątek jak najbardziej się pojawia.



Bronisław Czech, narciarz, olimpijczyk, kurier AK, zmarł z wycieńczenia w Auschwitz w 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ NATIONAAL ARCHIEF, WILLEM VAN DE POLL

I nie chodzi tylko o patriotyczne postawy Bronka Wetuli i Macieja Zawrata, ale o heroiczne zmagania człowieka ze skalnymi ścianami. Można śmiało powiedzieć, że sceny wspinaczkowe, które nakręcono w filmie, są najlepszymi w całej polskiej kinematografii fabularnej. Powstawały pod nadzorem znanego alpinisty Andrzeja Marcisza, który sam kręcił część z nich i osobiście przez rok szkolił Filipa Pławiaka, odtwórcę roli Andrzeja Zawrata". Co ma wspólnego jedno z drugim? Czy Podhalanie mają wybaczyć wciskanie widzom jakiegoś wyimaginowanego góralskiego legionu SS z racji ładnych zdjęć górskich przełęczy? Przecież to absurd.

Jeden kraj

I wreszcie budząca ogromne wątpliwości końcówka filmu. Gdyby Koszałka trzymał się wiernie historii, to pokazałby, że wyimaginowany lider kolaboracji Andrzej Zawrat skończył powieszony przez samych górali. Ale to by nie pasowało do wizji dramatycznego szekspirowskiego bohatera, który z woli reżysera musi być otoczony aurą wzniosłości aż po kres swoich dni. I dlatego filmowy Andrzej Zawrat ginie w trakcie próby przejścia przez Tatry (planowana ucieczka do Austrii, Niemiec?).

Notabene ten rodzaj śmierci góralskiego kolaboranta staje się w jakiś przedziwny sposób równy poświęceniu kurierów tatrzańskich, którzy ginęli, uciekając przed niemieckimi patrolami. Pisałem już na łamach tygodnika „Do Rzeczy", że Koszałka sprawia wrażenie cepra, który tak zachwycił się góralskością, że nawet kolaborantom nie potrafi odmówić wzniosłej śmierci wśród górskich turni. Nie rozumiem, jak można w tej sytuacji dziwić się, że Związek Podhalan nie był filmem zachwycony. Utkwiło mi w pamięci zdanie, które znalazło się w stanowisku Związku Podhalan (oddział Poronin) na temat filmu Koszałki: „Górale to nie inny naród, byliśmy i jesteśmy Polakami [...]. Inteligencja polska w XIX wieku łączyła rozdzielony zaborami naród, a dziś pragnie go dzielić i czerpie z tego satysfakcję [...]. Mamy tylko jeden kraj, oby filmy fabularne uczyły szacunku do niego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



III w. p.n.e. / Cesarskie plany eunucha

Wykastrowany niszczyciel imperium

„Terakotowa Armia" w mauzoleum Pierwszego Cesarza Qin FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PALINDROME6996



Łukasz Czarnecki

Pierwszy władca dynastii Qin stworzył z feudalnych chińskich królestw scentralizowane cesarstwo. Okrutny Qin Shi Huang przepowiadał, że jego imperium będzie wieczne. Tymczasem przebiegły eunuch Zhao Gao błyskawicznie zniszczył cały dorobek pierwszej cesarskiej dynastii Państwa Środka

Rok 211 p.n.e. był, używając Sienkiewiczowskich słów, dziwnym rokiem, w którym liczne znaki na niebie i ziemi wskazywały na nadchodzące wielkie wydarzenia i katastrofy. W pobliżu Xianyangu, stolicy imperium, spadł meteor, a wysłana przez imperatora Qin Shi Huanga na miejsce jego upadku specjalna komisja odkryła, że na gwiezdnym kamieniu wypisano słowa: „Cesarz umrze, a jego imperium się rozpadnie…". Potem do Xianyangu zajechał wiozący pocztę posłaniec i oznajmił, że po drodze został zatrzymany przez zamaskowanego mężczyznę, który wręczył mu nefrytowy dysk, każąc przekazać go „Panu sadzawki w Hao" i powtórzyć, że „nim minie rok, Wielki Starożytny Smok umrze". Na koniec nadworni astrologowie donieśli tyranowi, że Mars wszedł w Gwiazdozbiór Serca, a taka koniunkcja zapowiada śmierć władcy.

Imperator zdecydował się opuścić stolicę i udać się na objazd prowincji. Potężny orszak ruszył w drogę z początkiem jesieni 210 r. p.n.e. Pierwszemu Cesarzowi towarzyszyli jego najbliższy współpracownik – Kanclerz Lewej Strony Li Si – oraz najmłodszy z 22 synów despoty, ulubieniec ojca, młodziutki książę Huhai. Wraz z cesarskim beniaminkiem jechał jego opiekun – eunuch Zhao Gao. Podróż przebiegała początkowo pomyślnie. Kiedy jednak, odwiedziwszy liczne miejscowości, orszak ruszył w drogę powrotną, władca poczuł się tak źle, że nie był nawet w stanie opuścić powozu.

eprasa.pl c6ac7a6051

Kawalkada zatrzymała się na tzw. Piaskowych Wzgórzach. Qin Shi Huangiem opiekowali się Huhai, Li Si i Zhao Gao, jednak tyran gasł w oczach. Słabym głosem zdążył jeszcze podyktować list skierowany do pierworodnego syna, księcia Fusu, dowodzącego wojskami stacjonującymi na północnych rubieżach imperium, w którym mianował go następcą tronu. Pismo powierzył Zhao Gao i wyzionął ducha.

Ukradziony Tron Smoka

Li Si zdecydował, że zgon monarchy musi zostać utrzymany na razie w tajemnicy. Oprócz Fusu i Huhaia zmarły miał jeszcze 20 synów i gdyby wieści o jego śmierci dotarły do Xianyangu w momencie, gdy prawowity następca tronu był jeszcze daleko, imperium mogłaby wstrząsnąć wojna domowa. Nie wolno było do tego dopuścić! Kanclerz Lewej Strony uciekł się więc do podstępu. Kazał oświadczyć dworzanom, że ich pan ze względu na zły stan zdrowia nie będzie opuszczał powozu. Kawalkada wozów ruszyła ku stolicy, nieświadomie transportując truchło Qin Shi Huangdiego, które zaczęło rychło gnić. Chcąc ukryć odór, minister zakupił po drodze olbrzymią ilość ryb, które załadowano na wóz jadący obok monarszego powozu. Intensywny rybi zapach miał zamaskować smród rozkładu.

Zhao Gao nie śpieszył się bynajmniej w przekazaniu ostatniej woli Pierwszego Cesarza kurierowi. Wywodzący się z mętów społecznych (jego matka spędziła wiele lat w więzieniu, wydając w nim czworo spłodzonych prawdopodobnie z różnymi ojcami dzieci) eunuch był człowiekiem chorobliwie ambitnym. O tym świadczy najlepiej to, że wykastrował się z własnej woli już jako dojrzały mężczyzna, a zrobił to dla kariery. Decyzja podjęta przez Zhao Gao jest dla człowieka Zachodu makabryczna, jednak w Chinach znajdować miał on licznych naśladowców jeszcze w początkach XX w. Zostanie eunuchem było najłatwiejszym sposobem, dzięki któremu ludzie z pospólstwa mogli zająć wysokie stanowisko na cesarskim dworze. Po obcięciu



Cesarz Qin Shi Huang

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

sobie przyrodzenia zdobył wykształcenie wystarczające do rozpoczęcia służby pałacowej. Szybko awansował i wkrótce został przełożonym pałacowej wozowni, później imperator mianował go opiekunem swego najmłodszego syna. Kastrat rychło zyskał sympatię dorastającego młodzieńca. Tym większym szokiem było, gdy w roku 215 p.n.e. na jaw wyszło, że Zhao Gao defrauduje pieniądze. Eunucha skazano na śmierć, jednak Huhai rzucił się do nóg ojca, błagając go o łaskę dla swego ukochanego wychowawcy. Cesarz zmiękł i ułaskawił złodzieja, przywracając go nawet na dotychczasowe stanowiska.

Pozbawiony skrupułów Zhao Gao szybko zrozumiał, jak wyjątkowa trafiła mu się okazja. Qin Shi Huang nie żył, ale wiedziały o tym tylko trzy osoby. List zawierający ostatnią wolę zmarłego wciąż znajdował się w sakwach eunucha, a cesarska pieczęć była pod opieką księcia Huhaia. Jeśli ta trójka ośmieliłaby się wyciągnąć ręce, mogłaby przejąć kontrolę nad imperium! Książęcy opiekun zaczął więc namawiać swego podopiecznego do przewrotu. Młodzieniec nie był początkowo zainteresowany przejęciem władzy, jednak przyzwyczajony słuchać we wszystkich eunucha oświadczył mu, że zgodzi się wziąć udział w planowanym zamachu stanu, jeśli do spisku przystąpi też Li Si. Tej samej nocy Zhao Gao wsiadł do cesarskiego powozu i odbył tam długą rozmowę z jadącym nim Kanclerzem Lewej Strony. Atmosfera musiała być duszna nie tylko z powodu rozkładającego się trupa, lecz także wiszących w powietrzu podejrzeń, gróźb i licznych niedomówień. Eunuch ostatecznie przekonał Li Si do sprzeniewierzenia się ostatniej woli ich pana, argumentując, że książę Fusu od dawna był wrogi polityce kanclerza, więc po objęciu Tronu Smoka odbierze mu wszelkie bogactwa i urzędy. Chciwość i lęk przeważyły w sercu Li Si nad wiernością ostatniej woli tego, którego zwłoki były jedynym świadkiem owej nocnej rozmowy. Zgodził się dołączyć do spisku.

Następnego dnia spiskowcy sprokurowali fałszywy list Pierwszego Cesarza, ogłaszający jego pierworodnego syna buntownikiem i nakazujący mu popełnić samobójstwo. Książę Huhai opatrzył pismo odciskiem cesarskiej pieczęci, po czym przekazano je kurierowi. Gdy ten dostarczył je do adresata, Fusu natychmiast rzucił się na swój miecz...

Wielki terror

Tymczasem orszak wiozący zwłoki Pierwszego Cesarza dotarł w końcu do Xianyangu. Tam Li Si zwołał wszystkich książąt i ministrów i poinformował ich o śmierci władcy, oświadczając, że wyznaczył on na swego następca Huhaia. Jako że wszyscy dostojnicy imperium byli świetnie wytresowani do słuchania rozkazów, zaakceptowali to, co im powiedziano. Nikomu nie przyszło do głowy, że Kanclerz Lewej Strony, znany jako najwierniejszy sługa zmarłego, mógłby w takiej sprawie kłamać. Tym sposobem książę został Qin Er Shi, czyli Drugim Cesarzem z Dynastii Qin. Jednym z jego pierwszych rozkazów było mianowanie swojego dotychczasowego wychowawcy marszałkiem dworu. Następnie zorganizowano wielkie uroczystości pogrzebowe, w trakcie których mocno już zgniłe truchło Pierwszego Cesarza złożono do olbrzymiego grobowca, którego strzec miała armia wojowników z terakoty. Przy okazji dopuszczono się dwóch masowych morderstw – na rozkaz nowego władcy zabito wszystkie bezdzietne kobiety z haremu jego poprzednika, by pochować je ze zmarłym, a w mauzoleum zamurowano żywcem pracujących przy jego budowie rzemieślników i robotników.

Qin Er Shi udał się w objazd po swych włościach, a wróciwszy, wyraził niezadowolenie z powodu powolnych postępów w zainicjowanej przez jego ojca

eprasa.pl c6ac7a6051



Rebelianci przeciw dynastii Qin – Chen Sheng i Wu Guang FOT. COMMONS WIKIMEDIA

budowie sieci dróg. Za radą Zhao Gao ogłosił przymusowy pobór do robót oraz wojska i podniósł podatki. Zaniepokojony Li Si i inni ministrowie starali się odwieść władcę od tego pomysłu, ale ten słuchał tylko eunucha. Co więcej, cesarz wściekł się, że podwładni ośmielają się go krytykować. Marszałek dworu, wyczuwając świetną okazję do umocnienia swojej pozycji, oskarżył ministrów o spisek przeciw tronowi. Dawny wychowanek polecił mu przeprowadzenie śledztwa, a wówczas kastrat rozpętał kampanię terroru, której nie powstydziłby się Stalin. Aresztowano, brutalnie przesłuchano i stracono 12 braci i 10 sióstr monarchy. Podobny los spotkał wielu dostojników państwowych. Zhao Gao kazał brać na męki na chybił trafił, wysyłając do lochów nawet służbę pałacową! Okrutnie torturowani ludzie sypali wszystkimi nazwiskami, które przyszły im do głowy, więc kazamaty zapełniały się nowymi „spiskowcami". Atmosfera w Xianyangu zaczęła przypominać Moskwę lat 30. XX w.

Za radą eunucha monarcha ogłosił nowe prawa. Już wcześniej kodeks karny dynastii Qin był bardzo surowy i hojnie szafował okaleczeniami, egzekucjami oraz zsyłką na roboty, ale teraz prawie za wszystkie przewinienia karano śmiercią. I to w końcu przelało czarę goryczy. W roku 209 p.n.e., gdy grupa świeżych rekrutów do wojska nie zdążyła z powodu obfitych deszczów na czas na miejsce zbiórki, za co całemu oddziałowi groziła śmierć. Chcąc się ratować, zdesperowani żołnierze zabili swoich oficerów i podnieśli sztandar buntu. Wkrótce zaczęły do nich dołączać kolejne grupy, aż w końcu kilkusetosobowa banda straceńców zamieniła się w wielotysięczną armię gromiącą siły rządowe. Co więcej, ludzie mieli już tak dosyć reżimu, że miasta same otwierały przed powstańcami swe bramy. Zaczął się efekt domina – rewolta szerzyła się po cesarstwie niczym ogień w buszu, a przywódcy buntowników na opanowanych terenach ogłaszali restytucje starożytnych królestw podbitych w poprzednich dekadach przez dynastię Qin.

Spisek zjada własne dzieci

Tymczasem w Xianyangu przerażony Kanclerz Lewej Strony starał się przekonać młodego monarchę do zdecydowanego działania i ratowania państwa. Niestety, kontakt z imperatorem był utrudniony. Zhao Gao wmówił dawnemu podopiecznemu, że ministrowie kpią sobie z młodzieńca z powodu błędów, które popełnia w dworskim rytuale. Zasugerował proste i przyjemne rozwiązanie – niech Drugi Cesarz wycofa się w zacisze swego haremu, a kontakty ze światem zewnętrznym sceduje na wiernych sobie eunuchów. Władcy pomysł ten bardzo się spodobał i od tej pory całe dnie spędzał w prywatnych komnatach, zabawiając się z nałożnicami.

Zhao Gao lękał się, że Li Si może podkopać jego pozycję, dlatego zaczął kampanię oszczerstw przeciw niemu, oskarżając go o spiskowanie z rebeliantami. Ponadto, gdy Kanclerz Lewej Strony poprosił o audiencję u Drugiego Cesarza, sprytny eunuch zadbał, by wielki minister wszedł do komnaty władcy (którego nie poinformowano, że ma gościa) w momencie, gdy Qin Er Shi właśnie oddawał się uciechom cielesnym z konkubiną! Poniżony imperator wściekł się nie na żarty, a jego gniew tylko rósł, bo podobna sytuacja zdarzyła się jeszcze dwukrotnie. W końcu do dotychczas nieświadomego wrogości eunucha Kanclerza Lewej Strony dotarło, że Zhao Gao nie jest już jego przyjacielem. Starzec zaczął się poważnie obawiać o bezpieczeństwo własne i swoich bliskich. I miał absolutną rację, bo w roku 208 p.n.e. wszechmocny marszałek dworu rozpętał nową czystkę, w wyniku której Li Si wraz ze wszystkimi członkami swojej rodziny znalazł się w lochu.

Uwięzienie starego ministra (stanowisko Kanclerza Lewej Strony przejął eunuch) stanowiło dopiero początek cierpień tego męża stanu. Wkrótce zaczęły się brutalne przesłuchania celem wymuszenia od Li Si przyznania się do zdrady. Starca maltretowano bez litości, aż w końcu podpisał podsuwaną mu pod nos bambusową tabliczkę. Później jednak odwołał swoje „zeznania". Tortury zaczęły się na nowo i były minister znów podpisał „zeznania", po czym ponownie je odwołał. Oprawcy nie wiedzieli już, co robić, a tymczasem Li Si spisał własne przyznanie się do winy, w którym wyliczył siedem swoich „zbrodni", określając tym mianem wszystkie swoje wysiłki na rzecz zbudowania imperium dynastii Qin.

Ostatecznie Zhao Gao kazał katom tłuc staruszka bez litości niezależnie od tego, co będzie mówił. Dręczenie przerywano dopiero wtedy, gdy ofiara nie była w stanie już nic powiedzieć i milczała ledwie żywa. Wówczas eunuch doniósł cesarzowi, że podejrzany o zdradę… uparcie odmawia złożenia zeznań i hardo milczy, co samo w sobie jest przyznaniem się do zdrady! Qin Er Shi wydał więc stosowny rozkaz i na początku września 208 r. p.n.e. na głównym rynku stolicy okrutnie zmaltretowanego i złamanego starego człowieka wraz z najstarszym żyjącym synem powleczono na miejsce kaźni, gdzie miano ich obu stracić. Wedle jednej wersji – przepiłować na pół, a wedle innej – pociąć na kawałki.

eprasa.pl c6ac7a6051



Cesarz Qin Er Shi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PERINBABA

Tego samego dnia wymordowano też wszystkich krewnych skazańca.

Biały jeleń

Tym sposobem potęga Zhao Gao osiągnęła apogeum. Nowy Kanclerz Lewej Strony dał jej wyraz, przyprowadzając do pałacu białego jelenia, którego publicznie sprezentował władcy, mówiąc, że darowuje mu pięknego konia. Qin Er Shi wybuchnął śmiechem i biorąc te słowa za żart, powiedział eunuchowi, że przecież zwierzę ewidentnie jest jeleniem. Wówczas kastrat na oczach monarchy zaczął pytać zgromadzonych ministrów, jakie stworzenie trzyma za uzdę. Wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że to koń…

Tymczasem sytuacja na froncie rozwijała się fatalnie dla cesarskiego reżimu. Pominąwszy matecznik dynastii Qin, tzw. Kraj za Przełęczami, prawie całe imperium wymknęło się kontroli stolicy. Dowódcy imperialnej armii słali do Xianyangu rozpaczliwie listy, błagając o wsparcie. Pisma nie docierały jednak do cesarza. Zhao Gao, bojąc się, że wiadomości o klęskach zachwieją jego pozycją, nie przekazywał ich władcy. Zatajał je również przed pozostałymi ministrami, a na koniec posunął się do mordowania przybywających z południa posłańców!

Mimo wszystko jakimś sposobem wieści o sukcesach rebeliantów w końcu jednak dotarły do uszu Drugiego Cesarza. Wówczas eunuch zdecydował się usunąć i jego. Gdy w lipcu 207 r. p.n.e. monarcha wyruszył na krótką wycieczkę do jednego ze swych podmiejskich pałaców, Zhao Gao zadbał, by towarzyszyli mu ci dworzanie i gwardziści, których miał już w kieszeni. W efekcie te wakacje okazały się ostatnimi w krótkim życiu Qin Er Shi, letnia rezydencja stała się zaś świadkiem żenującej sceny, gdy syn Pierwszego Cesarza żebrał o życie u stóp stojących nad nim z mieczami żołnierzy. Błagania na nic się zdały i w końcu nieszczęsnego władcę siłą przymuszono do samobójstwa. Jego zwłoki pochowano w nieoznaczonym grobie.

Kanclerz Lewej Strony dokonał teraz kroku ostatecznego, sam ogłaszając się władcą imperium. Jego uzurpacji nikt jednak nie uznał, ludziom w głowie nie mieściło się, że na cesarskim tronie mógłby zasiąść wywodzący się z patologicznej rodziny kastrat z kryminalną przeszłością. Eunuch musiał więc zmodyfikować swój plan i ogłosił intronizację, ale już nie na tron cesarza całych Chin, lecz jedynie króla królestwa Qin, wciąż żyjącego młodszego brata Pierwszego Cesarza – księcia Ziyinga.

Kandydata na nowego króla wraz z dwoma jego dorosłymi synami zamknięto w świątyni, w której mieli się przez pięć dni modlić i pościć w oczekiwaniu na koronację. Ziying był jednak ulepiony z zupełnie innej gliny niż jego zamordowany bratanek. Razem z towarzyszącymi mu młodzieńcami wykorzystali kawałki mebli, ceramiki i swoich szat, by stworzyć improwizowaną broń. W dziele tym pomógł im mający ich pilnować eunuch, który miał jakąś urazę do Zhao Gao.

Gdy czas pokuty minął, Ziying oświadczył, że musi przed koronacją powiedzieć Kanclerzowi Lewej Strony coś ważnego. Kiedy Zhao Gao przybył do świątyni, dostojny więzień i jego synowie rzucili się na wszechmocnego kastrata, dźgając go wielokrotnie. Łotr próbował jeszcze ratować się ucieczką, ale wtedy nogi podciął mu biorący w spisku eunuch, który obaliwszy dostojnika na ziemię, zadał mu śmiertelny cios. Najpotężniejszy człowiek w imperium skonał na świątynnej podłodze zadźgany kawałkami potłuczonych garnków...

Xianyang uwolnił się w końcu od złowrogiego cienia Zhao Gao, ale do tego czasu cesarstwo przestało istnieć. Zresztą i los państwa Qin był już przesądzony. Nieco ponad miesiąc po śmierci Kanclerza Lewej Strony do stolicy wkroczyły oddziały rebeliantów. Ziyingowi nie pozostało nic innego, jak tylko wyjść im naprzeciw z procesją i skapitulować przed ich przywódcą Liu Bangiem. Dowodzący korpusem powstańców były rozbójnik obiecał ostatniemu władcy dynastii Qin bezpieczeństwo, ale gdy do Xianyangu nadciągnęli inni rebelianccy wodzowie, cofnęli owe gwarancje. Ziying, jego krewni i wszyscy mieszkańcy stolicy upadłego imperium zostali wymordowani, a miasto puszczono z dymem. I tak za sprawą żądnego władzy eunucha cesarstwo mające trwać po wieki wieków upadło w zaledwie trzy lata po śmierci swego założyciela.



Tablica z brązu z edyktem cesarza Qin Er Shi

FOT.COMMONS WIKIMEDIA, CAPTOMONDO

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



Ogrodzenie obozu Auschwitz-Birkenau FOT. COMMONS WIKIEMDIA/JACEK 7770

Fragment książki / „Miłość bez jutra"

Miłość w czasach zagłady



Agnieszka Cubała

Chłopak, przebrany za esesmana, spokojnie eskortował dziewczynę ubraną w roboczy kombinezon. Strażnikowi machnął z dużą swobodą i pewnością siebie zdobytą przepustką. Wkrótce, niesprawdzani już przez nikogo, znaleźli się po drugiej stronie drutów. Po tej ucieczce ich imiona stały się symbolem wolności

Opowieść o wielkiej, szalonej miłości wojennej nie byłaby pełna, gdyby nie pojawiła się tutaj choćby krótka wzmianka o Mali Zimetbaum i Edwardzie Galińskim. To para, do której przylgnęło określenie „Romeo i Julia z Auschwitz". Młodych ludzi więźniowie tego ponurego miejsca kojarzyli również z nadzieją, wolnością, a także z przekonaniem, że nikt nie jest w stanie zabrać człowiekowi godności.

Dziewczyna pochodziła z polskiej rodziny żydowskiego pochodzenia, którą

eprasa.pl c6ac7a6051

los jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej rzucił do Belgii. We wrześniu 1942 r., w nieoczekiwanych dla siebie okolicznościach, Mala wróciła do rodzinnego kraju. Ale tym razem pozbawiono ją tożsamości – jej imię i nazwisko zastąpiono numerem wytatuowanym na ręce. Dla Niemców stała się jedynie rzędem stojących obok siebie cyfr (19 880), figurujących w obozowej kartotece, a nie człowiekiem, który myśli, czuje, kocha i ma swoje niezbywalne prawa.

A przecież Mala, jak podkreślali jej przedwojenni znajomi, zanim trafiła do obozu, była inteligentną, ładną, młodą kobietą o nieprzeciętnej osobowości. Posiadała wiele talentów, spośród których na pierwsze miejsce wysuwały się zdolności językowe i wyjątkowa łatwość przyswajania wiedzy z przedmiotów ścisłych. Patrząc na jej zdjęcia, widzimy pewną siebie, nowoczesną dziewczynę, świadomą swego uroku. Jak wspomniała jej kuzynka – Giza Weisblum, Mala łączyła w sobie niezwykłą siłę charakteru z kruchością dziecka. Miała także swoje małe słabości. W rodzinie powszechnie wiedziano, że ta wyjątkowa intelektualistka nie potrafiła się oprzeć porcji puddingu.

Więźniarka od początku wyróżniała się z grona kobiet przetrzymywanych w KL Auschwitz. Jako jedyna znała tak wiele języków obcych. Mówiła po francusku, niemiecku, niderlandzku, włosku i oczywiście po polsku. W obozie, którego więźniowie pochodzili z tak różnych krajów, taka umiejętność została doceniona. Mali przydzielono rolę obozowego gońca i tłumaczki. A to zapewniło jej znacznie lepsze warunki – własną celę zamiast wieloosobowych prycz, większy przydział jedzenia. W koszmarnie trudnych realiach życia, które panowały w KL Auschwitz-Birkenau, były to ogromne atuty, dające jakieś szanse na przeżycie.

Tego typu przywileje najczęściej wzbudzają zawiść współwięźniów. Tak jednak nie stało się w przypadku Mali. Jej życzliwość, urok osobisty, a także pomoc niesiona potrzebującym każdego dnia sprawiły, że obozowa tłumaczka była lubiana zarówno przez towarzyszki niedoli, jak i nadzorczynie. Dlatego „nikt […] nigdy jej nie zarzucił, że wykorzystywała swoją pozycję, co robiło wielu ludzi w obozie, bo Mala opierała się odczłowieczeniu w Auschwitz. Była łącznikiem między odległymi przyjaciółkami, przekazywała wiadomości, które do siebie wysyłały, załatwiała trudno dostępne leki […], zachowywała dla nas wycinki z gazet, żebyśmy wiedziały, jak toczy się wojna". Poza tym dawała ludziom nadzieję na lepsze jutro i poprawę losu. Dzięki niej wierzyli, że warto wytrwać, przeczekać ten trudny czas, nie poddać się zwątpieniu i rozpaczy.





Mala Zimetbaum i Edward Galiński FOT. COMMONS.WIKIMEDIA/DB.YADVASHEM.COM, ZNAK.ORG.PL

„Oburzające" uczucie

Edek pochodził z Podkarpacia. Urodził się w Więckowicach, w powiecie tarnowskim. Trudno go było nie zauważyć – przystojny, męski, natychmiast rzucał się w oczy. Był od Mali o pięć lat młodszy. Do KL Auschwitz trafił 14 czerwca 1940 r. Miał wówczas zaledwie 17 lat. W obozowej hierarchii należał do grupy określanej mianem „stary numer". Świadczyło to o tym, że przebywał w tym strasznym miejscu już bardzo długo, był doświadczonym więźniem, cieszącym się szacunkiem wśród towarzyszy, a także niektórych kapo. Znał dobrze obozową rzeczywistość, dzięki czemu poruszał się sprawnie w jej meandrach, unikając zagrożeń i pułapek.

Jak się poznali? Na to pytanie trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Prawdopodobnie dzięki temu, że zarówno Mala jako goniec, jak i Edek pracujący w komandzie instalatorów mieli względną swobodę poruszania się wewnątrz obozu. Zapewne trafili na siebie kilka razy i tak bardzo przypadli sobie do gustu, że kolejne spotkania były już planowane. O tym, że połączyła ich miłość, wiedziało wielu więźniów. Większość z nich sprzyjała zakochanym, choć byli i tacy, których oburzało to, że wśród dymiących krematoriów, wszechobecnej śmierci i codziennych dramatów młodzi ludzie koncentrują się na rzeczy tak banalnej i pozornie nieważnej jak miłość. Oni jednak nie zwracali uwagi na uszczypliwe komentarze i – na przekór wszystkiemu – zuchwale, z nadzieją patrzyli w przyszłość.

„Kocham i jestem kochana" – to słowa Mali, zapamiętane przez jedną z jej ocalonych koleżanek.

Mężczyźni najczęściej nie są aż tak wylewni i mniej chętnie opowiadają o swoim życiu miłosnym. Ale i znajomi Edka zauważyli, że uczucie do dziewczyny zmieniło jego życie.

Ich miłość rozkwitła szybko i gwałtownie. Wiedzieli, że do końca życia chcą pozostać razem. Jednak w obozie koncentracyjnym określenie „na zawsze" miało zupełnie inny wymiar. Tutaj nikt nie mógł być pewny, czy dożyje następnego dnia. Dlatego zakochani postanowili spróbować wydostać się z miejsca,

eprasa.pl c6ac7a6051

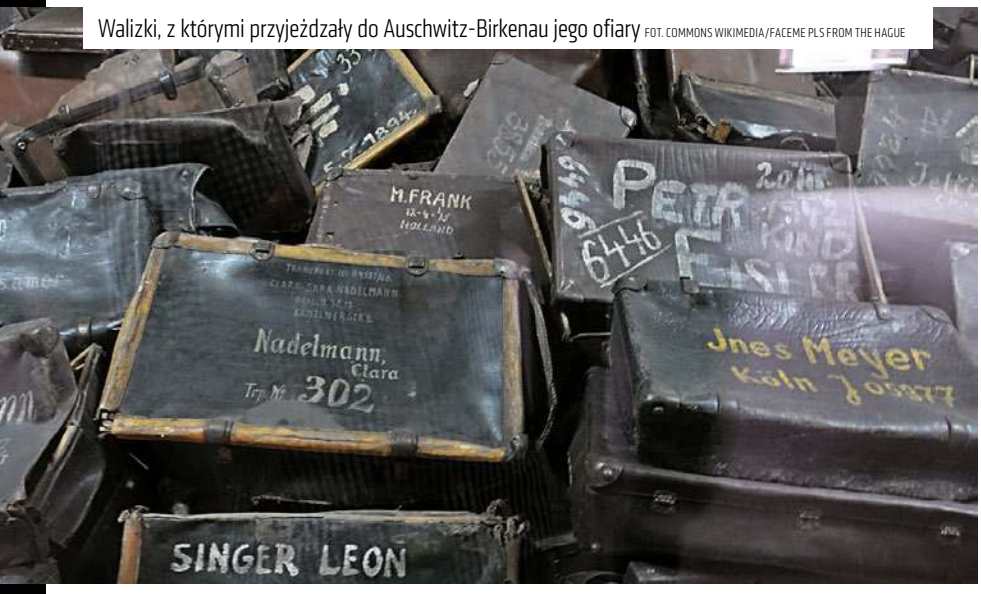
które drutami kolczastymi zamykało im horyzont marzeń.

Ucieczka ze starannie strzeżonego obozu większości więźniów wydawała się czynem nie tylko karkołomnym, lecz także nierealnym. Do grona osób tak myślących nigdy nie należał Edek. Początkowo planował przeprowadzić akcję razem z przyjacielem – Wiesławem Kielarem. W końcu jednak na towarzyszkę wybrał Malę. Tłumaczył to tym, że jako Żydówka miała znacznie mniejsze szanse na doczekanie końca wojny. W trójkę ustalili, że najpierw wydostanie się na zewnątrz z ukochaną, a następnie, dzięki znajomościom i łapówkom, przekaże zdobyty wcześniej mundur i broń przyjacielowi.

Wiesław zrozumiał jego postawę, sam był wówczas zakochany. Z ogromną tkliwością wracał do wspomnień o 17-letniej dziewczynie, która oczarowała go nie tylko wyglądem, lecz także ogromnym urokiem:

Sylwia była ładna – mało – była piękna, pełna wdzięku i niewinności, nieświadoma losu, który miał ją wkrótce spotkać. Niemal każdą wolną chwilę spędzałem z nią na rozmowach, rozmowach może naiwnych, za naiwnych jak na więźniów obozu koncentracyjnego: różowe dzieciństwo, dom, wycieczki, sport, kino, pierwsze randki… Słowem: mówiliśmy o wszystkim, z czego składały się nasze szczęśliwe lata nastolatków. Trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy, zapominaliśmy o otaczającym nas świecie, o nędzy, głodzie i chłodzie, o brudzie i robactwie, gwałcie, przemocy, szpilowaniu i gazowaniu, selekcjach i masowych mordach, o… naszej zagładzie. Pochłonięci sobą, byliśmy upojeni szczęściem, które dawała nam ta czysta, platoniczna miłość, platoniczna, innej bowiem, tej cielesnej, nie znaliśmy jeszcze.

Dnia 24 czerwca 1944 r. Mala i Edek bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń opuścili teren obozu. Chłopak, przebrany za esesmana, spokojnie eskortował dziewczynę ubraną w roboczy kombinezon i niosącą nad głową porcelanową umywalkę. Strażnikowi machnął z dużą swobodą i pewnością siebie zdobytą przepustką. Wkrótce, niesprawdzani już przez nikogo, znaleźli się po drugiej stronie drutów. Po tej ucieczce ich imiona stały się symbolem wolności.



Walizki, z którymi przyjeżdżały do Auschwitz-Birkenau jego ofiary FOT. COMMONS WIKIMEDIA/FACEME PLS FROM THE HAGUE

Powrót do piekła

Niestety, parze nie dane było żyć razem długo i szczęśliwie. Wolnością cieszyli się tylko kilkanaście dni. 6 lipca 1944 r. Mala weszła do sklepu, by kupić trochę żywności. Nie wracała tak długo, że stojący na zewnątrz Edek zaczął się niepokoić. W końcu zdał sobie sprawę, że musiało się wydarzyć coś złego. To był moment, w którym mógł spróbować się ratować. Nie wyobrażał sobie jednak, że miałby zostawić ukochaną. Poza tym obiecali sobie, że idą razem. A to było jak przysięga małżeńska, która łączy ludzi na zawsze – na dobre i złe.

Oboje zostali aresztowani i odesłani do KL Auschwitz, prosto do bloku śmierci. Takich „wybryków" jak ich spektakularna ucieczka esesmani nie puszczali nikomu płazem. Młody mężczyzna przeszedł przez wyjątkowo brutalne śledztwo. Próbowano za wszelką cenę wydobyć z niego informację, kto pomógł im w organizacji całego przedsięwzięcia. Chłopak wykazał się jednak ogromnym hartem ducha i nikogo nie wydał.

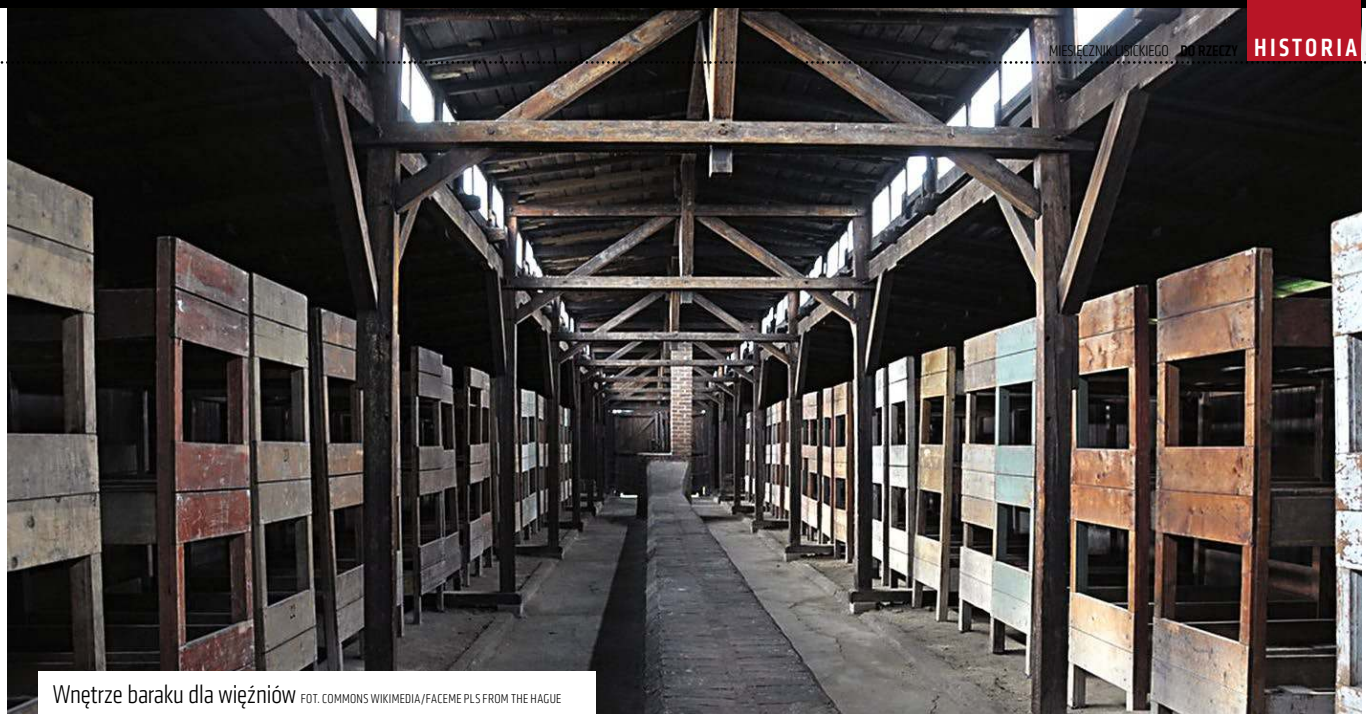
Mala, zapytana przez esesmana, dlaczego zdecydowali się na tak desperacki krok, miała odpowiedzieć: „Chciałam być wolna i nie widzieć tysięcy istot ludzkich, w tym niewinnych dzieci, które co dzień zmierzają do komór gazowych".

Pomimo udręczenia ledwo żywy Edek każdego dnia po wieczornym apelu stawał przy maleńkim okienku, śpiewając włoską piosenkę. Był to znak dla Mali, że jeszcze żyje. Ich wcześniejsze znajomości sprawiły, że mogli pożegnać się przed śmiercią. Spotkanie – po otrzymaniu łapówki – zorganizował obozowy kapo, Jakub Kozelczuk, zwany „Jakubem Wielkim" lub „katem", ze względu na pełnioną funkcję. Znany był z tego, że wykonywał rozkazy Niemców, ale nie pastwił się nad więźniami. Para zaimponowała mu odwagą, dlatego postanowił pomóc. Najpierw zorganizował dla nich dodatkowe racje żywności i przekazywał grypsy. Potem doprowadził do krótkiego spotkania. Relację o tym przekazał Bolesław Staroń, przetrzymywany razem z Edkiem:

To było po apelu, Edek wyszedł z celi, ale nie wiem, do której części bloku 11 się udał. Wrócił szybko, był smutny, powiedział, że widział Malę i nie chce o tym rozmawiać. Tego wieczoru zaczął rysować twarz na ścianie, myślę, że to była ona, ale nie skończył rysunku. Łyżką wyrył już wcześniej ich imiona, numery i datę ich aresztowania. Potrafił tego dokonać nawet w ciemnościach. Miałem nadzieję, że Jakub zdoła ich ocalić, bo zazwyczaj przekupywał esesmanów złotem i brylantami, a wiedziałem, że Mala i Edek przekazali mu kosztowności.

22 sierpnia 1944 r. Niemcy zamierzali przeprowadzić dwie pokazowe egzekucje. Miały stać się zastraszającym

eprasa.pl c6ac7a6051



Wnętrze baraku dla więźniów FOT. COMMONS WIKIMEDIA/FACEME PLS FROM THE HAGUE

przykładem dla innych więźniów. Jednak i tym razem parze, w jakimś sensie, udało się pokrzyżować plany oprawców.

Edward, nie czekając na wykonanie wyroku, sam zeskoczył ze stołka stojącego przy szubienicy. Umarł z okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła". Mali, czekającej na egzekucję, ktoś dał możliwość wyboru rodzaju śmierci. Zdecydowała się na samobójstwo, podcinając sobie żyły dostarczoną do celi żyletką*. Jej zakrwawione ciało przeniesiono do krematorium. Jednej z przyjaciółek przed śmiercią powiedziała: „Gdybym miała możliwość, zrobiłabym to ponownie, przez trzy tygodnie byłam niebywale szczęśliwa".

Cenny podarunek

Po latach Wiesław Kielar stwierdził, że historia tej pary świadczy o tym, że nawet w „odbytnicy świata" („Anus mundi" – jak zatytułował swoje obozowe wspomnienia) można kochać i być kochanym. Miłość tej pary przyniosła współwięźniom jeszcze jeden ogromnie cenny podarunek – nadzieję oraz świadomość, że w obozowym piekle można pozostać człowiekiem.

Musiały minąć lata, by ta opowieść mogła przebić się do świadomości społecznej. Rodzina Edwarda długo nosiła w sobie uprzedzenia wobec Mali. Uważali, że to przez nią zginął ich krewny. Nie wszyscy akceptowali także to, że

> „Gdybym miała możliwość, zrobiłabym to ponownie, **przez trzy tygodnie byłam niebywale szczęśliwa"**

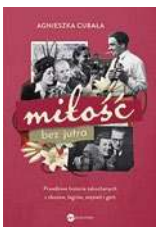
dziewczyna była Żydówką. Dlatego nie chcieli przyjąć pamiątki po parze – pukli ich włosów i karteczki zapisanej ręką zakochanego mężczyzny, na której widniały słowa: „Mally Zimetbaum 19 880 i Edward Galiński 531".

Młoda kobieta przez długie lata nie została należycie upamiętniona także przez swoją społeczność. Zarzucano jej, że związała się z Polakiem, na dodatek nie-Żydem, co zawsze wzbudzało różnorodne podejrzenia oraz prowadziło do powstania plotek i pomówień. Dlatego trudno nie zgodzić się z Francescą Paci, która, badając ich historię, stwierdziła:

Mala i Edek reprezentują dla współwięźniów z obozu triumf tego, co ludzkie, nad tym, co bestialskie. Prawdą jednak jest również to, że po wojnie, z dystansu wobec tego piekła, bardziej widoczna staje się ich atypowość, odmienność, nadmiar różnic, by zmieścili się w pamięci razem z innymi.

* Podawane są różne wersje jej śmierci. Wiesław Kielar, znający przebieg wydarzeń od zaprzyjaźnionej więźniarki, napisał: „Mala, podobnie jak Edek, postanowiła nie dopuścić do wykonania wyroku przez esesmanów. Będąc już na podium szubienicy, w czasie odczytywania wyroku podcięła sobie żyły zawczasu przygotowaną żyletką – ale podobnie jak Edwardowi nie pozwolono jej w ten sposób umrzeć. Doskoczył do niej Raportführer Tauber, którego spoliczkowała zakrwawionymi dłońmi. Rozwścieczeni esesmani prawie zadeptali ją na oczach całego kobiecego obozu. Wyrok został wykonany, ale nie tak, jak wymagały tego przepisy. Zmarła w drodze do krematorium, wieziona na małym wózku przez więźniarki, które nie były w stanie oszczędzić jej nawet tych cierpień", za: Wiesław Kielar, „Anus mundi", s. 339.

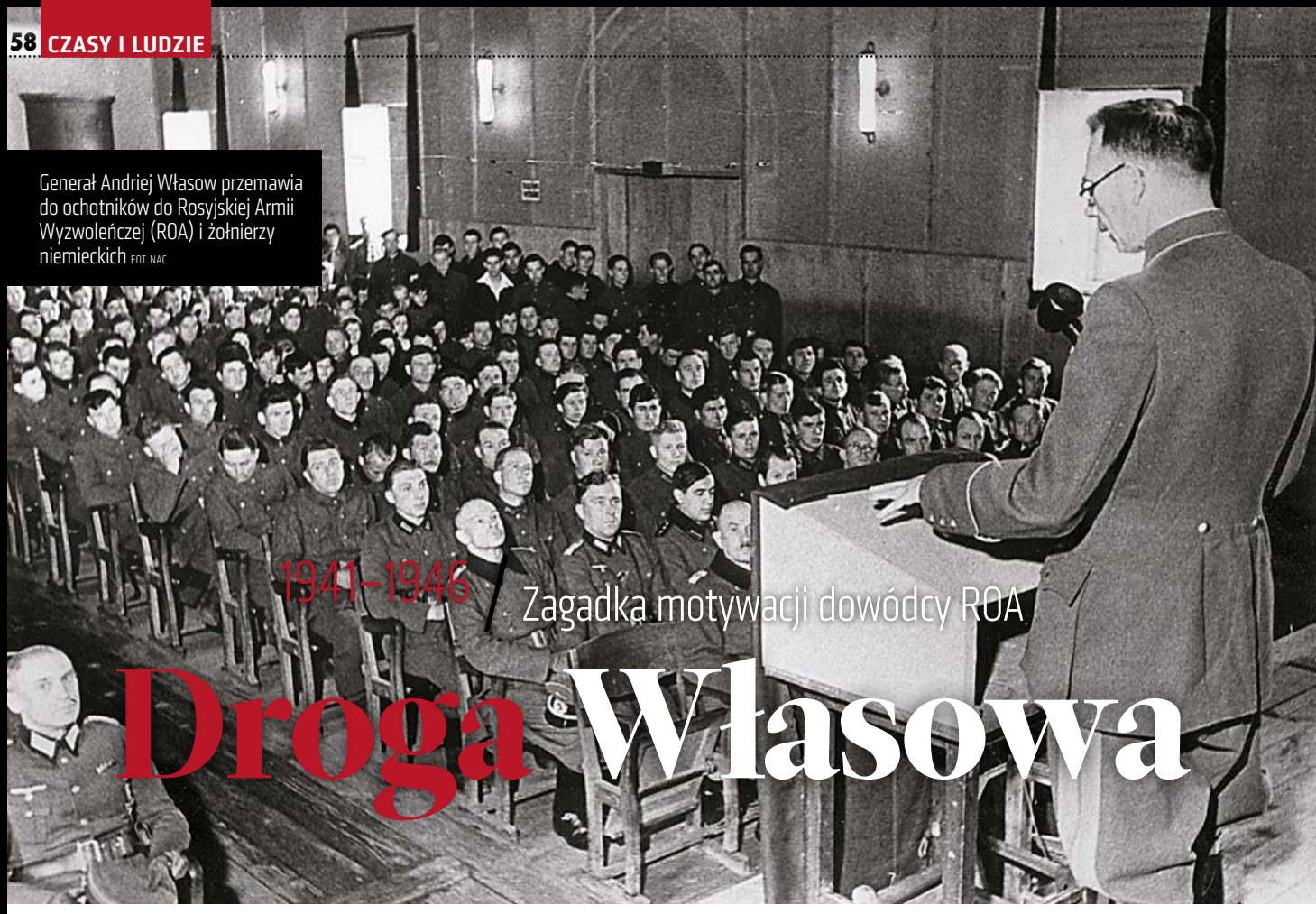
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



AGNIESZKA CUBAŁA
„MIŁOŚĆ BEZ JUTRA. PRAWDZIWE HISTORIE ZAKOCHANYCH Z OBOZÓW, ŁAGRÓW, WIĘZIEŃ I GETT"
WIELKA LITERA

Powyższy tekst jest fragmentem książki Agnieszki Cubały pt. „Miłość bez jutra. Prawdziwe historie zakochanych z obozów, łagrów, więzień i gett" (wyd. Wielka Litera), która właśnie ukazała się na rynku. Z tekstu usunięte zostały przypisy. Tytuł, lead oraz śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl c6ac7a6051



Generał Andriej Własow przemawia do ochotników do Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA) i żołnierzy niemieckich FOT. NAC

1941–1946 / Zagadka motywacji dowódcy ROA

Droga Własowa



Mikołaj Iwanow

Czy gen. Andriejowi Własowowi naprawdę zależało na walce ze Stalinem i na zdekomunizowaniu Rosji? A może poszedł na współpracę z Niemcami tylko po to, by ocalić życie?

Podczas konferencji prasowej po „wygranych" (sfałszowanych) wyborach prezydenckich Władimir Putin odniósł się po raz pierwszy do kwestii tzw. zdrajców – Rosjan walczących po stronie ukraińskiej i dążących do obalenia go. Porównał ich do własowców, Rosjan walczących po stronie Niemiec podczas drugiej wojny światowej. Putin przyrzekł, że dla zdrajców nie będzie litości – zachęcił swoich żołnierzy do niebrania ich do niewoli... To taktyka dobrze znana z czasów wojny z III Rzeszą, gdy z wziętymi do niewoli własowcami rozprawiano się bez litości, zabijając ich na miejscu. Czy jednak rzeczywiście dzisiejsi żołnierze legionu „Wolna Rosja", „Batalionu Syberyjskiego" i innych jednostek rosyjskich walczących z reżimem Putina przypominają własowców?

Według rosyjskiej propagandy gen. Andriej Andriejewicz Własow, dowódca sowieckiej 2. Armii Uderzeniowej (do lipca 1942 r. – momentu trafienia do niewoli niemieckiej) i Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA) (od grudnia 1942 r., gdy zdecydował się na kolaborację), na zawsze wszedł do historii Rosji i Związku Sowieckiego jako symbol zdrady własnej ojczyzny w godzinie największej próby, gdy decydowały się losy narodu rosyjskiego.

Wyobraźmy sobie jednak na chwilę, że Wehrmacht wkracza w 1941 r. do Związku Sowieckiego nie jako brutalny okupant, ciemiężyciel i nowy, o wiele okrutniejszy od bolszewików kat, lecz jako armia wyzwolicielska, ratująca od terroru stalinowskiego. Jaką rolę odegrałby wtedy gen. Własow?

Porażka Związku Sowieckiego w takim scenariuszu wydaje się nieuniknio-na, ponieważ początkowo znaczna część żołnierzy Armii Czerwonej nie zamierzała bronić okrutnego reżimu stalinowskiego, a stosunek do Niemców był wśród nich raczej pozytywny. Świadczą o tym wyraźnie dane o liczbie jeńców, którzy woleli się poddać niż walczyć. Tylko w ciągu sześciu miesięcy 1941 r. broń złożyło więcej żołnierzy sowieckich (ponad 4,8 mln osób), niż liczyła cała armia III Rzeszy na froncie wschodnim w momencie rozpoczęcia walki ze Związkiem Sowieckim. Świadczą o tym również dane na temat strat sprzętowych wojsk sowieckich w początkowym okresie wojny. Tylko w ciągu trzech pierwszych

eprasa.pl c6ac7a6051

miesięcy 1941 r. wojska sowieckie straciły 15,5 tys. czołgów, 66,9 tys. armat i moździerzy i ok. 10 tys. samolotów. Rosyjski historyk Mark Sołonin przyczyn tego unikatowego zjawiska upatruje w samej istocie reżimu stalinowskiego: „Dwadzieścia lat okrutnego niszczenia wszystkich norm moralności i prawa, wszystkich pojęć o honorze i godności przyniosło swe zatrute żniwo. W żadnym kraju, który padł ofiarą hitlerowskiej agresji, nie było tak powszechnego moralnego rozkładu, masowej dezercji, tak masowej współpracy z okupantem". Na oczach Stalina jego „niezwyciężona" doskonale uzbrojona Czerwona Armia w ciągu kilku tygodni przemieniła się w bezwolną masę uzbrojonych ludzi, dążącą jedynie do uratowania własnego życia.

Wielkie niemieckie zwycięstwa w latach 1941–1942 zostały odniesione zarówno dzięki słabości organizacyjnej Armii Czerwonej, fatalnemu dowodzeniu, jak i braku motywacji do walki u milionów żołnierzy sowieckich. Jednak po pewnym czasie przeważająca większość obywateli sowieckich (nawet wrogo nastawionych wobec ustroju komunistycznego) przekonała się, że niemiecki narodowy socjalizm stanowi dla nich o wiele większe zagrożenie niż komunizm w wydaniu stalinowskim. Dopiero po niemal dwóch latach druzgocących porażek i okupacji znacznej części terytorium kraju, dla ogromnej większości społeczeństwa sowieckiego wojna z Niemcami rzeczywiście przekształciła się w wojnę ojczyźnianą.

Kariera pod Stalinem

Kim w rzeczywistości był Andriej Własow? Czy pod stalinowską szubienicę zaprowadziła go żądza władzy, chęć przetrwania toczącej się wojny za każdą cenę czy może jednak rzeczywiście był świadomym, konsekwentnym przeciwnikiem stalinizmu?

Własow, urodzony w 1901 r. w guberni niżnonowogrodzkiej, był 13. dzieckiem w rodzinie, której nie można było zaliczyć do zamożnych. Jego życiorys pokazuje, że los każdego człowieka





Plakat głoszący sowieckie zwycięstwo pod Moskwą i gen. Własow po przejściu na stronę niemiecką. Napis na pierwszej stronie pisma: „Śmierć Stalina zbawi Rosję" FOT. DOMENA PUBLICZNA

zależy od licznych zbiegów okoliczności. Przyszły dowódca ROA mógłby zostać zwykłym robotnikiem rolnym, ale jeden ze starszych braci pomógł mu uzyskać wykształcenie. Studiował w seminarium, jednak nie został duchownym prawosławnym. W czasie wojny domowej, gdy miał 18 lat, powołano go do Armii Czerwonej. Po czteromiesięcznym przeszkoleniu został dowódcą plutonu, a już pół roku później awansował na dowódcę kompanii. Po zakończeniu wojny domowej kontynuował karierę wojskową. W 1929 r. ukończył Wyższy Kurs Oficerski „Wystrieł". Rok później wstąpił do partii komunistycznej, co było nieodzownym warunkiem dalszych awansów. W 1935 r. został studentem Akademii Wojskowej im. M. Frunzego. Po jej ukończeniu mianowano go dowódcą pułku piechoty, a od kwietnia 1938 r. pełnił już funkcję zastępcy dowódcy 72. dywizji. Jak widać, nie tylko uniknął represji, które dotknęły w tym czasie bardzo wielu oficerów Armii Czerwonej, ale nawet awansował, co świadczyło o tym, że cieszył się całkowitym zaufaniem...

Jesienią 1938 r. Własow został wysłany do Chin w ramach grupy doradców wojskowych. Od maja do listopada 1939 r. pełnił funkcję głównego doradcy wojskowego w Narodowej Armii Rewolucyjnej Czang Kaj-szeka. Gdy opuszczał Chiny, Czang Kaj-szek uhonorował go Orderem Złotego Smoka, a od jego żony Song Meiling otrzymał złoty zegarek.

W styczniu 1940 r. Własow został mianowany dowódcą 99. Dywizji Piechoty, która stacjonowała na okupowanym terytorium Polski, w Przemyślu, tuż przy granicy z III Rzeszą. W krótkim czasie generał przekształcił dywizję w jedną z czołowych jednostek Armii Czerwonej. W październiku tego samego roku dywizja została uznana za najlepszą jednostkę Kijowskiego Okręgu Wojskowego i odznaczono ją Orderem Czerwonego Sztandaru. Marszałek Siemion Timoszenko nazwał nawet dywizję Własowa najlepszą w całej Armii Czerwonej. Z kolei w gazecie „Krasnaja Zwiezda" ukazał się artykuł o Własowie, w którym chwalono jego „zdolności organizacyjne, dbałość i troskę o podwładnych oraz rzetelne i sumienne wykonywanie obowiązków".

Co ciekawe, na początku wojny z Niemcami dowodzona przez Własowa dywizja była jedyną w Armii Czerwonej, która wykonała rozkaz sowieckiego sztabu generalnego i po brawurowym ataku przeniosła działania bojowe na terytorium wroga. Dzięki temu Własow awansował na dowódcę 4. Korpusu Zmechanizowanego, który dość dzielnie walczył z Wehrmachtem pod Lwowem.

eprasa.pl c6ac7a6051

Późnym latem 1941 r. Własow otrzymał nowe, niezwykle odpowiedzialne zadanie – obronę Kijowa – i stanął na czele 37. Armii. Było to jednak zadanie nie do wykonania. Niemcy urządzili pod Kijowem ogromny kocioł, do którego trafiło od razu kilka armii sowieckich. Generałowi udało się częściowo wyprowadzić swoją 37. Armię z okrążenia, choć został wówczas ranny. Po wyzdrowieniu w listopadzie 1941 r. Własow spotkał się ze Stalinem. Dostał wówczas niezwykle odpowiedzialne zadanie – ocalenie Moskwy. Został mianowany dowódcą 20. Armii, którą w znacznym stopniu sam stworzył z licznych, uciekających przed Niemcami, na wpół rozbitych jednostek.



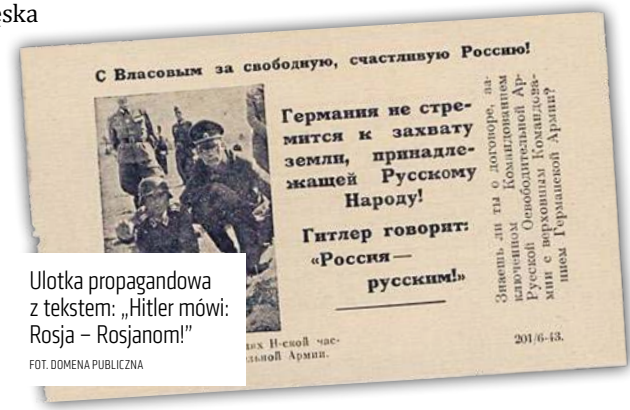
Generał Własow przemawia do żołnierzy Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej FOT. NAC

Bohater „Prawdy"

Własow był jednym z głównych autorów pierwszego wielkiego zwycięstwa Armii Czerwonej nad Wehrmachtem. To właśnie jego 20. Armia w pobliżu wsi Krasnaja Polana (położonej zaledwie 32 km od Kremla) zatrzymała oddziały niemieckiej 4. Armii Pancernej, a później pokonując zacięty opór wroga, wyparła Niemców z Sołniecznogorska i Wołokołamska. 13 grudnia 1941 r. na pierwszej stronie gazety „Prawda" opublikowano oficjalny komunikat o odparciu pod Moskwą niemieckiej ofensywy, któremu towarzyszyły zdjęcia szczególnie wyróżniających się dowódców. Wśród nich był Andriej Własow. Wiadomość ta została przedrukowana w prawie wszystkich sowieckich gazetach lokalnych i Własow stał się sławny. Odznaczono go Orderem Czerwonego Sztandaru i awansowano do stopnia generała porucznika. Własow pojawił się nawet w amerykańskiej wersji filmu dokumentalnego „Klęska wojsk niemieckich pod Moskwą", nagrodzonego Oscarem w 1943 r.

Żołnierze nazywali go „zbawicielem Moskwy", a także „ulubionym dowódcą Stalina". Generałowi zezwolono nawet na udzielanie wywiadów korespondentom zagranicznym, co świadczyło o tym, że cieszył się ogromnym zaufaniem ze strony najwyższego kierownictwa politycznego państwa.

Po zwycięstwie pod Moskwą Stalin zamierzał powtórzyć ten sukces pod Leningradem, który od kilku miesięcy był niemal całkowicie okrążony. Zadanie przerwania blokady powierzono specjalnie utworzonej w tym celu 2. Armii Uderzeniowej Frontu Wołchowskiego. Własow został jej dowódcą, ale powierzono mu również funkcję zastępcy dowódcy frontu. Początkowo armia odnosiła sukcesy, lecz wiosną 1942 r. Niemcy przeszli do kontruderzenia i zaczęli ją zamykać w kotle. Aby ratować sytuację, do częściowo okrążonych jednostek skierowano Własowa, którego awansowano na dowódcę frontu. Sytuacja była jednak właściwie beznadziejna. Pod dowództwem generała armia w kwietniu i w czerwcu podejmowała desperackie próby wyrwania się z matni. W związku ze skrajnie trudną sytuacją wysłano specjalny samolot, który miał ewakuować Własowa, ale generał odmówił, mówiąc, że chce podzielić los swoich żołnierzy.



Ulotka propagandowa z tekstem: „Hitler mówi: Rosja – Rosjanom!" FOT. DOMENA PUBLICZNA

Do niemieckiej niewoli gen. Własow trafił dopiero 11 lipca 1942 r., po kilkutygodniowym błąkaniu się w lasach. Został zdradzony przez miejscowych chłopów, którzy przekazali go Niemcom, nie wiedząc zresztą, że jest to generał. W podzięce sołtys wsi otrzymał od dowództwa niemieckiej 18. Armii m.in. krowę, dwie butelki wódki oraz dyplom.

Własow szybko wystąpił do Niemców z inicjatywą kolaboracji, która została przyjęta. W ten sposób stanął na czele Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji (KONR) i wspomnianej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, w której skład wchodzili przeważnie żołnierze sowieccy wzięci do niewoli. Własow nie włożył jednak niemieckiego munduru. Zawsze był ubrany w prosty, mundur khaki z szerokimi mankietami i spodnie z generalskimi lampasami. Na mundurze nie było jednak żadnych insygniów ani odznaczeń, a guziki nie miały symboli wojskowych. Jedynie na czapce generał nosił biało-niebiesko-czerwoną kokardę ROA. Nawet po nadaniu mu przez Niemców stopnia generała pułkownika Własow odmawiał umieszczenia na mundurze dystynkcji wojskowych.

Jako dowódca ROA odznaczył się nieprzejednanym stosunkiem do Stalina i jego reżimu. Mówił, że chce stworzyć nową Rosję,

eprasa.pl c6ac7a6051



wolną od komunizmu. Swoją motywację tłumaczył w liście otwartym do żołnierzy sowieckich pt. „Dlaczego wybrałem drogę walki z bolszewizmem". Ponadto podpisywał ulotki wzywające do obalenia reżimu stalinowskiego, które Luftwaffe rozrzucała na froncie i które rozdawano także wśród jeńców wojennych.

Czy jego chęć walki z komunistami była szczera? W latach 90. ubiegłego wieku w postkomunistycznej Rosji zaczęto w niektórych kręgach nazywać Własowa bohaterem stawiającym opór totalitarnemu reżimowi. Ale czy rzeczywiście generał nienawidził komunistów? Przecież za sprawą rewolucji bolszewickiej w nowym ustroju udało mu się zrobić znakomitą karierę wojskową. Własow prawdopodobnie chciał po prostu żyć. Wydaje się, że była to jego główna motywacja. I to dlatego niemal do samego upadku III Rzeszy walczył z Armią Czerwoną u boku nazistów.

Nie opuścił żołnierzy

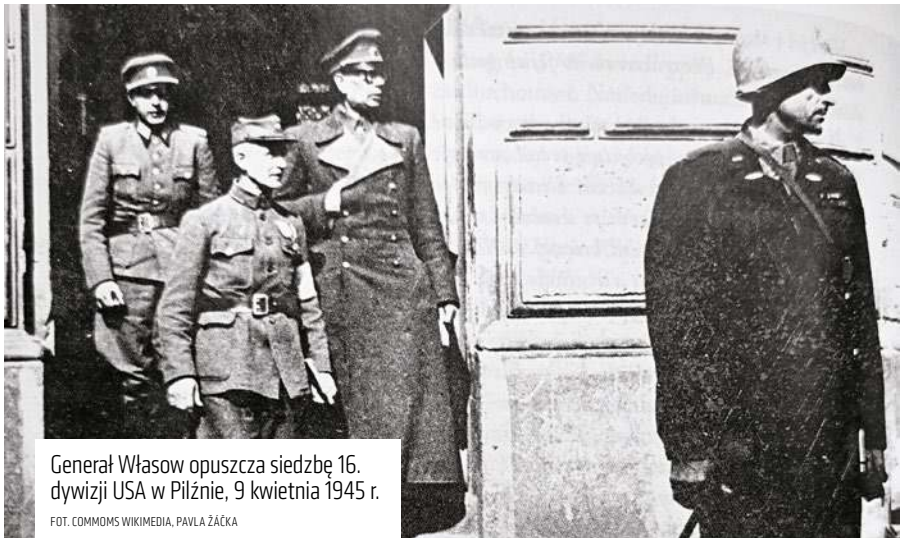
Pod koniec kwietnia 1945 r. hiszpański przywódca Francisco Franco udzielił Własowowi azylu politycznego i wysłał po niego specjalny samolot, który miał przewieźć generała do Hiszpanii. Własow nie zdecydował się jednak na porzucenie swoich żołnierzy.

12 maja 1945 r. amerykański komendant strefy okupacyjnej, w której znajdował się akurat Własow, zaproponował mu potajemne przerzucenie w głąb amerykańskiej strefy, dostarczenie bezpiecznych dokumentów i kart żywnościowych. Generał po raz trzeci odmówił opuszczenia swoich podwładnych. Tego samego dnia, udając się do dowództwa 3. Armii USA w Pilźnie w Czechosłowacji, aby ubiegać się tam o azyl polityczny dla żołnierzy i oficerów KONR, Własow został ujęty nieopodal tego miasta przez żołnierzy 25. Korpusu Pancernego Pierwszego Frontu Ukraińskiego. Trafił następnie do siedziby marszałka Iwana Koniewa, wraz z którym walczył w obronie Moskwy w 1941 r.

Po aresztowaniu gen. Własowa i jego oficerów sowiecka prasa centralna – „Prawda" oraz „Izwiestija" – pisała o przygotowaniu procesu pokazowego własowców, że będzie to „proces stulecia", na którym zostanie pokazane „nikczemne upodlenie" zdrajców ojczyzny. Pojawiły się informacje, że aresztowanych torturowano według „najlepszych" tradycji z czasów wielkiego terroru. Własow i jego oficerowie okazali się jednak twardymi ludźmi. Większość z nich nie zgodziła się przyznać do zdrady i z uporem twierdziła, że walczyła ze stalinowskim reżimem terrorystycznym. Generał Andriej Własow, gen. Fiodor Truchin, szef sztabu ROA oraz inni oskarżeni oficerowie twierdzili, że dążyli do uwolnienia swego narodu od reżimu stalinowskiego, i dlatego nie są zdrajcami, lecz rosyjskimi patriotami. Wtedy władze wpadły na iście diabelski pomysł: każdy z aresztowanych otrzymał jako współwięźnia agenta, który miał go przekonać, by wystąpił z samooskarżeniem na procesie pokazowym. Jak twierdził po latach jeden z takich agentów: „Próbowaliśmy ich przekonać, aby przyznali się do zdrady stanu i nie mówili nic przeciwko Stalinowi. Za takie zachowanie obiecano im oszczędzenie życia". Ale to nie pomogło. Własow i jego towarzysze nienawidzili bowiem Stalina. Podczas przesłuchania dowódca ROA miał ponoć powiedzieć: „Zdrajcą nigdy nie byłem i nie mam zamiaru przyznawać się do tego. Uważam go [Stalina] za tyrana i powiem to w sądzie".

Inny świadek, już po upadku Związku Sowieckiego, kiedy można było mówić rzeczy niewygodne, ale prawdziwe, przytoczył słowa Truchina: „Wiem, że grożą nam okropne tortury. I boję się. Ale jeszcze gorzej jest oczerniać siebie samego. Jednak nasze męki nie pójdą na marne. Przyjdzie czas i ludzie będą nas wspominać dobrym słowem".

Kremlowskie władze ostatecznie zrezygnowały z przeprowadzenia jawnego procesu. Własowa powieszono „po cichu" 1 sierpnia 1946 r. w moskiewskim więzieniu na Butyrkach. Stalin nie zdecydował się na publiczną egzekucję, mimo że w tym czasie w wielu miastach ZSRS odbywały się liczne pokazowe egzekucje Niemców i ich kolaborantów.



Generał Własow opuszcza siedzbę 16. dywizji USA w Pilźnie, 9 kwietnia 1945 r.

FOT. COMMOMS WIKIMEDIA, PAVLA ŽÁČKA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



FOT. RAFAŁ GUZ /FORUM

1935–2014 / Dziesiąta rocznica śmierci Marka Nowakowskiego

Pisarz z Polską w głowie



Krzysztof Masłoń

„Boję się, że dzisiejsza literatura straciła kontakt z rzeczywistością. A oddalając się, przestaje spełniać swoją funkcję. Staje się wyłącznie produktem rozrywkowym. Karmą dla wypełnienia wolnego czasu” – podkreślał autor „Raportu o stanie wojennym”

Dziesięć lat temu, 16 maja 2014 r., zmarł Marek Nowakowski, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich drugiej połowy XX w., mistrz krótkiej formy prozatorskiej, najbardziej warszawski z warszawskich twórców. Niemal w przededniu rocznicy obłąkane „ministry” z resortu edukacji usunęły z listy lektur jego „Raport o stanie wojennym” – najważniejsze świadectwo literackie tego podłego czasu, kiedy to gen. Jaruzelski wypowiedział wojnę swemu narodowi.

W „Wiwisekcji powszedniości. Studium wczesnej twórczości Marka Nowakowskiego” Krzysztofa Kosińskiego czytamy: „Najszerzej Nowakowski opowiedział o kulisach powstania »Raportu...« w wywiadzie przeprowadzonym z nim przez – poznaną wcześniej za pośrednictwem historyka Andrzeja Paczkowskiego – Annę Rabinovitch dla tygodnika »Liberation« 13 lipca 1983 r., wkrótce po przyznaniu mu Nagrody Wolności przez francuski PEN Club. »Dla mnie pisanie jest formą kamery literackiej [...]. Punktem wyjścia jest zawsze doświadczenie osobiste, obserwacja życia. Moje doświadczenie pisarza pozwoliło mi odtworzyć rzeczywiste wydarzenia. Tekst pozostaje bardzo bliski rzeczywistości. Tak dla mnie, jak i dla wszystkich narzucona przez prawo [stanu wojennego] struktura życia była całkiem nowa. Forma mojej relacji podyktowana była

eprasa.pl c6ac7a6051

przez życie«. Pisał zatem o tym, co sam zobaczył. Notował również przekazywane mu relacje. Dążył zatem do tego, by uchwycić »kwintesencję rzeczywistości«, a nie tylko odtwarzać ją »za pomocą zdjęć«. Zyskujemy tu zarazem przyczynek do opisu metody pisarskiej Nowakowskiego".

Oficerowie SB zajmujący się Nowakowskim zorientowali się dość szybko, że nie internując go, popełnili błąd. Naprawili go – że tak się wyrażę – z przytupem. 7 marca 1984 r., po rewizji przeprowadzonej w domu pisarza, został on zatrzymany i przewieziony na Rakowiecką. Wszczęto przygotowania do procesu autora „Raportu o stanie wojennym", których jednak zaniechano po ogromnych protestach w kraju i za granicą. Szokujące było bowiem to, że więzi się człowieka wyłącznie za to, co pisał. Ostatecznie do procesu nie doszło, a w przededniu PRL-owskiego święta 22 lipca władze ogłosiły amnestię obejmującą 660 osób skazanych lub tymczasowo aresztowanych – tak jak Marek Nowakowski. To wszystko działo się niemal dokładnie 40 lat temu.

Zmagania w pojedynkę

Zadebiutował w 1957 r. zbiorem opowiadań „Ten stary złodziej". Odsłonił w nim i książkach następnych, takich jak „Benek Kwiaciarz" (1961), świat peryferii, wcześniej pozostający poza zainteresowaniami PRL-owskiej literatury. Na światło dzienne wydobył to wszystko, co działo się w zaułkach ulic mających złą sławę, w kamienicach, w których na listach lokatorów próżno było szukać przodowników walki i pracy. A jego interesowali złodzieje i paserzy, lumpy, w najlepszym razie pracownicy szarej strefy, dorabiający gdzieś u „prywaciarzy", osobnicy z mianem pasożytów społecznych, drobni geszefciarze. Łączyło ich jedno: niechęć, a często nienawiść i pogarda do systemu, który miał nas uszczęśliwić, a przyniósł same nieszczęścia.

W latach PRL niejednokrotnie występował przeciw łamaniu praw człowieka i cenzurze, podpisywał listy protestacyjne. Publikował w paryskiej „Kulturze" i w drugim obiegu, aż w końcu stał się więźniem politycznym.

Warszawa była całym jego światem, jego mikrokosmosem. To stołeczne miasto zdeptał przez lata ten wieczny perypatetyk

A przecież życie jego mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Miał młodzieńczy epizod w Związku Młodzieży Polskiej, gdy jako 17-latek został etatowym pracownikiem tej organizacji. Wracał do tego epizodu wręcz maniakalnie, wciąż roztrząsając, co by mogło się zdarzyć, gdyby nie los, który skierował go na zupełnie inną drogę.

W opowiadaniu „Amazonka" (z tomu „Grisza, ja tiebie skażu", 1986) tak opowiadał o sobie i kolegach ze studiów, o swym pokoleniu: „Jacy my wtedy właściwie byliśmy? Wychowani w niewoli. Okupacja hitlerowska to dzieciństwo, dalszy jego ciąg i młodość w latach powojennych. Te lata podobne jednak w pewien sposób do czasu poprzedniego, mimo entuzjazmu odbudowy, powrotu ojczystego języka i władzy mówiącej tym samym językiem przecież… Niejeden z naszych najbliższych, ojciec, wujek, starszy brat, stawał się ofiarą represji, w czymś zakazanym brał udział, jakaś zła przeszłość ciążyła na jego barkach. Jedni przytaili się; ukrywali się lub próbowali znaleźć sobie neutralne miejsce w nowym porządku. Zmieniali osobowość, wyrzekli się poprzedniego życia, pragnąc zdobyć łaskę i zaufanie władzy. Różne też panowały poglądy na temat nastałego ładu. Jedni mówili o przeczekaniu, widzieli wojnę w najbliższej przyszłości. Inni popadali w pesymizm i obwieszczali nieuchronną zagładę świata. To wszystko działo się wokół nas. My, młodzi, w sposób naturalny przyzwyczailiśmy się do nowego porządku, innego nie znaliśmy przecież, przemoc towarzyszyła nam od czasu okupacji i jej trwałość nie budziła w nas zaskoczenia. Tę dawną, przedwojenną Polskę znaliśmy tylko z opowieści rodziców. Innego uczono nas rodowodu, innych mieliśmy bohaterów. Wszędzie z plakatów i portretów, w szkolnych klasach, świetlicach i uniwersyteckich aulach, z frontonów, gmachów państwowych, transparentów w pochodach i na wiecach, zewsząd spoglądał na nas ojcowskim okiem Wielki Nauczyciel, wąsaty ojciec narodów. Nasiąkaliśmy nową mową książek, gazet i radia. Niektórzy z nas zaczynali brać w tym czynny udział, młoda energia domagała się ujścia, wyżywali się w organizacjach i akcjach, chłonęli marksistowską religię i doznawali odurzającego smaku władzy, wywyższenia, szansy dla ambicji. Inni natomiast woleli rewiry zakazane, jazz, amerykańskie ciuchy, harcerstwo. Inni jeszcze istnieli jak w próżni, ani tu, ani tam. Byli też tacy jak glina, bezwolni, oni dawali się urabiać.

Niektórych życie publiczne w ogóle nie interesowało. Instynktownie traktowali cały ten dopust jako oczywistość ludzkiego bytowania na ziemi. Niejednego ratował wybujały, młodzieńczy indywidualizm, próby wydeptywania własnych, osobnych ścieżek.

Ja dla przykładu w pojedynkę zmagałem się z Bogiem, rodziną, tradycją".

Rok 1956 „poruszył – pisał dalej w »Amazonce« – wszystkim. Zamącił klarowność, przerwał ciągłość pasma zdarzeń. Nastąpił kres studiów, to była ulga, nie miałem serca do prawa, mimo usilnych próśb rodziców zrezygnowałem z prawniczego zawodu.

Rozpocząłem literackie próby i intensywnie kontynuowałem studia nad życiem. Nadal obszarem mojej penetracji był podziemny światek warszawskich mętów. Chętnie przebywałem w kawiarni »Polonia«, ostoi prostytutek, sutenerów, złodziejaszków i handlarzy złotem. Siadywałem w doborowym towarzystwie Pięknej Izy, Hanki Mops, Kulawki oraz mężczyzn odpowiedniego autoramentu".

W poczuciu odpowiedzialności

Był Marek Nowakowski człowiekiem miasta. Warszawa była całym jego

eprasa.pl c6ac7a6051

światem, jego mikrokosmosem. To stołeczne miasto zdeptał przez lata ten wieczny perypatetyk, żywiący się tym, co ukryte w warszawskich zaułkach, bramach, kamienicach, lokalach. O właśnie, lokalach. Nie byłoby przynajmniej części opowiadań, gdyby nie te wszystkie Sofie, Gastronomie, Patrie, Melodie. Gdyby nie hotelowe barki: w Europejskim, Grandzie, Victorii, których trudno szukać, bo choćby i przetrwały, jak Zielony Barek w Victorii – „zmienili wnętrze i wszystko tam inne". W końcu pozostała już pisarzowi jedynie Mesa przy placu Zbawiciela, po której dziś też już nie ma śladu.

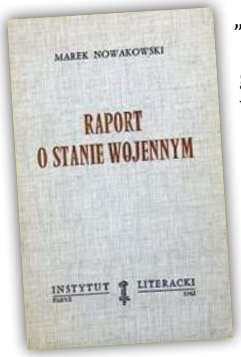
Przez długie lata nazywano Nowakowskiego – bez większego sensu – piewcą marginesu społecznego, „małym" realistą, ograniczającym swoje pole obserwacji do złodziejskich melin i podłych szynków. Tak, naturalnie, nie było, ale i mnie denerwowało gloryfikowanie przez niego kryminalistów z całą ich grypserą, kodeksem moralnym spod ciemnej gwiazdy, „charakternością", w której najmniej było charakteru właśnie. Po promocji „Redy", bodaj w 1998 r., zaczepiłem go wprost: – Po co tworzysz legendy o ludziach, którzy nie zasługują na nie? Zaśmiał się tylko, żona pisarza, Jola, mu zawtórowała. Kto jak kto, ale ona – wybitna postać warszawskiej palestry – znała środowisko Markowych bohaterów aż za dobrze. I wiedziała, co w ich projekcji literackiej jest prawdziwe, a co nie. W „Piórze", mającym znamienny podtytuł: „Autobiografia literacka" (2012), możemy przeczytać: „Mieszałem prawdziwe życie z fantazją, przerabiałem tych prawdziwych ludzi na trochę innych, ale podobieństwo i przede wszystkim ksywki, jak mówiło się na przezwiska, pozostały prawdziwe. I nic w tym dziwnego, że Stasiek Migda, kolega, murarz z tej samej ulicy, gdzie mieszkałem, zapytał wprost: – Te, Marek. Czy to prawda, że on żyje z kozą?". Chodziło o bohatera opowiadania „Złoto" z tomu „Benek Kwiaciarz", którego autor przedstawił – cytuję „Pióro" – „w roli zaszczutego, ośmieszanego nieszczęśnika szukającego przyjaźni wśród zwierząt. Jego pupilką była koza, opisałem sytuację jako nieco dwuznaczną". No, ale na Markowe szczęście „ludzie z branży" orzekli, że pisarz „nie kapuje", co najwyżej komuś zdarzało się zażartować: „Nie gadajcie tyle przy Marku! Zapamięta i opisze!".











Fenomenem pisarstwa Nowakowskiego jest długowieczność jego najwcześniejszych opowiadań. „Kwadratowego", „Tapetę", „Trzyczwartaka", „Benka Kwiaciarza" przedrukowywali wydawcy kolejnych zbiorów pisarza, ukazujących się pół wieku po jego świetnym debiucie. Ale też trzeba oddać sprawiedliwość prozaikowi, wymieniając wśród największych jego osiągnięć takie opowiadania, jak „Jeden dzień w Europie" i „Zakon Kawalerów Mazowieckich" z lat 80. czy „Bożydar" z lat 90. A już w XXI w. wydał tak ważne książki, jak „Nul", „Stygmatycy", „Czarna i Mała" czy autobiograficzne „Pióro".

Dla mnie jednak niedoścignione pozostają jego opowiadania z lat 70., znaczone zbiorami: „Gdzie jest droga na Walne" czy „Książę Nocy". To w tamtej dekadzie tak ważna persona literackiego świata PRL jak Jerzy Andrzejewski po lekturze opowiadania „Kiedy ranne wstają zorze…" zanotowała w swoim dzienniku: „Znam Marka prawie od początkującego literacko szczeniaka, więc musi mnie wzruszać, że wyrósł na tak wielkiego pisarza. Jest to – chyba – jedyny polski pisarz z taką Polską w głowie". A po przeczytaniu „Wesela raz jeszcze" dodał: „Najwybitniejszy prozaik średniego już w tej chwili pokolenia jest jednocześnie jednym z najodważniejszych współczesnych polskich pisarzy, kontynuatorem najgodniejszych tradycji tej wielkiej narodowej literatury, w której zawsze żyła twórcza, a na skutek różnych trudnych okoliczności zuchwała świadomość nadrzędnej użyteczności penetrowania mroków i dotykania ran. Jest wreszcie Marek Nowakowski pisarzem o nieczęsto spotykanym poczuciu odpowiedzialności moralnej. Nie jest oskarżycielem, nie mówi: wy, oni! Mówi: my!".

Dzika jakaś rasa

Nic dziwnego, że już w – zdawałoby się – zupełnie innej Polsce, na początku lat 90., pisał w „Podróży przez rzeczywistość. O twórczości Marka Nowakowskiego" Maciej Woźniak – „w nietypowych warunkach stopniowej demokratyzacji życia politycznego i rodzącego się kapitalizmu Nowakowski nie przestał zwracać uwagi na zagrożenia moralnej kondycji wspólnoty. W opowiadaniach powstałych w tamtym okresie – zawartych przede wszystkim w zbiorach »Homo Polonicus«, »Grecki bożek« czy »Honolulu«, ale także w opowiadaniach powstających w latach późniejszych – pisarz starał się zwrócić uwagę na podejrzane źródła rodzimego biznesu, obnażał tez pułapki konsumpcjonizmu".

Starzy bohaterowie „Stygmatyków" (2005) z przykrością stwierdzają, że ich czas definitywnie już minął, a „szmal to robią ci młodzi z »Las Vegas«, to bydło agresywne i rozpasane, hieny drapieżne bez serca i litości, komórki im piszczą, odbierają sygnały i pędzą na żer. Pliki banknotów przeliczają z wprawą pokerowych graczy. Bezwzględni tacy, raz żebrak ich prosił o gotówkę, a oni: Odpier. ol się, dziadu, zarób sobie! Zajęli miejsce w ciągu pokoleń, przyszli, zawładnęli, słabszych chcą w glebę wdeptać, orły i sokoły… Jakoś przykro, żadnego z nimi wspólnego języka, z innej planety przy-

eprasa.pl c6ac7a6051



Wojciech Soporek, Marek Nowakowski i Kazimierz Górski w hotelu Victoria, 1985 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BOGDAN NASTULA

lecieli. Dzika jakaś rasa. Tak konstatuje Napoleon i powiada:

– Spłodzeni przez ćwoków, żadnego nie dostali kulturalnego dziedzictwa, nic wzniosłego im nie przekazano. Tylko walczyć o koryto nauczeni od maleńkości. Bo my jeszcze przejęliśmy od przodków umiłowanie ojczyzny, romantyczne pragnienia, kult trzech wieszczów, przenikała nasze dusze legenda Marszałka. Choć nieźle przetrącili nam grzbiety, to jednak żyliśmy we wzniosłej aurze. A u nich wszystko obraca się wokół kałduna, jajec i kieszeni. Takie to następstwo pokoleń, tacy przejmują pałeczkę w sztafecie. Czy oni wiedzą, co to dekalog?".

Może i wiedzieli, ale zapomnieli. A Nowakowski miał pamięć słonia i nieustannie przypominał, kto jest kim, kogo mamy wokół siebie i kto jest naszym wrogiem. Nie od wczoraj. Tak pisał w „Życiu hordy" z wydanego w 1987 r. tomu „Portret artysty z czasów dojrzałości":

„Boga nade wszystko w duszach swoich rabów horda trzebiła. Nienawidzi ona wszelkich jego znaków na ziemi. Świątynie burzy, a kapłanów na północny kres swego imperium zsyła. Bóg przecież obdarza ludzi wiarą i nadzieją. Dlatego krążą wśród ludów podbitych hordy tajni wysłannicy i bożą obecność zawzięcie tropią. Rąbią krzyże szablami albo na szubienice zamieniają. Lud patrzy na te bluźniercze praktyki i milczy. Spoglądają w oczy ludu tajni węszyciele. Czystego blasku nadziei w nim poszukują.

W taki oto sposób horda nad podbitymi narodami władztwo swe sprawuje.

Najchętniej posyła tam swoich namiestników, wyrosłych z tych najmłodszych brańców, niegdyś w niewolę porwanych. Oni to, ci hordy janczarzy, swoich z krwi i urodzenia braci gnębią i ręka bezlitosna nigdy im nie zadrży. Złudzeniem jest przeto mniemanie, że tkwi w nich głęboko schowana miłość dawnej ojczyzny i jedynie chwili sposobnej do pomsty czekają. Pewna jest horda swych namiestników. »Mać radnaja« – tak samo jak wszyscy oni mówią i oczy im rzewną mgłą zachodzą. Jawi się im ta ojczyzna – mateczka jako maciora pełna mleka, słodka i obezwładniająca, ale zarazem męską siłą obdarzona i okrucieństwem, co potrafi karać swe dzieci bez litości. »Mać« – powtarzają. »Bladź« – szepczą równocześnie.

Tę dwoistość uczuć hordę we wszystkich cechuje i od miłości do nienawiści u nich jeden krok".

Może kiedyś wstaną?

Dorota Heck w „Antropologii literackiej Marka Nowakowskiego" zaakcentowała, że w opowiadaniach z lat 80. i 90. pisarz ukazał postępujący w błyskawicznym tempie regres duchowości. Stąd też podkreślał znaczenie indywidualnych zachowań, a nawet gestów wskazujących na niezgodę na tę psującą się rzeczywistość, na ten spodlony świat.

A jak było później? W rozmowie, którą przeprowadził z nim Krzysztof Świątek („Okopy Świętej Trójcy. Rozmowy o życiu i ludziach", 2014), wyjaśniał, dlaczego w „Psich głowach" (2008) zainteresował się losem byłych pracowników PGR: „Wybuchem Solidarności zafundowano nam wizję szczęścia – że będziemy walczyli o sprawiedliwość, a wykluczeni w PRL-u dojdą do głosu. W ludziach jest potrzeba sprawiedliwości. PGR-y są łatwym, narzucającym się symbolem. Państwowe gospodarstwa rolne rzucono na pożarcie i to był dla mnie kluczowy moment niedobrego procesu, który zaczął się w nowej Polsce. Właściwością socjalizmu było to, że ludzi obezwładniał, nie dawał wielkich bodźców do pracy. Ale zamiast stworzyć jakieś spółdzielnie na gruzach PGR-ów, to jak zwykle w tym kraju niesprawiedliwości i nieszczęść społecznych wierchuszka, różni dyrektorzy, zaczęli dzielić majątek i budować swoją prywatną przyszłość. A rzesze »marnych roboli« pozostawiono na schodkach bloków zbudowanych wokół PGR-ów".

„Nie jestem socjologiem ani politykiem – kontynuował – ale widzę rozgoryczonych, wściekłych, zamkniętych w sobie ludzi, którzy odrzucili naszą, zdawałoby się, tak optymistyczną rzeczywistość. Ta grupa staje się coraz liczniejsza. W Polsce zbudowano nowe getto dla wykluczonych. Ich nie dotyczy wzrost produktu narodowego, wzrost dochodów, zbliżanie się do państw najbardziej rozwiniętych. Żyją gorzko i ponuro, ale kto wie, może kiedyś wstaną? Bo rośnie w nich bezsilność, bezradność, ale i wściekłość".

* * *

Ze spisów lektur wypadł za sprawą pseudoreformatorów polskiej oświaty nie tylko autor „Raportu o stanie wojennym", lecz także m.in. Józef Mackiewicz, o którym Czesław Miłosz pisał w „Kulturze" – co przypomniał Krzysztof Świątek w rozmowie z Markiem Nowakowskim („Okopy Świętej Trójcy") – że jego utwory powinny być stale przypominane po to, by dostarczały miary, gdy literatura zbytnio oddala się od rzeczywistości. Nowakowski powiedział wtedy: „Boję się, że dzisiejsza literatura straciła kontakt z rzeczywistością. A oddalając się, przestaje spełniać swoją funkcję. Staje się wyłącznie produktem rozrywkowym. Karmą dla wypełnienia wolnego czasu. A literatura powinna pojedynkować się z rzeczywistością. Musi być mecz czytelnika z pisarzem, gdzie pisarz rzuca swoje racje. Czasem drastyczne, denerwujące, bolesne, ale prowokujące czytelnika do jakiejś reakcji. Jeśli literatura stanie się tylko tanią rozrywką, to zginie, roztopi się".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



Plakat propagandowy (fragment) FOT. MUZEUM ZIEMI LUBUSKIEJ

Książka miesiąca / Ziemie Odzyskane

Odkrywanie Odrzanii

Zbigniew Rokita, „kundel Ziem Odzyskanych, w którego żyłach płynie krew i autochtonów, i osadników" – jak sam o sobie mówi – wybrał się w reporterską podróż po jednej trzeciej Polski, przyłączonej w 1945 r. Ziemie te nazwał Odrzanią. Do napisania książki skłoniło Rokitę zdumienie, że jej historia zajmuje tak mało miejsca w polskiej pamięci. A przecież tu właśnie „Polska stanęła przed jednym z największych wyzwań cywilizacyjnych w swojej najnowszej historii. To tu doszło też do jednego z największych eksperymentów demograficznych w dziejach ludzkości. I dlatego dziwię się, że nagłe zniknięcie stąd milionów Niemców i pojawienie się milionów Polaków uznaliśmy za najzwyklejszą rzecz pod słońcem".

Co zastali przybysze z Polski Centralnej i Kresów Wschodnich? „Otóż zaraz po wojnie wielka część Odrzanii jest w ruinie. Dewastują ją wojna, demontaż zakładów i fabryk przez Sowietów, bezmyślne podpalanie, polski szaber czy traktowanie Ziem Odzyskanych przez Moskwę i Warszawę jako kolonii surowcowej". 73 proc. przemysłu było zdewastowane, a zniszczenia były większe niż w reszcie kraju, w gospodarstwach rolnych prawie zupełnie nie było bydła i trzody chlewnej.

„Pierwsze powojenne ćwierćwiecze to czas ogromnego wysiłku Odrzan i Odrzanek. Ostatecznie udaje im się całą Poniemieczczyznę dźwignąć i zagospodarować […]. Odrzanie odnoszą sukces, region nie staje się czarną dziurą zionącą pośrodku Europy, jak to jeszcze niedawno wieszczył Churchill". Jednak – jak dodaje autor – temu sukcesowi towarzyszył długoletni lęk Polaków zamieszkałych na Ziemiach Zachodnich i Północnych przed zmianą granic. Oswajanie nowych terenów nie mogło, naturalnie, obyć się bez odniemczania. „Nic noszącego choćby najdrobniejszy ślad niemczyzny zostać nie może, a dla totalitaryzmów »nic« znaczy mniej niż »nic«". Ale to odniemczanie nie tylko było decyzją władz, lecz także stanowiło potrzebę nowych mieszkańców. „Osadnik w pierwszej kolejności musi uznać Odrzanię za dom, nie chce się tu czuć obco, potrzebuje umoić sobie tę krainę, otoczyć się własnymi słowami i obrazami".

Oswajanie dokonywało się także przez wmurowywanie tablic upamiętniających pobyty Polaków, jak np. oglądanie w 1847 r. placu Solnego we Wrocławiu przez Wincentego Pola lub obecność w 1821 r. Juliana Ursyna Niemcewicza na polskim kazaniu w kościele św. Krzyża w tym mieście. Autor przyznaje, że kiedyś wyśmiewał takie upamiętnienia, jednak stwierdza, że nie symbolizują one dziś groteskowej polonizacji, lecz ludzką potrzebę zakorzeniania, lęki i obawy pierwszych osadników.

Po 1989 r. z kolei Niemcy fundują tablice poświęcone pamięci swych wybitnych postaci. Ale – jak zauważa Rokita – przyjeżdżają z własną narracją o wypędzeniach i cierpieniach. A poza tym „opowiadają o historii głównie do 1933 r., nazizm pomijają […], sentymentalnie wspominając zabawy w lesie, nie dodając, że w tych lasach bawili się w mundurach hajotów [Hitlerjugend – przyp. red.]".

Innym wątkiem książki jest oswajanie niemieckiej przeszłości, asymilowanie jej. W plebiscycie z 1999 r. na najważniejszego szczecinianina drugie miejsce po Piotrze Zarembie, pierwszym powojennym prezydencie miasta, zajął nadburmistrz w latach 1878–1907 Herman Haken. „Uznanie Hakena za swojego było potrzebne, żeby poczuć się u siebie" – mówi autorowi Artur Daniel Liskowacki. Pisarz ten zwraca jednak uwagę na to, że dziś nie pamięta się o początkach polskiej obecności w Szczecinie, polski Szczecin sprzed Solidarności, z wyjątkiem grudnia 1970 r., ginie w morzu niepamięci.

Niestety, sama jedna książka Rokity nie jest w stanie osuszyć tego morza. Potrzebujemy więcej książek, które przywrócą pamięć o wielkiej wędrówce osadników z Polski Centralnej i Kresów Wschodnich do Odrzanii, o oswajaniu Odrzanii, wrastaniu w nią, budowaniu nowego życia. ©℗

Tomasz Stańczyk



ZBIGNIEW ROKITA
„ODRZANIA. PODRÓŻ PO ZIEMIACH ODZYSKANYCH"
ZNAK LITERANOVA

eprasa.pl c6ac7a6051

Korzenie uniwersytetu

Na początku były miasta. Wraz z nimi rodzi się – na Zachodzie – inteligencja" – pisze autor.

Jacques Le Goff nie bez przyczyny uchodzi za jednego z największych mediewistów w dziejach. Jego liczne prace w niemały sposób przyczyniły się do odkłamania, powielanych przez wieki, fałszywych tez na temat „ciemnego" średniowiecza. W niniejszej pracy autor ponownie udowadnia, jak wiele świat zawdzięcza wywodzącej się ze średniowiecza myśli, która (także wbrew fałszywym tezom) garściami czerpała ze starożytnych myślicieli.

Za najstarszy uniwersytet uznaje się Uniwersytet w Bolonii założony w 1088 r. W następnych latach powstawać zaczęły kolejne wszechnice. To właśnie tam narodziła się nowa grupa społeczna: intelektualiści. „Dlaczego właśnie ta nazwa pojawia się w tytule książki? Nie zjawia się tam bez uzasadnionej przyczyny. Wśród tylu określeń: uczeni, mędrcy, klerkowie, myśliciele (terminologia świata myśli zawsze była trochę chwiejna) ten właśnie wyraz oznacza środowisko jasno zarysowane, mianowicie środowisko nauczycieli" – pisze autor.

Zajęciami nowej grupy społecznej, zresztą coraz mniej powiązanej z Kościołem lub powiązanej tylko w początkowym etapie edukacji, są przede wszystkim myślenie, praca intelektualna i przekazywanie swojej myśli dalej, czyli nauczanie. Zdaniem Le Goffa grupa ta, choć istniała już wcześniej, dopiero w XII–XII w. nie tylko w pełni się ukształtowała, lecz także – co ważniejsze – zdobyła poczucie własnej odrębności. Jak podkreśla autor, intelektualiści tamtego okresu osiągnęli pełnię swej „potęgi". Sięgnęli ideału, który później niewielu już udało się osiągnąć. Wielu z nich – jak pisze Le Goff – „poza suchym rozumieniem umiało dostrzec namiętne umiłowanie sprawiedliwości, poza nauką – dążenie do prawdy, poza krytyką – poszukiwanie dobra". Ludzi ci odwoływali się do rozumu, co jednocześnie nie przeszkadzało, aby byli zarazem gorliwymi chrześcijanami.

Praca jest podróżą po wszechnicach od czasów Karola Wielkiego, przez Abelarda, Heloizę, do Sigera z Brabancji. Autor pisze o narodzinach uniwersytetu i jego działaniu oraz najważniejszych postaciach i ich wpływie na to, jak kształtowały się kolejne wieki uczelni. ©℗

Anna Szczepańska



JACQUES LE GOFF
„INTELEKTUALIŚCI W ŚREDNIOWIECZU"
ALETHEIA

Wolność według Anglika

Philip Gibbs (1877–1962) był angielskim pisarzem i dziennikarzem, który połknął polskiego bakcyla. Ten bardzo poczytny autor ewidentnie zafascynował się polskością, czego efektem jest książka, w której przybliża anglojęzycznym czytelnikom tragedię Polaków podczas drugiej wojny światowej. W czasach PRL „Wolność nie ma ceny" nie miała prawa pojawić się w oficjalnym obiegu – nie tylko bowiem Niemcy są tu okrutnymi okupantami, lecz także Sowieci. Autor bazował na swoich własnych rozmowach z Polakami, którzy przeszli przez wojenne piekło. ©℗ ***(p.w.)***



PHILIP GIBBS
„WOLNOŚĆ NIE MA CENY"
INSTYTUT EDUKACJI NARODOWEJ



WOJCIECH POLAK
„BLASK RZECZYPOSPOLITEJ"
BIAŁY KRUK 2024

BLASK NASZYCH DZIEJÓW

Na 500 stronach autor opisał XI wieków dziejów Polski, zaczynając od omówienia historycznych początków państwa polskiego i roli Piastów w budowaniu rodzimej państwowości. Przechodząc następnie przez kolejne wzloty i upadki Polski, uczony siłą rzeczy musiał wybrać to, co jego osobistym zdaniem jest najistotniejsze dla poznania naszej historii. Książka jest pięknie ilustrowana. ©℗ ***L.L.***



WINCENTY ŁASZEWSKI
„HISTORIA OBJAWIEŃ MARYJNYCH"
FRONDA

NIEBIAŃSKIE INTERWENCJE

Ten wizerunek widać niemal wszędzie w Meksyku. Matka Boża z Guadalupe, której cudowny autoportret wystawiony jest w bazylice w mieście Meksyku, jest duchowym fundamentem, na którym powstał naród meksykański. Inne narody również doświadczyły jednak objawień maryjnych, które wpłynęły na ich losy. ©℗ ***(p.w.)***

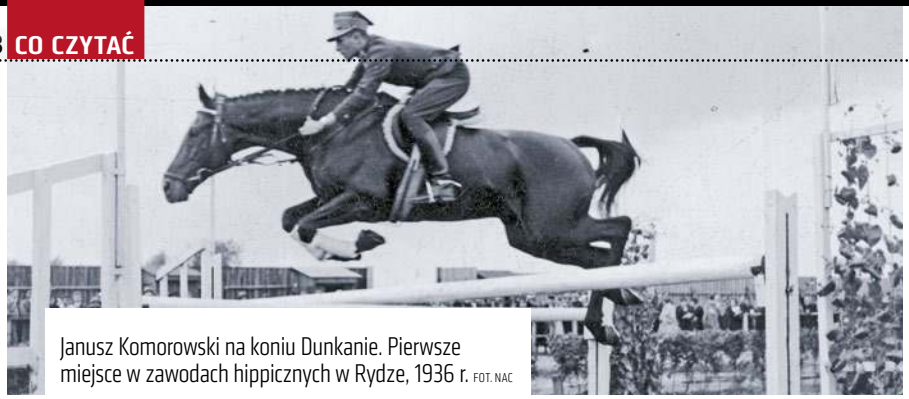


MATTHEW PARKER
„MONTE CASSINO"
REBIS

MORDERCZE CASSINO

Fundamentalna książka dla każdego, kto chce dokładnie prześledzić tę największą bitwę, którą alianci zachodni stoczyli z Niemcami. Autor rozmawiał z setkami weteranów tych walk – zarówno po stronie alianckiej, jak i niemieckiej. Mocna opowieść o morderczych zmaganiach w cieniu ruin klasztoru. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl c6ac7a6051



Janusz Komorowski na koniu Dunkanie. Pierwsze miejsce w zawodach hippicznych w Rydze, 1936 r. FOT. NAC

Ostatni kawalerzyści

Książka Krystyny Rudowskiej zrodziła się z miłości do koni, kawalerii i jeźdźców. Sama uczyła się jazdy konnej na torze wyścigowym na warszawskim Służewcu, była członkinią Studenckiego Klubu Jeździeckiego, współzałożycielką Towarzystwa Przyjaciół Koni w Polsce. Obracając się w środowisku koniarzy, spotkała kilku ostatnich kawalerzystów II Rzeczypospolitej i zarazem znakomitych jeźdźców występujących na olimpiadach i konkursach hippicznych. W latach 80. i 90. ubiegłego wieku nagrywała z nimi rozmowy, które teraz ukazały się w książce. Wszyscy wynieśli miłość do koni z domu rodzinnego. Janusz Komorowski uczył się w Korpusie Kadetów nr 1 we Lwowie i był członkiem tamtejszego Koła Jazdy Konnej. Później trafił do Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Tam nauczyciel jazdy Michał Woysym-Antoniewicz wpoił swoim podopiecznym zasadę: wypracowanie zaufania konia do jeźdźca i odwrotnie. Komorowski służył w 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. „Jeździliśmy na dobrze przygotowanych koniach. To one nas uczyły". Wspominał znakomitego jeźdźca, Karola Rómmla, i jego konia, Krechowiaka, odziedziczonego po płk. Bolesławie Mościckim, uczestniku słynnej szarży pod Krechowcami. Krechowiak dobrze radził sobie zarówno w boju, jak i na zawodach hippicznych.

Z szeregów polskich kawalerzystów wywodzili się znakomici uczestnicy zawodów hippicznych. Komorowski wygrał m.in. prestiżowy konkurs o nagrodę księżnej d'Aoste w Nicei, na olimpiadzie w Berlinie był z kolei członkiem ekipy, która zdobyła srebrny medal. Witold Olędzki, służący w 2. Pułku Ułanów Grochowskich, opowiada o swoich sukcesach jeździeckich, a był m.in. mistrzem Polski w Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego na hipodromie w Łazienkach. On z kolei wspomina innego doskonałego jeźdźca – Kazimierza Szoslanda, który, jak żaden inny Polak, triumfował dziesięciokrotnie w Pucharze Narodów. Po 1945 r. Szosland był pierwszym w kraju instruktorem jazdy konnej.

Kawalerzyści, którzy walczyli we wrześniu 1939 r., wspominają ten czas jako koszmar, chaos i dezorientację. Henryk Leliwa-Roycewicz opowiada autorce o prowadzonej przez siebie szalonej i straceńczej szarży w bitwie pod Walewicami. Cztery lata później jako dowódca batalionu „Kiliński" zdobywał PAST-ę podczas powstania warszawskiego. ©℗

Tomasz Stańczyk



KRYSTYNA RUDOWSKA „O ŻYCIU I LEGENDACH SZEŚCIU NIEZWYKŁYCH JEŹDŹCÓW"
IPN

Nieznani Słowianie

Bardzo trudno napisać „historię uniwersalną", czyli historię całego obszaru, który od wieków zamieszkiwali Słowianie. Jak podkreślają redaktorzy naukowi tomu, włoski profesor slawista podjął się tym samym tytanicznego zadania, które nieomal przerasta możliwości jednego człowieka: napisał kompleksową pracę o dziejach Słowiańszczyzny, która obejmuje nie tylko dzieje historyczne, lecz także narodziny i rozwój kultury oraz języków.

Jak podkreśla autor, nie ma w Europie grupy, która wytworzyłaby na przestrzeni wieków taką mnogość kultur, języków, a w konsekwencji – narodów. Nie da się jednak mówić o historii pojedynczych państw bez szerokiego kontekstu i osadzenia narodu w większej, słowiańskiej perspektywie. Bez względu bowiem, czy mówimy o – jak określa to autor – tzw. Slavia Latina czy Slavia Orthodoxa, obszary te (choć dziś diametralnie różne) mają punkty styczne. Praca Włocha może być dla polskiego czytelnika ciekawym wyzwaniem intelektualnym, gdyż pozwala spojrzeć na dzieje Słowiańszczyzny, a więc także nasze, z dystansu i perspektywy człowieka, który sam wywodzi się z zupełnie innego kręgu kulturowego. ©℗

Anna Szczepańska



MARCELLO GARZANITI „SŁOWIANIE. HISTORIA, KULTURY, JĘZYKI"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

eprasa.pl c6ac7a6051

Propagandowa wiktoria Arafata

Zwycięstwo odniesione przez Izrael podczas wojny sześciodniowej w czerwcu 1967 r. wywołało w tym kraju wybuch niezwykłej euforii i radości. Nie tylko objęła ona cywilów, lecz także udzieliła się dowódcom wojskowym. W historii sukcesy skutkują jednak czasami zbytnią pewnością siebie i niedocenianiem przeciwnika, co pociąga za sobą różne, nieraz tragiczne, konsekwencje. Tak było w Izraelu po czerwcowej wiktorii. Wydawało się, że straty zadane armiom państw arabskich oddaliły na dłuższy czas niebezpieczeństwo konfliktu. A jednak okazało się, że na placu boju pojawił się przeciwnik zamierzający prowadzić konflikt asymetryczny, czyli tzw. wojnę szarpaną. Zbrojne ramię OWP, czyli organizacja Fatah Jasira Arafata, zamierzało taktyką walki partyzancko-terrorystycznej osłabić państwo żydowskie. Dla władz w Tel Awiwie było dużym zaskoczeniem, że pogranicze izraelsko-jordańskie nagle zapłonęło.

Ulokowane na terenach Jordanii swoiste palestyńskie „państwo w państwie" miało stosunkowo łatwy dostęp do żydowskich obszarów. To właśnie stamtąd wychodziły ataki na izraelskich żołnierzy, a także cywilów. Były one możliwe, ponieważ król Husajn praktycznie stracił kontrolę nad opanowaną przez formacje OWP częścią swego kraju. Izrael nie mógł tego tolerować. Tak oto pojawiła się koncepcja zniszczenia znajdujących się na terytorium Jordanii palestyńskich obozów cywilno-wojskowych. Problem był coraz bardziej palący – tylko od 15 lutego do 21 marca 1968 r. doszło do 37 ataków ze strony sił podległych OWP, w których śmierć poniosło sześciu żydowskich cywilów i żołnierzy, a 44 osoby odniosły rany.

21 marca rozpoczęła się operacja „Tofet", w której ramach zniszczone miały zostać obóz w miasteczku Karameh i znajdujący się w nim palestyński personel militarny. Kategorycznie zakazano krzywdzenia kobiet i dzieci. Do realizacji zadania zgromadzono ok. 15 tys. żołnierzy. Przewidywano, że armia jordańska nie zdecyduje się podjąć walki. Było to jednak, jak się okazało, złudne przekonanie. Oddziały jordańskie włączyły się do operacji wojskowych. Zacięty opór stawili również palestyńscy fedaini. Izraelczykom zabrakło wsparcia artyleryjskiego, wiele do życzenia pozostawiały też działania lotnictwa. Izraelskie siły zbrojne wykonały swoje zdanie, jednak cena tego sukcesu była wysoka. Mowa zarówno o stratach w ludziach (33 zabitych, 3 zaginionych i 161 rannych), jak i w sprzęcie – uszkodzonych zostało 27 czołgów, które udało się jednak ściągnąć z pola walki. Cztery kolejne czołgi oraz dwa transportery i trzy ciężarówki znalazły się na terytorium opanowanym przez siły jordańskie. Utracono też dwa samoloty.

Po stronie przeciwnej śmierć poniosło 81 żołnierzy jordańskich i ok. 200 fedainów. Armia jordańska pokazała się na polu walki z jak najlepszej strony. Natomiast pod kątem propagandowym niewątpliwym zwycięzcą była OWP. Arafat zbudował wokół tego starcia, prezentowanego przez OWP jako wielka wiktoria, mit bohaterskiego Fatahu, walczącego o słuszną palestyńską sprawę. Miarą sukcesu były kolejki ochotników ustawiających się przed biurami OWP, którzy chcieli walczyć o Palestynę. Problem palestyński stał się tematem nieustannie obecnym w przestrzeni międzynarodowej. Natomiast w samej Jordanii relacje pomiędzy królem a OWP zaczęły się systematycznie pogarszać, powoli staczając się w stronę ostrej konfrontacji. Doszło do niej na pełną skalę podczas tzw. Czarnego Września. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



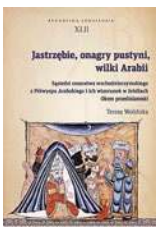
KRZYSZTOF MROCZKOWSKI
„BITWA O KARAMEH 1968"
INFORTEDITIONS

Wilki Arabii

Mieszkańcy Cesarstwa Bizantyńskiego, jak bardzo wielu innych państw, długo nie potrafili nawet określić, jak wielki obszar zamieszkiwali zagadkowi Arabowie. Rozumieli jednak, że różne grupy ludności, których często zbiorczo (choć nie zawsze w uzasadniony sposób) zwali Arabami, są ludnością od nich odmienną. Jaki mieli wobec nich stosunek? Jak ich określali? Skąd wzięła się nazwa „onagry pustyni"? Czy wyobrażenia Bizantyńczyków o tajemniczych Arabach ograniczały się tylko do relacji pozostawionych przez starożytnych greckich dziejopisów czy raczej mieszkańcy Nowego Rzymu sami próbowali lepiej poznać swoich sąsiadów, np. poprzez relacje handlowe?

Powszechnie znane są konflikty między Bizantyńczykami a kolejnymi władcami muzułmańskimi. W podręcznikach pojawiają się też informacje o kilku arabskich/tureckich oblężeniach Konstantynopola (głównie tym ostatnim z roku 1453, kiedy Cesarstwo Bizantyńskie upadło). Pod tym względem praca łódzkiej bizantynistki jest książką pionierską, zresztą nie tylko na gruncie polskiej, lecz także światowej historiografii. Jest to bowiem opracowanie, które skupia się na relacjach bizantyńsko-arabskich w okresie przedislamskim. Autorka zebrała bardzo obszerną, wielojęzyczną bibliografię. Jej praca jest intrygującą podróżą po Bliskim Wschodzie i Półwyspie Arabskim sprzed kilkunastu wieków. ©℗

Anna Szczepańska



TERESA WOLIŃSKA
„JASTRZĘBIE, ONAGRY PUSTYNI, WILKI ARABII. SĄSIEDZI CESARSTWA WSCHODNIORZYMSKIEGO Z PÓŁWYSPU ARABSKIEGO I ICH WIZERUNEK W ŹRÓDŁACH"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

eprasa.pl c6ac7a6051



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Pojemność pamięci

Przeglądając podręcznik do historii mojej córki – a konkretnie dział „Konflikty zbrojne po 1945 r." – uświadomiłem sobie, że w ciągu prawie już 60 lat, które spędziłem na tym świecie, nie było ani jednego dnia, żeby gdzieś na kuli ziemskiej ktoś do kogoś nie strzelał, żeby nie eksterminowano jakichś grup etnicznych, nie pacyfikowano jakichś wiosek, nie bombardowano, nie palono napalmem itd. Powiedzą państwo, że to dość banalna konstatacja. Pełna zgoda. I to właśnie, jak wiemy od Hanny Arendt, jest najgorsze.

Perspektywa zmienia się oczywiście z wiekiem. Jak prawie każdy chłopiec z mojego pokolenia – a było to pokolenie szykowane do „wielkiego wyzwoleńczego marszu", który miał wyzwolić świat od amerykańskiego imperializmu i przynieść sowiecki dobrobyt ludom cierpiącym w kapitalizmie wyzysk i biedę, karmione z tej racji od dzieciństwa „Czterema pancernymi", apologiami „czynu zbrojnego" ludowego wojska towarzysza Passendorfera i książeczkami „z tygrysem" – fascynowałem się wojną i wojskowością. Choć, jak również prawie każdy, chłonąc relacje wojenne z oficjalnych mediów i z Wolnej Europy, gorąco kibicowałem wszystkim stronnikom USA i szczerze cieszyłem się z każdej klęski sowieckich pomagierów i „ruchów narodowowyzwoleńczych".

W jednym tylko wypadku, pamiętam do dziś, poczułem, jako 15-latek, głęboką konfuzję: kiedy armia „ludowych" Chin dokonała nagłej inwazji na równie „ludowy" Wietnam. Jedni komuniści wzięli się za łby z drugimi, choć do wczoraj ramię w ramię walczyli z Amerykanami? To jak to – wojna nie musi być starciem dobra ze złem, bywa też, że nie ma komu życzyć sukcesu? Powiedzą państwo, że znowu banał – ale, jako się rzekło, miałem ledwie 15 lat, a teraz, gdy Izrael bije się z Hamasem, spotykam ludzi już siwych, którzy wciąż tego nie wiedzą.

Dziś mało kto tę wojnę pamięta. A przecież nie w kij dmuchał: wedle podręcznika po stronie Chin użyto 200 tys. żołnierzy i 400 czołgów, po wietnamskiej 70 tys., po każdej ze stron przez zaledwie cztery tygodnie, bo tyle to trwało, padło po 20 tys. zabitych i rannych, a na dodatek Chińczycy mieli na przejściowo okupowanych terenach wymordować 100 tys. wietnamskich cywilów. Skończyła się ta wojna też jakoś ni w pięć, ni w dziewięć – żadnego pokoju ani rozejmu, po prostu Chiny tak jak nagle napadły, tak nagle się wycofały, obie strony ogłosiły swoje wielkie zwycięstwo i wszystko wróciło do stanu sprzed konfliktu. I żadnych wyjaśnień, o co poszło.

Dziś oczywiście wiem, że szło o wewnętrzną „hierarchię dziobania" w obozie sowieckim i kto ma zarządzać „wyzwalaniem" państw regionu, że była to typowa „proxy war", w której Wietnam dostał lanie przeznaczone dla Sowietów. I faktycznie obie strony miały prawo uważać się za zwycięskie. Wietnamskie oddziały tyłowe – bo Pekin próbował „blitzkriegu" w momencie, gdy kwiat wietnamskiej armii pacyfikował sąsiednią Kambodżę – sprały znacznie liczniejsze i dysponujące ciężkim wsparciem wojska agresora. Ale strategicznie wygrały Chiny, bo Kreml (już wtedy uwikłany mocno, choć jeszcze pośrednio, w Afganistanie) nie odważył się stanąć w obronie wietnamskich namiestników.

Jedna z wielu, wielu krwawych, niekończących się łaźni tego świata. Nikt nie da rady ich wszystkich spamiętać – „historia zaokrągla szkielety do zera", jak pisała nasza noblistka. ©℗

> Obie strony ogłosiły swoje wielkie zwycięstwo i wszystko wróciło do stanu sprzed konfliktu. I żadnych wyjaśnień, o co poszło

eprasa.pl c6ac7a6051



Piotr Semka

/ Felieton

Jak Czesi
musieli polubić wódkę

Jeszcze sto lat temu wódka nie była w Pradze, Brnie czy Bratysławie często spotykanym trunkiem. Owszem, pili ją biali emigranci, ale Czesi czy Słowacy, jeśli już sięgali po mocne alkohole, to woleli śliwowicę, borovičkę czy tuzemský rum. Wódka była rosyjskim, egzotycznym specjałem i zwykłemu Honzie czy Jiříkowi specjalnie nie smakowała.

A jeśli już komuś gorzałka ze Wschodu wydawała się czymś specjalnym, to z racji utożsamiania jej ze Związkiem Sowieckim. Aktywiści Czechosłowackiej Partii Komunistycznej przywozili ze szkoły Kominternu w Moskwie silny sentyment do wódki.

W serialu „Historia powstańcza", którego akcja rozgrywa się w czasie niemieckiej okupacji, komunista Karl Šmidtke, zrzucony na spadochronie z misją rozkręcenia oporu, przywozi w teczce coś, co przedstawione jest niemal jak relikwia. Była to butelka wódki Moskowskaja – prezent dla towarzyszy walczących z faszystowskim reżimem.

Gdy w 1948 r. obalono demokratyczną republikę Edwarda Beneša, nad Wełtawę przybyły setki sowieckich doradców. Obsadzili wszystkie ważne stanowiska w aparacie urzędniczym, policyjnym i wojskowym. A wieczorne popijawy z czeskimi i ze słowackimi kolegami stały się za Tatrami stałym rytuałem epoki stalinizmu. Wódka płynęła szerokim strumieniem, bo sowieccy „bracia" niespecjalnie gustowali w piwie ani w lokalnych trunkach. I zmuszali do wlewania w siebie wódki swoich czeskich towarzyszy.

Co mieli robić miłośnicy śliwowicy i palinki? Musieli nauczyć się pić wódkę. To samo zadanie stanęło przed studentami z ČSSR wyjeżdżającymi na studia do Moskwy, Leningradu czy Kijowa.

Odpowiadając na tak wymuszoną nieco zmianę alkoholowych gustów, czechosłowacki przemysł spirytusowy zaczął produkować własną wódkę, na czele z najbardziej znaną – Wódką Pražską. Każdy doświadczony aparatczyk aż do jesieni 1989 r. miał w swoim barku parę butelek tego trunku na wypadek niespodziewanej wizyty sowieckich towarzyszy. Zresztą oryginalną wódkę z ZSRS przedstawiano jako wykwintny napitek. W komunistycznym serialu „Trzydzieści przypadków majora Zemana" por. Stejškal, obstalowując wykwintne menu na ślub szefa, zleca kelnerowi: „Kanapki z kawiorem i jako aperitif – wódka Stolicznaja".

Po 1989 r., po upadku systemu sierpa i młota, Moskowskaja i Stolicznaja przestały się kojarzyć z elitami władzy.

Wódka szybko przestała smakować Czechom – nagle wszyscy zakochali się w whisky, ginie czy burbonie.

Czescy producenci wódki próbowali wrócić do łask klientów, starając się wpasować w pewien klimat tęsknoty za minionym systemem. Wódce nad Wełtawą wymyślano zastanawiające nazwy, jak choćby „Łzy Stalina" czy „Zemsta KGB". Amerykańscy czy australijscy turyści kupowali ją w sklepikach na Malej Stranie jako element lokalnego kolorytu, kojarząc zresztą Czechy raczej z tajemniczym wschodem niż z opiewaną w esejach Milana Kundery Europą Środkową.

W ostatnich dwóch dekadach bolączką w Czechach był proceder kupowania przez czeskich nielegalnych pośredników spirytusu z Polski czy Ukrainy. Alkohol rozlewano do butelek i wypuszczano w półoficjalnym obiegu. Czasem taki alkohol skażony był metanolem i dochodziło do zatruć. Gdy w 2012 r. zanieczyszczona metanolem nielegalna wódka trafiła na czeskie ulice, zmarło 19 osób, a kilkadziesiąt trafiło do szpitala. Wówczas to wciąż żywe antypolskie resentymenty przyczyniły się do utrwalenia opowieści o polskiej wódce, od której się ślepnie.

Jeśli dziś w nędznych czeskich lub słowackich knajpach zobaczycie alkoholika napoczynającego butelkę wódki, to bardzo możliwe, że jest to były partyjny aparatczyk, ale to już wymierająca grupa. To se ne vrati! ©℗

> Każdy doświadczony aparatczyk aż do jesieni 1989 r. miał w swoim barku **parę butelek tego trunku na wypadek niespodziewanej wizyty sowieckich towarzyszy**

eprasa.pl c6ac7a6051



XII w. / Słowiańscy piraci łupią wikingów

Konungahela w słowiańskim ogniu

Wikingowie na ilustracji z przełomu wieków XI i XII

FOT. GALLICA



Grzegorz Janiszewski

Zablokowany na lądzie Bolesław Krzywousty zorganizował wyprawę morską na Konungahelę – największe miasto na Półwyspie Skandynawskim. Jej efekty przeszły najśmielsze oczekiwania

Pomorze Zachodnie na początku drugiego tysiąclecia naszej ery było krainą ludną i bogatą. Zamieszkane od ok. VI w. n.e. przez słowiańskie plemiona Pomorzan, Wieletów, Ranów i Obodrzyców wciąż było krainą pogańską, opierającą się najazdom sąsiadów. W potężnych grodach – Szczecinie i Arkonie – centralne miejsca zajmowały świątynie z posągami Trygława i Świętowita. Kronikarz Saxo Gramatyk w XII w. pisał o Wolinie, że był „największym z tych, które posiada Europa, a które zamieszkują Słowianie i inne narody". Mieszkańcy Pomorza byli doskonałymi żeglarzami i wojownikami.

W X–XII w. słowiańscy piraci, zwani chąśnikami albo wiciędzami, panowali na Bałtyku. Poruszali się na szybkich, podobnych do wikińskich łodziach, ozdobionych na dziobach czaszkami niedźwiedzi i wilków. Zabierały one na pokład ok. 30 wojowników uzbrojonych w miecze, oszczepy i długie topory. W obawie przed nimi nawet wikingowie kierowali swoje łupieżcze wyprawy na zachód Europy albo ku Rusi, z daleka omijając południowe wybrzeże Bałtyku. Jak pisał

eprasa.pl c6ac7a6051

o chąśnikach Gramatyk: „W owych czasach rozzuchwalili się piraci: od granic Słowian aż po rzekę Eiderę wszystkie wsie na wschodzie opuszczone przez mieszkańców leżały odłogiem".

Dobre czasy skończyły się z początkiem XII w. Niemcy zaczęli od zachodu atakować Słowian. Od południa i wschodu nacierał Bolesław Krzywousty, a z morza atakowali z kolei Duńczycy. Zaczęło się starcie, które miało przesądzić o tym, do kogo będą należeć ta zamożna i strategicznie położona kraina, a być może i panowanie nad całym Bałtykiem i tą częścią Europy.

Po świeże ryby i skarby

Krzywousty pierwsze wyprawy na Pomorze zaczął zaraz po przejęciu władzy w 1102 r. Miał wtedy zaledwie 16 lat. Potem jednak zajęły go sprawy wewnętrzne. Po rozprawie ze swoim bratem Zbigniewem i ustabilizowaniu sytuacji w ponownie zjednoczonym państwie natychmiast przystąpił do poszerzania jego granic. Z dwóch opcji – wyprawić się na Śląsk czy na Pomorze – wybrał tę drugą. Zapewne kusiły go zasobne grody i porty. Dobrze oddaje to zapisana przez Gala Anonima pieśń wojów z tego okresu:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące,
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali,
A nas burza nie odstrasza ni szum groźny morskiej fali.
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie,
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie.

Wybór zrozumiały, jeśli uwzględnić, że Krzywousty poślubił córkę niemieckiego hrabiego Bergu, co wykluczało aktywność na niemczącym się w zastraszającym tempie Śląsku. Zajęcie Pomorza dawało rozmaite korzyści. Raz na zawsze skończyłyby się łupieżcze wyprawy Pomorzan na polskie ziemie. Łatwiej też byłoby się bronić w razie wojny z Niemcami. Pomorskie plemiona były w większości pogańskie, wyprawę można więc było łatwo przedstawić jako krucjatę.

Walki zaczęły się w 1116 r. od zdobycia Pomorza Gdańskiego. W 1121 r. ciężka konnica Krzywoustego pokonała



Odrys tablicy nagrobnej księcia Racibora i Przybysławy w kościele w Uznamie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pomorzan pod Niekładzem w pobliżu dzisiejszych Gryfic. Do niewoli wzięty został wówczas książę Warcisław I, który został lennikiem Krzywoustego. Ten zajął wówczas prawdopodobnie również część ziem leżących na zachodnim brzegu Odry aż do Radogoszczy, Dymina i Wołogoszczy. Jego wojska paliły i równały z ziemią niepokorne wsie i grody. Tysiące ludzi zostało przesiedlonych do Polski. Jak pisał w swojej kronice mnich Herbord z Bambergu: „Warowne i silne miasto Nakiel skruszył i podpalił, całą jego okolicę ogniem i żelazem spustoszył, tak że pokazywali nam mieszkańcy w różnych miejscach ruiny, zgliszcza i stosy trupów jeszcze w trzy lata potem, jakby po świeżej klęsce".

Warcisław był co prawda chrześcijaninem, ochrzczonym w niemieckiej niewoli, ale nie ujawniał tego przed swoimi poddanymi. W centralnej świątyni Szczecina nadal stał wielki pomnik Trygława. Do schrystianizowania Pomorzan został wysłany mnich z Hiszpanii – Bernard. Jednak jego żebraczy wygląd i maniery nie przypadły do gustu bogatym Pomorzanom, którzy pobili go i wypędzili. Chrześcijaństwo zaprowadził dopiero biskup Bambergu Otto, który pojawił się na Pomorzu z wystawnym orszakiem i misję zaczął od budowania kamiennych kościołów.

Chrystianizacja szła opornie. Pomorzanie dalej łupili swoich sąsiadów. Podczas jednej z takich wypraw zamożny szczeciński kupiec Jan Wyszak, płynąc z sześcioma okrętami, wpadł w zasadzkę Duńczyków. Po dwóch latach spędzonych w niewoli uciekł z więzienia po tym, jak biskup Otton we śnie obiecał go uratować, jeśli porzuci piractwo. Wyszak odnalazł na brzegu małą łódkę i pchany cudownym wiatrem dotarł prosto do Szczecina. Jego głos przeważył później na miejskim wiecu, który zdecydował, że Szczecin przyjmie nową wiarę. Pomnik Wyszaka można dzisiaj oglądać na Wałach Chrobrego.

Morski Król

W 1135 r. Warcisław zmarł, a rządy w Szczecinie objął jego brat, Racibor. Miał tylko 25 lat, ale rezydując uprzednio w nadmorskim Kamieniu, dobrze poznał tajniki żeglarstwa. To tam Krzywousty w 1121 r. miał przyjmować defiladę słowiańskich okrętów, stojąc na olbrzymim, zachowanym do dzisiaj głazie wynurzającym się z wód Zalewu Kamieńskiego. Racibor nieraz wyprawiał się na Skandynawów, dając się poznać jako nieustraszony dowódca. Zyskał tym przydomek Morski Król.

W tym czasie Krzywousty znalazł się w trudnej sytuacji. Przegrał na Węgrzech, gdzie uwikłał się w konflikt dynastyczny. Wykorzystał to czeski książę Sobiesław I, najeżdżając na Śląsk. Krzywousty opowiedział się po stronie antypapieża Anakleta II, przez co Innocenty II podporządkował polski Kościół arcybiskupowi Magdeburga. Po śmierci przychylnego polskiemu władcy cesarza Henryka V w 1133 r. rządy objął Lotar III. W 1134 r. mianował on Albrechta Niedźwiedzia margrabią Marchii Wschodniej. Oznaczało to jedno – niemieckie parcie na wschód. Albrecht sprzymierzył się z Duńczykami, a sojusz ten mógł zgnieść bufor, który tworzyli pomorscy Słowianie. Decyzje w sprawie losów zagrożonej z trzech stron Polski miały zostać powzięte przez cesarza na zjeździe w Merserburgu w sierpniu 1135 r.

Jak zwykle energiczny Krzywousty postanowił działać wyprzedzająco. Zablokowany na lądzie przekonał Racibora do podjęcia potężnej morskiej wyprawy przeciw Duńczykom. Za polskie pieniądze zaczęto budować potężną flotę, zaciągnięto też najemników

eprasa.pl c6ac7a6051

z Nowogrodu i Połabia. Kiedy duński król Eryk II ruszył na wyprawę przeciwko Rugii, połączone siły Pomorzan i Rugian wypłynęły na spotkanie Duńczyków. Większość z nich, na czele z Erykiem, uciekła na sam widok czarnych żagli zbliżającej się słowiańskiej floty. Reszta Duńczyków została okrążona i zmuszona do poddania się. Roskilde – stolica Duńczyków, do której popłynęli Słowianie – poddała się bez walki.

Pod opromienione zwycięstwem sztandary „Morskiego Króla" zaczęli garnąć się ochotnicy z wielu pomorskich grodów. Oprócz Pomorzan z pewnością byli to Ranowie z Rugii, być może Obodrzyci. Do lata Racibor zdołał przygotować nową wyprawę, której celem tym razem było wybrzeże dzisiejszej Szwecji, wówczas pozostające pod duńskim panowaniem. Flota, licząca ponoć 650–700 statków i okrętów oraz 30 tys. wojowników, w tym tysiąc konnicy, wyruszyła latem 1135 r. z któregoś z pomorskich portów lub z Rugii. Na każdym statku miało podróżować 44 wojowników i 2 konie. Liczba ta została z pewnością zawyżona, ale jeśli udało się zebrać choćby jedną dziesiątą tej liczby, to i tak była to potężna wyprawa. Dla porównania: Wilhelm Zdobywca, atakując angielskie wybrzeże 70 lat wcześniej, miał 7 tys. wojowników, przy podobnej liczbie statków.

Okręty prawdopodobnie nocą przepłynęły bałtyckie cieśniny. Potem ruszyły wzdłuż wybrzeża, w kierunku leżącej ok. 20 km na północ od dzisiejszego Göteborga Konungaheli, ówcześnie największego miasta na Półwyspie Skandynawskim, jednego z sześciu najważniejszych grodów-portów. Bogactwo zawdzięczał on głównie handlowi morskiemu. Sprzyjał temu wielki port, dogodnie położony w widłach rzeki Göta älv. Nad nim górował otoczony fosą zamek, wybudowany na wysokim brzegu fiordu przez króla Sigurda. W jego kamienno-darniowych murach odbywały się zjazdy skandynawskich królów. Docierali tu pielgrzymi podróżujący do relikwii Krzyża Świętego przechowywanych w miejscowym kościele.



Pomnik Jana Wyszaka na Wałach Chrobrego w Szczecinie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MATEUSZ WAR

Dlaczego zaatakowano tak odległy (o ponad 300 mil od pomorskiego wybrzeża) cel? Być może wynikało to z żądań Krzywoustego, który chciał nie tylko uderzyć w czuły punkt Duńczyków, lecz także pokazać, że jest zdolny do prowadzenia skomplikowanych – zwłaszcza logistycznie – działań, które mogą poważnie im zagrozić nie tylko na Bałtyku.



Walka Słowian z wikingami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dalsze losy wyprawy znane są głównie ze spisanej 100 lat później sagi islandzkiego poety Snorriego Sturlusona. Słowianie 9 sierpnia wpłynęli do ujścia Göty älv, sprawnie omijając wbite w dno fiordu zaostrzone pale. Rzeka dzieliła się tu na dwie odnogi, więc Racibor podzielił swoje siły. Sam stanął na czele łodzi płynących zachodnią, a na dowódcę grupy wschodniej wyznaczył swojego krewnego Dunimysła. Obie grupy zaczęły płynąć w kierunku odległego o ok. 20 km grodu, zamierzając wysadzić pod jego murami desant. Mieszkańcy Konungaheli nie byli na to przygotowani. Wcześniejsze ostrzeżenia króla Eryka i metropolity Lundu Osura o nadciągającej wielkiej flocie zostały zlekceważone. Dopiero kiedy jeden z mieszkańców, zięć miejscowego proboszcza Andrzeja Einar, dostrzegł płynące rzeką statki i pospieszył do grodu z ostrzeżeniem, zaczął się alarm. Mieszkańcy byli akurat zebrani na nabożeństwie w kościele. Był 10 sierpnia – św. Wawrzyńca. Odprawiający Mszę, ks. Andrzej wezwał mieszkańców do obrony. Na flotę Racibora czekały już więc handlowe statki pełne uzbrojonych kupców. Na wałach stały załoga zamku i mieszkańcy z łukami, oszczepami i kamieniami w rękach.

Słowianie zaczęli atak. Część okrętów dobiła do brzegu, wyładowując konnicę, reszta starła się z jednostkami obrońców. W wąskich odnogach rzeki nie można było rozwinąć szyku bojowego, więc okręty i statki sczepiały się ze sobą, a ich załogi walczyły wręcz. Przeważyły prawdopodobnie doświadczenie bojowe i wyposażenie chąśników. Większość z nich posiadała porządne miecze i piki. Chroniły ich stalowe hełmy, skórzane kaftany i duże tarcze. Kupcy też walczyli zaciekle. Zdołali ponoć zatopić 170 statków Racibora. Mimo tego jego wojownicy zdołali przedrzeć się pod wały grodu, gdzie wyszli na ląd. W nocy zaczęli szturm generalny. Szalę na stronę Słowian przeważył atak konnicy, która zaatakowała miasto od przeciwnej strony. Mieszkańcy rzucili się do ucieczki, zabierając, co mie-

eprasa.pl c6ac7a6051

li pod ręką, i zamykając się w warownym zamku. Słowianie przystąpili do rabowania i palenia grodu, a potem rozpoczęli oblężenie zamku. Tu nie poszło już tak łatwo. Potężne kamienne mury mogły na długo powstrzymać napastników, a Racibor nie miał ani machin oblężniczych, ani czasu. Część mieszkańców Konungaheli uciekła do okolicznych osad, alarmując miejscowych starostów, którzy zaczęli rozsyłać po okolicy strzały – odpowiednik słowiańskich wici – wzywając do przyjścia ze zbrojną pomocą.

Racibor zaoferował obrońcom ujście cało, a nawet wraz z dobytkiem, jeśli poddadzą fortecę. Ci jednak, przekonani, że wkrótce nadejdzie pomoc, odpowiedzieli tylko wojennymi okrzykami i gradem strzał. Pomoc nadeszła w sile ok. 700 jeźdźców, ale dwa oddziały pod dowództwem Sigurda i Sigarda szybko zostały pokonane przez Słowian.

Snajperzy i berserkowie

Podczas walki o zamek doszło do niezwykłych wydarzeń. W szeregach Słowian miał walczyć łucznik, który precyzyjnymi strzałami eliminował najlepszych wojowników walczących na wałach. Dowódca obrony Sámund Husfrøi postanowił go wyeliminować. Jego syn Asmund również świetnie władał łukiem. Sámund kazał mu celować do wojownika trzymającego tarczę osłaniającą łuczniczego snajpera. Sam strzelił z łuku do owego tarczownika, który widząc nadlatującą strzałę, opuścił tarczę, odsłaniając swojego towarzysza. Wtedy – jak pisał Sturluson – Asmund „wypuścił strzałę między tarcze i ugodził łucznika w czoło, tak że strzała wyszła ciemieniem i ten padł do tyłu zabity".

Racibor jeszcze raz próbował pertraktacji, ale obrońcy pokrzepieni tym zwycięstwem nie chcieli o tym słyszeć. Słowianie z dzikim wyciem zaatakowali bramę. Jak wspomina kronikarz, jeden z nich wpadł wówczas w bitewny szał, który zwykle ogarniał wikińskich berserków. Wojownik odrzucił zbroję i tarczę i z samym toporem w ręku ruszył do bramy twierdzy. Jej obrońcy nie potrafili go powstrzymać i sami wkrótce zginęli od ciosów topora. Groty strzał, które raz po raz go trafiały, nie robiły na nim wrażenia. Wydawało się, że pociski nie imają się szaleńca. Obrońcy w końcu doszli do wniosku, że napastnika ogarnął pogański szał i nie będą w stanie go pokonać przy użyciu ziemskiej broni. Sprowadzili więc ks. Andrzeja, żeby użył pozaziemskich mocy. Kapłan pobłogosławił przyniesiony z kościoła poświęcony ogień i opalił grot w jego płomieniu. Potem nabił go na strzałę i podał Asmundowi. Jak pisze Sturluson, „ów wystrzelił ją na czarownika, a ta ugodziła go tak, że od razu miał dość i padł na ziemię". Ocaliło to obrońców, bo Słowianie widząc śmierć nieustraszonego wojownika, odpuścili szturm.



Konungahela 1135 r. Orientacyjna trasa wyprawy księcia Racibora

RYS. MARZENA WŁOCZYK

Obrońcy poddali się, kiedy stracili nadzieję na przyjście odsieczy i zaczęli odczuwać głód amunicji. Drewniane pale zrzucane na oblegających trzeba było rozszczepiać wzdłuż na połowy. Ostatecznie ich wolę walki złamała wiadomość o śmierci dowódcy zamku. Warownia prawdopodobnie nie została zdobyta, a doszło do rokowań z Raciborem. Sturluson ubolewał bowiem, że mimo danej ks. Andrzejowi obietnicy najeźdźcy spalili kościół. Podobny los spotkał zamek. Andrzej i czterech innych księży ocaleli, ofiarowując Raciborowi srebrny pastorał, a Dunimysłowi złoty pierścień. Książę kazał potajemnie wywieźć ich statkiem z Konungaheli i wysadzić na brzegu rzeki. Słowianie zdobyli w grodzie i zamku bogate łupy. Wzięli też w niewolę tysiące mieszkańców.

Sturluson tak opisał skutki wyprawy: „Król Racibor i jego zwycięskie wojska ustąpiły i powróciły do Slavii, a wielka liczba ludu, który wzięty był w Konungaheli, potem długo żyła u Słowian w niewoli. Wielki port Konungahela nigdy nie wrócił do tego samego stanu co przedtem". Nie była to prawda, bo port był później kilkukrotnie wspominany w źródłach historycznych, a jego upadek zaczął się dopiero w późnym średniowieczu.

Stracona szansa

W Merseburgu Krzywousty złożył hołd cesarzowi. Do dzisiaj toczą się historyczne spory, czy tylko z Pomorza i Rugii czy też z polskich ziem. Ostatecznie jednak postanowienia zjazdu były korzystne dla polskiego księcia. Hołd z ziem pomorskich oznaczał prawo do ich podboju. Wkrótce też polski Kościół odzyskał autonomię. Stosunki z Węgrami i Czechami zostały uregulowane. Po raz kolejny oddaliła się groźba likwidacji polskiego państwa przez sąsiadów. Stało się to w dużej mierze przez zamorską demonstrację siły połączonych słowiańskich oddziałów pod Konungahelą.

Racibor jeszcze kilka razy napadał duńskie i niemieckie wybrzeże, plądrując m.in. Lubekę. Koniec niezależności i pirackich wypraw bałtyckich Słowian przypadł po jego śmierci w 1156 r. Pogańska Arkona padła podczas wyprawy duńskiego króla Waldemara w 1168 r. W 1184 r. Duńczycy sprzymierzeni z Sasami pokonali Pomorzan i zmusili bratanka Racibora, księcia Bogusława I, do złożenia hołdu lennego Kanutowi VI. Pomorze Zachodnie balansowało między Rzeszą, Danią i Polską, próbując utrzymać jak największą niezależność. Szansa na powrót tych ziem do Rzeczypospolitej pojawiła się w XVI w., za czasów panowania wybitnego renesansowego władcy Bogusława X Wielkiego, ożenionego z Anną Jagiellonką, córką Kazimierza Jagiellończyka. Jednak Zygmunt Stary i polskie elity byli już wtedy mocno zapatrzeni na wschód. Słusznie wydawało się to wówczas racją stanu. Jednak porzucenie kresów zachodnich, które ostatecznie wpadły w ręce Prus, przez wieki odbijało się polskiemu państwu historyczną czkawką i w końcu walnie przyczyniło się do jego upadku w XVIII w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051

Broń sportowa (tarczowa)



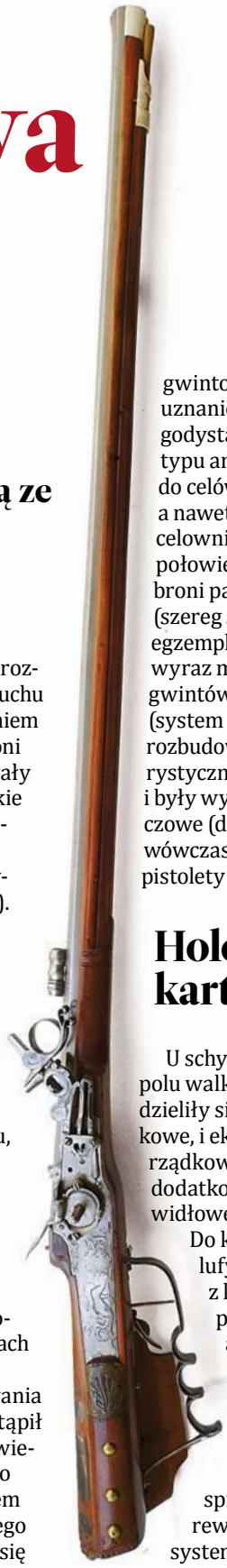
Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Początki strzelectwa sportowego związane są ze średniowiecznymi bractwami kurkowymi zrzeszającymi mieszczan zobowiązanych do obrony murów miejskich

Z tego powodu między mieszczanami powstały osobne bractwa dla ćwiczenia się w celnem strzelaniu z łuków, a później, gdy nastała broń palna, z rusznic" (Z. Gloger, „Encyklopedia Staropolska Ilustrowana"). Sport ten zyskał szczególną popularność w krajach niemieckich i w Szwajcarii. W drugiej połowie XIV stulecia założono w Lucernie pierwszy klub strzelecki. Ale i w Polsce bogatsi mieszczanie posiadali prywatną broń palną przynajmniej od XV w. Z początku używano łuków, kusz i odprzodową gładkolufową długą broń palną: lontowe i kołowe arkebuzy. Potem upowszechniły się także muszkiety, w strzelaniu z których doskonalili się m.in. członkowie milicji miejskich.

Lepsza jakość broni oraz prochu, w połączeniu z wynalezionym w pierwszej połowie XVI w. zamkiem kołowym, zwiększyła możliwości strzelectwa precyzyjnego. Nowy zamek, droższy i bardziej skomplikowany od lontowego, umożliwiał strzelcowi skoncentrowanie się na celowaniu i nie powodował wstrząsu przy ściąganiu spustu. Arkebuzy kołowe (na zdjęciu) przetrwały w broni sportowej do połowy XVIII w. – zwłaszcza w krajach niemieckich. W okresie nowożytnym różnice pomiędzy bronią tarczową i myśliwską nie były jeszcze oczywiste, jednak dążenie do coraz większej precyzji strzału i rozwój nauki o balistyce (czyli o ruchu pocisku) skutkowały pojawieniem się specjalistycznej długiej broni niewojskowej. Charakteryzowały ją grubościenne lufy oraz ciężkie osady z rozbudowanymi kolbami umożliwiającymi wygodne złożenie się do strzału (w przypadku arkebuzów – z policzka). Znaczący wzrost masy, niepożądany w broni wojskowej, nie stanowił w tym wypadku wady, ale zaletę. Istotnym elementem były rozbudowane przyrządy celownicze (regulowane celowniki) oraz przyśpieszniki umożliwiające delikatne ściągnięcie spustu, co przekładało się na precyzję strzału. Zamek skałkowy, zdobywający popularność od połowy XVII w., także znalazł zastosowanie w długiej broni sportowej, jak choćby w amerykańskich małokalibrowych i długolufowych sztucerach typu Kentucky.

Istotny wzrost zainteresowania strzelectwem sportowym nastąpił w XIX w. i związany był z pojawieniem się zamka kapiszonowego (pistonowego) oraz powstaniem nowej amunicji (naboje bocznego zapłonu) i upowszechnieniem się gwintowanych luf. Coraz większym uznaniem cieszyły się strzelania długodystansowe – z podparcia (zawody typu amerykańskiego). Strzelano do celów na dystansie 1 tys. kroków, a nawet dalej. Używano już także celowników optycznych. W drugiej połowie XIX w. nastąpił rozwój broni palnej ładowanej odtylcowo (szereg systemów). W przypadku egzemplarzy sportowych znalazł swój wyraz m.in. w niemieckich iglicowych gwintówkach z zamkami blokowymi (system Aydt). Cechowały się one rozbudowanymi kolbami o charakterystycznie wywiniętych trzewikach i były wyposażone w celowniki tarczowe (diopter). Popularność zyskały wówczas także ładowane odtylcowo pistolety sportowe.



Holenderskie kartauny

U schyłku XVI w. dominowały na polu walki lufy długie i ciężkie, działa dzieliły się na ordynalne, czyli porządkowe, i ekstraordynalne – pozaporządkowe (najdłuższe). Te pierwsze dodatkowo dzielono na legitymy (prawidłowe) i bastardy (nieprawidłowe). Do każdej z tych grup wchodziły lufy o odmiennych wagomiarach, z których najcięższymi były podwójne kolubryny (smoki), a najlżejszymi działka zwane świerszczami. Każdy z typów mógł być ponadto: pospolity, wzmocniony lub słaby. Dopiero Holendrzy w początkach XVII w. postanowili sprawę uprościć. Zaproponowali rewolucyjny podział oparty na systemie kartaun zamiast po-

eprasa.pl c6ac7a6051



wszechnie dotychczas używanych długolufowych kolubryn. Zastosowanie lepszego gatunkowo spiżu (mniejsze kalibry odlewano także z żeliwa) i prochu umożliwiło upowszechnienie się luf krótszych, które nie traciły na swej mocy w stosunku do długich poprzedników. Wprowadzone przez Holendrów zmiany miały na celu stworzenie takiego sprzętu, który nadawałby się zarówno do walki oblężniczej, jak i do działań polowych. Oczywiście nowy system był zbyt idealny i istniał w zasadzie tylko w teorii; w rzeczywistości jeszcze w końcu XVII w. funkcjonowało w Europie przynajmniej kilkanaście różnych typów dział, nie licząc moździerzy i haubic. Stanowił jednak pewien wzorzec i wprowadził względny porządek. Najczęściej wymienia się cztery podstawowe kalibry: 48-funtowe kartauny (kaliber ok. 190 mm, waga kuli ok. 24 kg), 24-funtowe półkartauny (150/12), 12-funtowe ćwierćkartauny (120/6) i 6-funtowe oktawy (100/3). Spotykano także kartauny podwójne (96-funtowe) i kartauny trzyćwierciowe.

Broń regulaminowa

Wprowadzenie zestandaryzowanych wzorów broni palnej wynikało z wielu uwarunkowań, wśród których postęp techniczny wcale nie wydaje się decydujący. Kluczowe okazały się nieustający proces krzepnięcia państw narodowych, centralizacja oparta na rozbudowanej administracji, a także sukcesywny wzrost liczebny armii, mających od schyłku XVII w. charakter stały. W hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej toczonej w latach 1701–1714 walczyły ogromne wojska; pod Malplaquet (11 września 1709 r.) stanęło ponoć po każdej ze stron 90 tys. żołnierzy, a straty krwawe okazały się najwyższe w dziejach nowożytnych konfliktów. Znaczenie kawalerii wciąż było relatywnie wysokie, ale królową pola walki stała się piechota liniowa walcząca karabinem skałkowym wyposażonym w bagnet tulejowy. W owym czasie uzbrojenie dla oddziałów organizowali dowódcy, którzy zamawiali je u różnych wytwórców, kierując się w zasadzie jedynie dwoma wytycznymi: kalibrem i długością lufy. A i to nie zawsze. W przypadku armii masowych system taki nie miał racji bytu. Nie tylko był zbyt kosztowny, korupcjogenny i utrudniający zaopatrywanie wojska, lecz także dodatkowo komplikował kwestie szkolenia strzeleckiego oraz bieżących remontów broni. Za jedną z pierwszych regulaminowych (ujednoliconych w ramach szerszego systemu) broni uznaje się francuski karabin piechoty Mle 1717, który został opracowany na podstawie wytycznych sformułowanych przez członków królewskiej Rady Wojennej. Na zdjęciu: pruski regulaminowy karabin skałkowy z II połowy XVIII w.



Migi kontra phantomy

W czasie wojny w Wietnamie piloci z Północy latali na sowieckich migach: 17, 19 i 21. Ich zaletą była dobra aerodynamika, która w połączeniu z niewielkimi rozmiarami (zwłaszcza „17") kwalifikowała je do walki manewrowej na niskich wysokościach. Chociaż wśród wietnamskich asów przeważali ci, którzy odnieśli zwycięstwa na MiG-21, to jednak największy respekt wśród amerykańskich pilotów wzbudzały „siedemnastki". Te pierwsze uzbrojone były w cztery rakiety powietrze-powietrze R-3S, które okazywały się często orężem nieefektywnym. Poza tym, mimo lepszych osiągów, były mniej zwrotne. Natomiast MiG-17 charakteryzował się niewielkim promieniem skrętu i miał niezawodne działka skuteczne w walce na bliższych dystansach. Na większych atuty były po stronie przeciwnika. Najlepszy amerykański myśliwiec wojny wietnamskiej, wielozadaniowy McDonnel-Douglas F-4 Phantom (na zdjęciu), uzbrojony był w kierowane pociski rakietowe powietrze-powietrze Sparrow i Sidewinder – po cztery każdego typu. Największą zaletą F-4 była prędkość, która na dużych wysokościach przekraczała 2 Ma; w połączeniu z wyszkolonym pilotem była to niesamowicie groźna i skuteczna maszyna. Samoloty amerykańskie posiadały lepszą awionikę (radary, systemy nawigacyjne etc.), a koordynacja działań stała na znacznie wyższym poziomie, co zapewniały m.in. latające stanowiska dowodzenia EC-121. Piloci USA przejawiali większą agresywność, szukali walki. Z kolei ich przeciwnicy mieli przede wszystkim za zadanie rozbijać wyprawy bombowe, a walkę z myśliwcami podejmowali tylko w ostateczności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl c6ac7a6051



Joseph Saint-Germier „La Navaja" FOT. EN. M. WIKIPEDIA.ORG/ MUSEO BONNAT-HELLEU DE BAYONA

XVIII–XXI w. / Noże sprężynowe

Włoskie cięcie



Tymoteusz Pawłowski

W 1950 r. szukający sensacji magazyn „Woman's Home Companion" zamieścił artykuł oskarżający włoskie noże sprężynowe o to, że są one bronią gangsterów i młodocianych przestępców, którzy za ich pomocą dokonują niezliczonych morderstw. Artykuł był piramidalną bzdurą z bardzo wielu powodów

Słowo „scyzoryk" pochodzi oczywiście z łaciny, w której słowo „cisorium" oznaczało wszystkie przyrządy służące do cięcia. Słowo to najpierw wzbogaciło się o literkę „s", później zadomowiło się w średniowiecznej Francji, skąd wyruszyło na północ i na wschód. Na północy, w Anglii, słowo „scissors" – warto zwrócić uwagę, że nie występuje tam w liczbie pojedynczej – przyjęło się jako określenie nożyczek. U nas, w Polsce, oznaczało po staremu narzędzie do cięcia, ale nie jakieś zwykłe, tylko wyjątkowe, niczym u Gerwazego „szeroki na całą piędź, a sieczny na obadwa boki, widocznie miecz teutoński z norymberskiej stali ukuty". Mógł też oznaczać coś o wiele mniejszego.

Podobną drogę do słowa scyzoryk przeszły także noże składane. Znane są od starożytności. Bo cóż było wygodniejszego od złożenia noża na pół i schowania ostrza w rękojeść? Nie chodziło o ukrywanie, ale o ochronę: zarówno ostrza przed stępieniem, jak i użytkownika przez zranieniem. Istotne było również niemal dwukrotne zmniejszenie długości noża – przez tysiąclecia podstawowego narzędzia towarzyszącego człowiekowi.

Noże służyły do wszystkiego, zarówno w miejscach, gdzie nie musiały być składane – w kuchni czy w warsztatach – jak i w miejscach, w których składanie było podstawową zaletą. Składanych używali wszyscy: od rolników na polu i w obejściu do literatów przycinających nimi ptasie pióra, tak aby można było nimi pisać. Skoro jesteśmy przy literaturze, to warto wspomnieć o polskiej nożowej nomenklaturze, wywodzącej się niejako z trzech źródeł: kuchni, zagranicy i własnej polskiej tradycji. Widać to chociażby w nazwie metalowej części noża: popularnie nazywa się je po prostu „ostrzem", snobistycznie można skorzystać z niemieckiego słowa „klinga", ale najwłaściwsze jest staropolskie słowo „głownia".

Mijały tysiąclecia, a noże składane zmieniały się bardzo powoli. Impuls zmianom dały dopiero XVIII-wieczna rewolucja przemysłowa i postęp w metalurgii. Zastosowano wówczas sprężyny, ale nie po to, by otwierać głownię, tylko by ją blokować, tak aby sama się nie otwierała w kieszeni ani nie zamykała podczas pracy. Początkowo takie noże były jednak drogie i dopiero masowa produkcja taniej stali, rozpoczęta w drugiej połowie XIX w., sprawiła, że scyzoryki

eprasa.pl c6ac7a6051

w nowoczesnym, bezpiecznym kształcie trafiły pod strzechy.

Scyzoryki i sprężynowce

W tym czasie pojawiło się wiele regionalnych noży składanych, typowych dla różnych krajów i różnych potrzeb. Jednym z pierwszych była hiszpańska nawaha (navaja). Gdy królowie zabronili nosić cywilom szpady, wówczas wykorzystano lukę w prawie i niewielkie noże składane przybrały olbrzymie rozmiary: ostrze mogło mieć nawet 30 cm długości, a nawaha służyła za namiastkę krótkiego miecza. Z produkcji mniejszych noży słynęło z kolei angielskie miasto Sheffield, położone co prawda w głębi lądu, ale pracujące na rzecz brytyjskiej marynarki. Te noże składane miały również marszpikel, czyli szpikulec służący do splatania i rozplatania lin, węzłów, sieci.

Najbardziej znany scyzoryk pochodzi oczywiście ze Szwajcarii. Powstał on w wyniku błędu konstrukcyjnego we wprowadzonych w 1889 r. karabinach wojskowych Schmidt-Rubin. Podstawową cechą broni wojskowej jest możliwość rozłożenia jej – do czyszczenia i konserwacji – bez użycia żadnych narzędzi. Schmidt-Rubin nie był taką bronią, do jego rozłożenia potrzebny był wkrętak – zwany często, ale niepoprawnie, śrubokrętem – więc w komplecie do karabinu dokładano scyzoryk z głownią, wkrętakiem, a przy okazji otwieraczem do konserw i szydłem. W kolejnych latach szwajcarski scyzoryk obrastał w kolejne narzędzia, aż stał się synonimem uniwersalności.

Pierwsze scyzoryki nie były doskonałe, podczas cięższej pracy ich głownie mogły się złożyć, kalecząc użytkownika. Do podobnego wypadku mogło dojść podczas nieostrożnego składania noża, mógł on również przypadkowo rozłożyć się w kieszeni. Postęp w konstrukcji noży polegał więc na zaprojektowaniu blokady ostrza, może to być prosta tuleja unieruchamiająca głownię, ale może to też być – najczęściej chyba dziś spotykana – sprężyna w grzbiecie rękojeści. Dzisiaj, szczególnie w większych nożach, stosuje się bardziej skomplikowane



Nóż automatyczny typu italian stiletto

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JACEK HALICKI

rozwiązania, z reguły wykorzystujące sprężyste elementy szkieletu rękojeści.

Sprężyny wykorzystuje się również do wysuwania głowni w nożach nazywanych sprężynowymi, chociaż poprawnie i elegancko powinniśmy nazywać je nożami automatycznymi. W prostszych z nich sprężyna służy jedynie do otwarcia noża, co jest – przy odpowiednich materiałach – prostym zadaniem. Głownia bowiem schowana jest w rękojeści, ale działa na nią napięcie sprężyny płaskiej, przypominającej samochodowy resor. Wystarczy przesunąć blokadę, wówczas sprężyna wypchnie głownię. Automatyka noża, który nie tylko otwiera się, lecz także zamyka, jest oparta na sprężynie śrubowej leżącej wzdłuż głowni. Do otwarcia i zamknięcia noża służy suwak, naciągający tę długą sprężynę, która z kolei przekazuje impuls głowni, zmuszając ją do odpowiedniego zachowania.

Noże automatyczne znane były od dość dawna, ale problemem była dostępność metalu odpowiedniej jakości, wytrzymującego kilka tysięcy otwarć i zamknięć. Osiemnastowieczny poziom obróbki stali sprawiał, że na noże automatyczne stać było jedynie najbogatszych, w XIX w. wciąż były one bardzo drogie, popularne stały się dopiero w drugiej połowie XX w. Dokładniej zaś – po drugiej wojnie światowej.

Czarna legenda

W wytwarzaniu noży automatycznych specjalizowali się rzemieślnicy z włoskiego miasteczka Maniago. Ich eleganckie wyroby stały się ulubioną pamiątką alianckich żołnierzy, którzy po powrocie do domów mogli chwalić się, że zdobyli je na wrogu. Kapitaliści w USA szybko zauważyli okazję i zaczęli produkować ich podróbki, pozwalające za niewielką cenę popisywać się „zdobycznymi nożami" milionom młodych Amerykanów. Noże sprężynowe błyskawicznie stały się sławne.

Była to jednak zła sława. W 1950 r. szukający sensacji magazyn „Woman's Home Companion" zamieścił artykuł oskarżający włoskie noże sprężynowe o to, że są one bronią gangsterów i młodocianych przestępców, którzy za ich pomocą dokonują niezliczonych morderstw. Artykuł był piramidalną bzdurą z bardzo wielu powodów – chociażby dlatego, że noże składane są zbyt małe i delikatne do wykonywania „poważnych zadań", a noże automatyczne są najdelikatniejszymi z nich – ale wywołał sensację. Wkrótce „sprężynowce" stały się czarnymi charakterami Hollywood i zagrały w takich filmach jak „Dwunastu gniewnych ludzi" czy „Buntownik bez powodu". Władze niektórych państw zareagowały histerycznie i zakazały „noży sprężynowych".

Zakazy takie są bezsensownie społecznie, co doskonale widać na przykładzie Wielkiej Brytanii. Gdy zakazano tam broni palnej, w gangsterskich porachunkach używano noży. Gdy zakazano noży – zaczęto używać zaostrzonych śrubokrętów (a właściwie wkrętaków). Gdy policja zakazała ostrych wkrętaków – gangsterzy zaczęli używać narzędzi ogrodniczych. Teraz rozważa się zakazanie narzędzi ogrodniczych…

Nie przyniesie to żadnego pozytywnego rezultatu, tak jak nie przyniosły go poprzednie zakazy. Są one poza tym bezsensowne technicznie, ponieważ zakazy zawsze się da obejść i skonstruować nieautomatyczny nóż, którego głownia rozkłada się równie szybko co noża automatycznego (tylko nie tak elegancko). Przede wszystkim jednak są one dowodem obskurantyzmu: zakaz stosowania zaawansowanych technicznie urządzeń – a przecież tym są noże automatyczne w stosunku do zwykłych scyzoryków – stoi w poprzek postępowi technicznemu, jest niczym XIX-wieczny Red Flag Act nakazujący niesienie czerwonej flagi przed pojazdem mechanicznym.

Bądźmy więc nowocześni, szczególnie że polscy prawodawcy są nieco mądrzejsi od brytyjskich i nie wprowadzają aż tak bezsensownych zakazów. W XXI w. używajmy noży automatycznych zarówno w polu, jak i w zaciszu gabinetów, rozcinając nimi arkusze czerpanego papieru, na których będziemy pisać odpowiednio przyciętymi gęsimi piórami…

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051



Piotr Zychowicz

Generał Anders popełnił błąd, wydając rozkaz do szturmu. Zdobycie Monte Cassino nie miało żadnego znaczenia dla sprawy polskiej, a zostało okupione wysokimi stratami

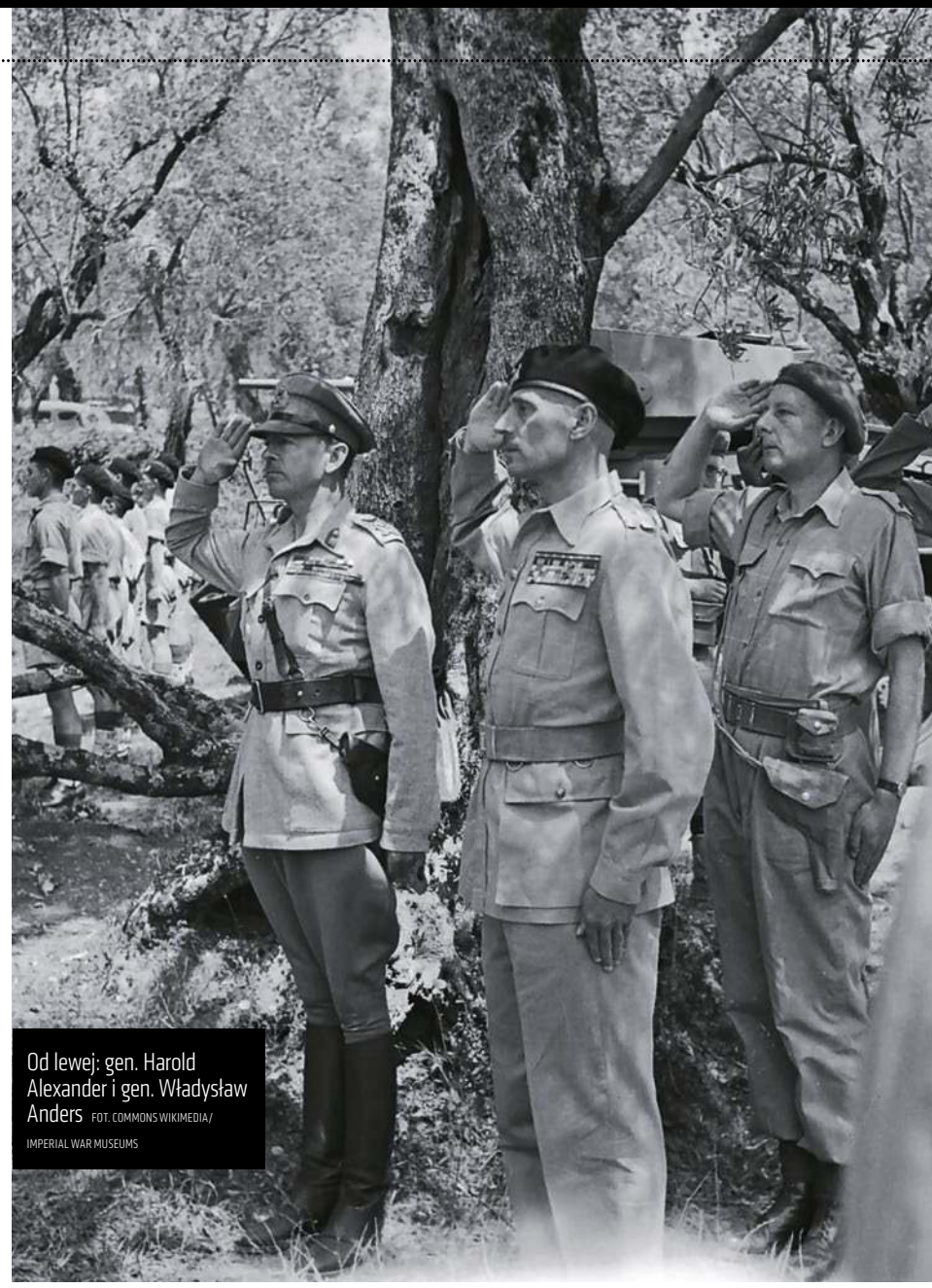
Bitwa o Monte Cassino wywołuje w Polsce zażarte polemiki i spory. Ich uczestnicy na ogół spierają się jednak o to, czyją zasługą było zdobycie góry i klasztoru. Polaków – jak głosi biało-czerwona legenda – czy Francuzów, którzy obeszli Niemców z flanki.

Jest to bez wątpienia dyskusja ciekawa. Jednak ja proponuję inną: Czy Polacy w ogóle powinni byli atakować Cassino? Moim zdaniem odpowiedź na to pytanie powinna być negatywna. Generał Anders popełnił fatalny błąd, gdy zgodził się na wysłanie swoich żołnierzy do tego krwawego szturmu.

W zażartych walkach na skalistych zboczach Cassino śmierć poniosło 924 polskich żołnierzy, 2930 zostało rannych (straty niemieckie były czterokrotnie niższe). Była to kolosalna ofiara.

Nie chcę być źle zrozumiany – uważam, że obowiązkiem żołnierzy jest przelewać krew. Ale wyłącznie wtedy, gdy służy to obronie lub odzyskaniu niepodległości przez własną ojczyznę. Straty poniesione pod Monte Cassino nijak nie prowadziły zaś do tego celu.

Polacy szturmowali Monte Cassino w połowie maja 1944 r. A więc pół roku po konferencji w Teheranie, pięć miesięcy po wkroczeniu bolszewików na terytorium Polski oraz trzy miesiące po słynnej mowie Churchilla w Izbie Gmin. 22 lutego brytyjski premier otwartym tekstem zaaprobował zabór połowy terytorium Rzeczypospolitej przez Związek Sowiecki.



Od lewej: gen. Harold Alexander i gen. Władysław Anders FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ IMPERIAL WAR MUSEUMS

1944 r. / Polska krew na Monte Cassino

Niepotrzebny szturm

eprasa.pl c6ac7a6051

Dla każdego, kto nie był ślepy i głuchy, jasne się stało, że sojusznicy nas zdradzili. Polska znajdzie się pod okupacją Stalina, a niepodległości w wyniku tej wojny nie odzyskamy.

W tej sytuacji posyłanie żołnierzy do szturmu na niezwykle silnie obsadzony i broniony przez doborowe jednostki niemieckie klasztor było nonsensem. Dramat ten w słynnej książce Melchiora Wańkowicza o Monte Cassino symbolizuje postać młodego oficera:

„Kiedy batalion rusza, pada ppor. Tchórzewski, tobruczanin. Umierając, podniósł głowę, i słysząc narastającą kanonadę, widząc wyruszający batalion, uśmiechnął się do kolegów.

– Może się opłaci…".

Jak wiemy, nie opłaciło się. I nie mogło się opłacić. Polska była już bowiem stracona.

Dramat był tym większy, że większość żołnierzy 2. Korpusu pochodziła z terenów wschodnich Rzeczypospolitej. Tych samych, które Churchill oddał właśnie Stalinowi. A więc byli to ludzie deportowani w latach 1939–1941 przez bolszewików na Syberię i cudem uratowani z „nieludzkiej ziemi". Na ludzi tych powinno się było chuchać i dmuchać. Tymczasem tysiąc spośród nich poświęcono, żeby zdobyć górę pośrodku Włoch, która dla Polski i jej interesów nie miała najmniejszego znaczenia.

Jeszcze jeden niezwykle charakterystyczny fragment książki Wańkowicza ukazujący dramat ludzi ginących za obcą sprawę:

„Kapral Sawicki, chociaż ranny, obejmuje dowództwo i prowadzi natarcie dalej. Tuż przy bunkrze, rażony serią szpandała, ciężko ranny woła: »Chłopcy, dalej – za Sybir, za łagry, za poniewierkę…« i traci przytomność".

Trudno o lepszy przykład tego, na jakich manowcach politycznych znaleźli się Polacy podczas drugiej wojny światowej. Oto kpr. Sawicki, mieszkaniec polskich ziem wschodnich zagarniętych przez Związek Sowiecki, ofiara bolszewickich represji, w odległych Włoszech strzela do armii, która jako jedyna z tymi bolszewikami walczy.

Swoją „łagrową poniewierkę" mści nie w boju z Sowietami, którzy go do tych łagrów wsadzili, ale z Niemcami, którzy próbowali cały system sowiecki, wraz z jego obozami koncentracyjnymi i NKWD, zniszczyć. Naprawdę Stalin musiał mieć z tego przedni ubaw.

Oczywiście można powiedzieć, że moja krytyka gen. Andersa jest nieuzasadniona. Był żołnierzem, dostał rozkaz zdobycia Monte Cassino i jego obowiązkiem było go wykonać. Otóż tak nie było. Po tym, gdy wzgórze bezskutecznie szturmowali – okupując to olbrzymimi stratami – Brytyjczycy, Hindusi i Nowozelandczycy, dowództwo alianckie wcale nie zażądało od Andersa dokonania kolejnego ataku.

Dowódca brytyjskiej 8. Armii gen. Oliver Leese – jak Anders pisze we wspomnieniach – złożył mu propozycję szturmu na Cassino. Polski dowódca otrzymał czas do namysłu. Nie ma więc wątpliwości, że mógł odmówić. Na nieszczęście swoich żołnierzy podjął wyzwanie. Co jednak najgorsze, nie skonsultował tej brzemiennej w skutki decyzji z Naczelnym Wodzem.

Na tym tle doszło między oboma generałami do bardzo ostrego sporu. Generał Sosnkowski ostro zganił Andersa, któremu rzucił: „Pióropusz biały panu się śni".

„Powiedziałem mu jednak wiele więcej – wspominał Sosnkowski. – Przede wszystkim, że uważam jego samowolny postępek za naruszenie dyscypliny wojskowej, przy tym bardzo niebezpieczne i wysoce szkodliwe na wygnaniu. Powiedziałem mu dalej, że dysponowanie krwią polską w ciężkiej walce politycznej o przyszłość i prawa naszego narodu należy do władz zwierzchnich Rzeczypospolitej. Że pomijanie tych władz na rzecz obcych ośrodków dyspozycji ułatwia tym ostatnim wygrywanie ambicji jednostek dla swoich własnych celów, które przecież mogą pozostawać w sprzeczności z naszymi celami narodowymi, jak tego dowiodła konferencja w Teheranie".

Sosnkowski przewidział, że atak spowoduje wielkie straty, a zysków dla sprawy polskiej nie będzie z niego żadnych. Opowiadał się więc za obejściem Monte Cassino z flanki.

„Generał Sosnkowski był przerażony, zwłaszcza projektem bezpośredniego czołowego ataku na silnie umocnioną pozycję niemiecką, który sztabowcy brytyjscy od początku planowali w sposób urągający fundamentalnym zasadom sztuki wojennej – pisał prof. Paweł Wieczorkiewicz. – Chociaż w normalnych warunkach na takie zachowanie dowódcy korpusu należało zareagować odebraniem dowództwa, gen. Sosnkowski zrezygnował z sankcji dyscyplinarnych, obawiając się – i słusznie – skandalu w stosunkach zewnętrznych oraz nieobliczalnych tarć wewnątrz. Co gorsza, za późno było na zmianę samej decyzji".

Co ciekawe, Anders tłumaczył później, że decydując się na natarcie na Monte Cassino, również zdawał sobie sprawę, że zostanie ono okupione wielką ilością krwi. Uznał jednak, że gdy nad sprawą Polską „zbierają się czarne chmury", ewentualne zwycięstwo i zdobycie klasztoru… zapewni rozgłos Polakom i wywoła podziw i wdzięczność aliantów, co zmieni sytuację Polski.

Oczywiście była to kolejna z polskich dziecięcych iluzji. To dla Polaków bitwa o Monte Cassino była i jest wielkim wydarzeniem. Zachodnia prasa o polskim triumfie pisała zaś przez dwa dni… A potem zajęła się innymi, ciekawszymi z jej punktu widzenia tematami. Choćby kolejnymi sukcesami „niezwyciężonej Armii Czerwonej" na froncie wschodnim. Efekt propagandowy masakry Polaków był więc żaden.

„Premier Winston Churchill skwitował w swych pamiętnikach ich czyn zdawkowymi komplementami, pisząc o tym: »ogromnie wyróżnili się podczas tych swoich pierwszych poważnych walk we Włoszech«. Pozostała jeszcze żołnierska (lecz nie generalska!) chwała, ale poza Polską pamiętają o niej co najwyżej historycy wielkiej bitwy" – podkreślał Wieczorkiewicz.

Absurdalne było również twierdzenie, że atakując Monte Cassino, Anders chciał zadać kłam sowieckiej propagandzie, która trąbiła, że Polacy nie chcą się bić z Niemcami. Czyżby naprawdę nie rozumiał, że takie kampanie Sowietów miały charakter prowokacyjny? Że jeżeli w czyimkolwiek interesie było, aby setki najlepszych młodych Polaków z ziem wschodnich zginęły gdzieś we włoskich górach od ognia niemieckich karabinów maszynowych – to właśnie był to interes Związku Sowieckiego?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6ac7a6051

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

MARIUSZ ZARUSKI URODZIŁ SIĘ 31 STYCZNIA 1867 ROKU W MAJĄTKU DUMANÓW NA PODOLU. JEGO OJCIEC BRAŁ UDZIAŁ W POWSTANIU STYCZNIOWYM, A DZIADEK W POWSTANIU LISTOPADOWYM, DLATEGO MARIUSZ ZARUSKI JUŻ W TRAKCIE STUDIÓW W ODESSIE, ZAANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ ORGANIZACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH. JEDNAK W CZASIE JEDNEGO ZE SPOTKAŃ W JEGO MIESZKANIU...

ODESSA, 1894 R.

OTWIERAĆ! POLICJA CARSKA!

ZARUSKIEGO SKAZANO NA PIĘĆ LAT ZSYŁKI I OD 1896 ROKU ODBYWAŁ KARĘ W CHOŁMOGORACH NIEDALEKO ARCHANGIELSKA. ZE WZGLĘDU NA DOŚWIADCZENIE NA MORZU (W TRAKCIE STUDIÓW W WAKACJE PŁYWAŁ JAKO MAJTEK NA STATKU HANDLOWYM) OTRZYMAŁ ZGODĘ OD GUBERNATORA NA UCZESTNICZENIE W REJSACH DALEKOMORSKICH.

PEWNEGO DNIA ZOSTANĘ KAPITANEM ŻAGLOWCA...

PO ODBYCIU KARY POWRÓCIŁ DO ODESSY, A W 1901 ROKU WRAZ Z ŻONĄ WYJECHAŁ DO KRAKOWA. TAM WYKORZYSTUJĄC SWOJE DOŚWIADCZENIE, POSTANOWIŁ ZAJĄĆ SIĘ POPULARYZACJĄ ŻEGLARSTWA. STWORZYŁ MIĘDZY INNYMI PODRĘCZNIK ZATYTUŁOWANY „WSPÓŁCZESNA ŻEGLUGA MORSKA". W 1904 ROKU MAŁŻEŃSTWO PRZEPROWADZIŁO SIĘ DO ZAKOPANEGO, A GÓRY SZYBKO STAŁY SIĘ NOWĄ PASJĄ ZARUSKIEGO.

PO ŚMIERCI MIECZYSŁAWA KARŁOWICZA POD LAWINĄ, UWAŻAM, ŻE TRZEBA PRZYSPIESZYĆ POWOŁANIE SŁUŻBY RATOWNICZEJ. MAM JUŻ WSTĘPNIE OPRACOWANY STATUT.

A JAKĄ BĘDZIE MIAŁA NAZWĘ?

TOPR – TATRZAŃSKIE OCHOTNICZE POGOTOWIE RATUNKOWE.

ZARUSKI ANGAŻOWAŁ SIĘ CORAZ MOCNIEJ W DZIAŁALNOŚĆ NIEPODLEGŁOŚCIOWĄ. W PROWADZONYM PRZEZ JEGO RODZINĘ PENSJONACIE „KRYWAŃ" GOŚCILI LICZNIE DZIAŁACZE SPOŁECZNI, POLITYCY I LUDZIE KULTURY. GDY WYBUCHŁA I WOJNA ŚWIATOWA ZARUSKI WSTĄPIŁ DO ODDZIAŁÓW KAWALERYJSKICH. WZIĄŁ CZYNNY UDZIAŁ W KILKUDZIESIĘCIU STARCIACH, A W PAŹDZIERNIKU 1917 ROKU OBJĄŁ DOWODZENIE 1. PUŁKU UŁANÓW LEGIONÓW POLSKICH. 19 LUTEGO 1919 ROKU NACZELNIK PAŃSTWA – JÓZEF PIŁSUDSKI WYDAŁ ZARUSKIEMU POLECENIE SFORMOWANIA 11. PUŁKU UŁANÓW. PUŁK DOWODZONY PRZEZ ZARUSKIEGO BRAŁ MIĘDZY INNYMI UDZIAŁ W OPANOWANIU WILNA W KWIETNIU 1919 ROKU. W UZNANIU ZASŁUG 1 MARCA 1921 ROKU POWOŁANO GO NA FUNKCJĘ GENERALNEGO ADIUTANTA PREZYDENTA RP STANISŁAWA WOJCIECHOWSKIEGO.

PO PRZEJŚCIU W STAN SPOCZYNKU W 1926 ROKU WRÓCIŁ DO SWEJ PASJI ŻEGLARSKIEJ. DZIAŁAŁ NA RZECZ ZAKUPU PIERWSZEGO POLSKIEGO JACHTU PEŁNOMORSKIEGO „WITEŹ". ZAJĄŁ SIĘ EDUKACJĄ MŁODYCH ŻEGLARZY. DZIAŁAŁ W KOMITECIE PROWADZĄCYM ZBIÓRKĘ NA ZAKUP „DARU POMORZA". ZOSTAŁ TEŻ KAPITANEM ŻAGLOWCA „ZAWISZA CZARNY", KTÓREGO ARMATOREM BYŁ ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO.

PO ATAKU NIEMCÓW NA POLSKĘ WE WRZEŚNIU 1939 ROKU CHCIAŁ POWRÓCIĆ DO SŁUŻBY WOJSKOWEJ, ALE NIE UZYSKAŁ ZGODY ZE WZGLĘDU NA SWÓJ WIEK. WYJECHAŁ DO LWOWA, GDZIE Z POMOCĄ HARCERZY WRAZ Z ŻONĄ UKRYWAŁ SIĘ POD FAŁSZYWYM NAZWISKIEM. JEDNAK NKWD WPADŁO NA JEGO TROP I DOSZŁO DO ARESZTOWANIA. OSKARŻONO GO O BYCIE OFICEREM BYŁEJ POLSKIEJ ARMII ORAZ POSŁUGIWANIE SIĘ FAŁSZYWYMI DOKUMENTAMI I SKAZANO NA 5 LAT ŁAGRU W KRAJU KRASNOJARSKIM. KRÓTKO PÓŹNIEJ ZACHOROWAŁ JEDNAK NA KRWAWĄ DYZENTERIĘ I ZMARŁ W SZPITALU WIĘZIENNYM 8 KWIETNIA 1941 ROKU.

eprasa.pl c6ac7a6051

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA WIOLETTA SAWICKA: „WILCZE DZIECI”

Dziecko wobec wojny jest zawsze ofiarą, niezależnie po której stronie frontu się urodziło.

Historie i świadectwa „wilczych dzieci”, czyli wojennych sierot z obecnych terenów Warmii i Mazur oraz obwodu kaliningradzkiego, które jeszcze długo po 1945 roku ukrywały się w lasach.

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich, pierwszego terytorium Rzeszy, do którego dotarli sowieccy żołnierze. Rosjanie wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie popełnione przez nazistów na froncie wschodnim. Bojowy szlak czerwonoarmistów znaczyły stosy bestialsko pomordowanych bezbronnych ludzi, masowe gwałty, grabieże, pożary i powszechna dewastacja mienia. Nikt nie był bezpieczny od żądnych zemsty sowieckich zdobywców. Śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej zbierał też przeraźliwy głód. Gdy umierały matki, dzieci, często kilkuletnie, zostawały same.

Według różnych źródeł w lasach i ruinach tych terenów ukrywało się około dziesięciu tysięcy sierot. Niektóre źródła podają, że nawet dwadzieścia tysięcy. By zdobyć cokolwiek do jedzenia, przemierzały pieszo wiele kilometrów. Przekradały się też na Litwę, gdzie żebrząc o żywność, miesiącami, czasem latami, tułały się od wioski do wioski. Kilka dekad później nazwano je wilczymi dziećmi.

Ktoś mógłby rzec - co to za nazwa! Ale czyż nie jesteśmy trochę, jak wilki? Razem z wilkami spędzaliśmy czas w lasach - mówi jedno z byłych „wilcząt”. To jest prawdziwa opowieść o nich.



155 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c6ac7a6051

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA **WOJCIECH ROSZKOWSKI: „KOMUNIZM ŚWIATOWY”**

Książka ta dowodzi, jak szybko może rozprzestrzeniać się zło, jeśli nie napotka od razu zdecydowanego sprzeciwu. Komunizm nie zaczął się od łagrów, mordów i zniewolenia narodów. Zaczął się od teorii – zupełnie utopijnej, ale pozornie niezwykle zatroskanej o dobro całej ludzkości. Wielu dało się nabrać; jak się to skończyło, to Polacy wiedzą najlepiej. Posługujący się ideą marksistowsko - leninowską bolszewicy stworzyli przyczółki do swej imperialnej ekspansji dosłownie na całym świecie. Idee te zatruły niejeden umysł, także na Zachodzie, i zachwiały systemami politycznymi. Dzięki wybitnemu znawcy tematu i znakomitemu pisarzowi prof. Wojciechowi Roszkowskiemu poznajemy rozwój komunizmu w skali całego świata. Autor przestrzega:

„Oba najbardziej znane dwudziestowieczne totalitaryzmy – nazizm i komunizm – nie miały precedensu w historii. Obrońcy komunizmu argumentują, że ich sprawa była słuszna, a straszliwe środki, miliony pomordowanych, często ukryte przed światem, usprawiedliwiał cel. Tymczasem cel był utopijny, a podejmowane środki – przestępcze i nie przybliżające celu. Trafnie przewidział to już w XIX wieku markiz Astolphe de Custine, pisząc, iż despotyzm nigdy nie jest tak straszliwy jak wtedy, gdy obiecuje dobro. Wtedy najgorsze postępki są usprawiedliwiane przez dobre intencje. Granice zła przestają wtedy istnieć. Oczywista zbrodnia tryumfuje krótko, fałszywe wartości na zawsze prowadzą ducha ludzkiego na manowce. Na nieszczęście słowa te są prawdziwe również dziś. Odwracanie się od rzeczywistości jest reakcją patologiczną. Praktykowane przez przywódców politycznych i rozpowszechnione w szerokich kręgach społeczeństwa doprowadzi do nowych postaci totalitaryzmu”.

Żywo napisane i klarownie podzielone dzieło prof. W. Roszkowskiego przyciąga uwagę także bogatą warstwą graficzną; 140 ilustracji dodatkowo dokumentuje tę historię światowego komunizmu. Książka-ostrzeżenie. Podstawowa lektura dla tych, którzy chcą wiedzieć, w jakim kierunku może pójść świat.



157 zł

oszczędność 87 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c6ac7a6051